ROK XIX.
Ogólnego zbioru Tom LXXV.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

TOM III. — ZESZYT II.

Sierpień.

WARSZAWA.

1894.

Druk Jana Cotty,
29. Senatorska 29.

SPIS RZECZY.

SZKIC HISTORYCZNO-KRYTYCZNY

O GŁÓWNYCH KIERUNKACH I METODACH PSYCHOLOGICZNYCH.

I.

Materyał wiedzy psychologicznéj jest obecnie tak obszerny, iż zajmującemu się nią pobieżnie wprost niemożliwém jest rozejrzéć się wśród jéj najrozmaitszych kierunków, zadań i celów, oraz dopatrzéć się wiązadeł i spójni pomiędzy dążeniami różnych narodów i wieków. Stąd chaos w poglądach co do wartości odmiennych kierunków i metod. Dość przytoczyć sprzeczność zachodzącą w dwu najwięcéj używanych dziś określeniach téj umiejętności: „psychologia jest nauką o duszy" mówią racyonaliści, „psychologia jest nauką bez duszy" mówią empirycy. Sądzę zatém, że krótki a treściwy przegląd tego ogromnego materyału nie będzie bez interesu, zwłaszcza jeżeli zdołamy przeciągnąć nić przewodnią rozwoju psychologii od najdawniejszych aż do naszych czasów.

Poszczególne epoki w rozwoju psychologii nie dają się od siebie ściśle odgraniczyć z powodu, iż każda z nich przedłuża swój byt i na doby następne, rozwijając się i wówczas, gdy zapanują prądy o nowych celach i zadaniach. Idąc jednak za wskazówką największéj świetności danego kierunku, dostrzedz tu można cztery główne epoki: 1) epokę etyczno-metafizyczną, któréj najwyższy rozwój przypada na starożytnych Greków, 2) epokę racyonalizmu wyrosłą na podstawie sceptycznéj Kartezyusza, 3) epokę krytyczną, reprezentowaną przez Kanta i 4) epokę empiryczną.

O trzech pierwszych kierunkach, jako więcéj znanych, mówić będziemy pokrótce tylko, zatrzymując się natomiast dłużéj nad epoką najnowszą, t. j. empiryczną.

Psychologia starożytnych, nie licząc epoki przedsokratesowéj, miała, jak i cała ówczesna filozofia, charakter etyczno-metafizyczny, metoda zaś, jaką się posługiwano, polegała przeważnie na samoobserwacyi oraz indukcyi dyalektycznéj. Te ostatnią określamy wyrazem „dyalektycznéj" dla odróżnienia jéj od indukcyi w naukowém znaczeniu, jakiéj nauczał w kilkanaście wieków późniéj Bakon, a któréj środkiem było powolne i ostrożne postępowanie od doświadczalnie poznanych faktów do coraz to wyższych uogólnień. Indukcya zaś, jaką się posługiwał twórca psychologii, Sokrates, miała za punkt wyjścia pierwiastki podmiotowego pochodzenia, od których z całą ufnością i śmiałością przechodzono do coraz to wyższych uogólnień i definicyi, otwierających na oścież wrota metafizyce. Celem przewodnim dążeń filozofów greckich, od Sokratesa do Arystotelesa, było oddziaływanie przeciw zasadom sofistycznym, uważanym za wsteczne, które obalić i zastąpić miała ich idealistyczno-metafizyczna etyka.

Starożytni jednak, szukając w psychologii podstaw dla praw etycznych, nie zdawali sobie sprawy z trudności, jakie przedstawia poznanie skomplikowanego mechanizmu uczuć i świadomości ludzkiéj, nie przewidywali tego, iż, chcąc go poznać, dosięgnąć wpierw należy rozwoju wszech nauk, i że one dopiéro połączonemi siłami zdołają kiedyś dojść do poznania tego, co wcześnie ujęte w niejasny wyraz duszy ludzkiéj, zdawało się przystępném dla metafizycznego zbadania i określenia; nie przewidywali nakoniec tego, iż po latach 2,000 psychologowie przyznawać się będą musieli do tak skromnéj wiedzy w dziedzinie owéj umiejętności, iż o dostarczaniu naukowych podstaw etyce, która winna być opartą na empiryi, mowy jeszcze być nie może. Ale śmiałość jest objawem każdéj młodéj kultury, taką też była Grecya. Podstawy, których nie mogła dostarczyć nauka, wytwarzano sobie sztucznie, z pomocą metafizyki. Stąd wczesne pojawianie się pojęć, jak *nus* Anaxagorasa, albo *logos* Heraklita, z których powstały późniéj pojęcia Platona i Arystotelesa o duszy nieśmiertelnéj, stąd rozczłonkowywanie władz psychicznych w celu dotarcia do nieśmiertelnego ich rdzenia. Wszystko jednak, co wytworzyli Grecy mocą metody indukcyjnéj w zakresie psychologii, znamionuje bezsilność, albo zaślepienie samychże filozofów wobec sztucznie wytwarzanych pojęć, podawanych za bezwzględną prawdę. Dla współczesnych i późniejszych rezultaty epoki etyczno-metafizycznéj miały za sobą urok czegoś niedocieczonego, noszącego na sobie cechy nieskończoności, co

pozostawiało swobodę fantazyi, puszczając w ruch skłonny do zaciekań mistyczno-metafizycznych umysł ludzki. Siła tego uroku, działalność, choć w swoim czasie wielka i znacząca, odegrała nietylko wielką rolę w starożytności, ale przyczyniła się w znacznéj mierze do wstrzymania rozwoju psychologii na długie wieki, przygłuszając w umysłach pozytywne dążenie—do poznania praw przyrody. To téż o rezultatach psychologii, pochodzących z tego źródła, wspomnieć należy ze względów tylko historycznych.

Dusza ludzka, według Platona, jako uosobienie idei życia, jest nieśmiertelna; nie ma ona ani początku, ani końca. Posiadając moc wprawiania saméj siebie w ruch, pozostaje stale niezmienną. W myśl swéj dualistycznéj teoryi, odróżnia Platon w duszy ludzkiéj dwa główne pierwiastki, to jest śmiertelny i nieśmiertelny, złączone ze sobą ze śmiertelną również wolą. Stąd nauka o trzech duszach Platona. Pierwsza z nich, tak zwany λογιστικόν albo νοητικόν, jest boskim pierwiastkiem w człowieku: jéj udziałem jest poznanie wogóle. Drugą jest θυμός, to jest odwaga albo wola, któréj siedliskiem jest pierś; trzecią jest ἐπιθυμητικόν, albo żądza użycia, uzewnętrzniona niższemi funkcyami organizmu. Pierwsza z tych władz jest nieśmiertelną, druga i trzecia, które są zarówno udziałem człowieka, jak i zwierzęcia, jest czasową tylko i doczesną. Następstwem tego podziału władz duszy ludzkiéj, złączonego ściśle z teoryą i poglądem na świat Platona, było przyjęcie dwu kardynalnych twierdzeń, znanych już w filozofii indyjskiéj, a mianowicie: postawienie poznania za najwyższy szczebel szczęśliwości i ascezy za najwyższe dobro etyczne. Wiadomo zaś, jak ogromny wpływ wywarła teorya platońska na następne wieki, który to wpływ odezwał się silném jeszcze echem i za naszych czasów. Jeden z najpopularniejszych filozofów, Schopenhauer, wychodząc z podstaw psychologicznych zupełnie od Platona różnych, daje się również pociągnąć ascetycznemu prądowi i bez względu na niekonsekwencye stąd wynikłe w jego etyce, przenosi w ten sposób prastarą naukę braminów indyjskich, złączoną z nauką platońską, w nasz wiek, buhający żarem namiętności i niepohamowaną żądzą użycia.

Wyższe nierównie stanowisko w psychologii zajął Arystoteles. Jeżeli weźmiemy pod uwagę jego „Organon", jak i ewolucyjną teoryę w zastosowaniu do psychologii, wówczas przyznać musimy, iż zapowiadała się ona bardzo świetnie, niski jednak poziom ówczesnéj wiedzy nie pozwolił się całkowicie rozwinąć geniuszowi Arystotelesa. Dążenia etyczno-metafizyczne stanowią téż u niego, jak i u Platona, centralny punkt jego psychologii. Dusza ludzka łączy w sobie, według filozofa greckiego, poszczególne stopnie rozwoju wszystkich je-

stestw żyjących, a zatém zarówno pierwiastek czuciowy zwierząt niższego stopnia, jak i pierwiastek uczuciowy zwierząt wyższego rzędu. Nad niemi zaś góruje człowiekowi tylko udzielona władza, mianowicie rozum albo νοῦς. W tym ostatnim zaś odróżnia Arystoteles dwa konary: jeden, będący wyrazem ograniczonego umysłu człowieka, ulegającego również rozwojowi, a drugi, który ma być objawem doskonałego boskiego rozumu w człowieku. Pierwszy z nich jest bierny i śmiertelny, drugi czynny, względnie nieśmiertelny.

Wobec takich to władz odnajdywanych w duszy ludzkiéj, etyka miała drogę wytkniętą. Różnica zaś w metafizycznych poglądach, zastosowanych do psychologii przez obu filozofów, pociągnęła za sobą różnicę w odpowiednich poglądach etycznych.

Rezultaty te psychologii greckiéj z punktu widzenia naukowego są jeno mistycznemi elukubracyami, które pozorami wiedzy zastępować musiały istotną naukę, one to zaś wystarczać miały i etyce. Fakt ów jednak nie przeszkadza, że psychologia grecka, służąc za ideał wiekom średnim, znajduje i dziś nietylko swoich komentatorów ale i kontynuatorów. Traktaty o duszy ludzkiéj nie przestają po dziś dzień udręczać mózgów ludzkich. Przyczyną zaś tego bezpośrednią jest wytrwałe dotąd kształcenie umysłów na filozofii greckiéj, którąby studyować należało ze względów historycznych lub estetycznych.

Wielkiém natomiast dziełem epoki etyczno-metafizycznéj, było urobione przeświadczenie o ważności zadań psychologii i niezbędnéj, a naglącéj potrzebie rozwinięcia téj umiejętności, która z natury swego przedmiotu służyć winna za punkt wyjścia urządzeń społecznych i praw moralnych.

II.

Charakterystyczną cechą drugiéj epoki w ogólnym rozwoju psychologii, jest z jednéj strony wprowadzenie do niéj, mocą kartezyańskiego wątpienia, pierwiastku sceptycznego, powtóre posunięcie do ostatecznych granic introspektywnego traktowania objawów psychicznych pod wpływem zasadniczego poglądu „*cogito ergo sum*”. Dwoistość tę, a poniekąd niekonsekwencyę wyrażała w sobie psychologia, jak i cała filozofia Kartezyusza, która z tego powodu zawiera w sobie dwojakie jak gdyby ogniwa, łączące ją jużto z najnowszą psychologią, już to z psychologią starożytnych.

Podać w wątpliwość wszystko to, co wyrobiło wychowanie, szkoła, nauka, doświadczenie lat, wierzenia, przyzwyczajenia; wstrzymanie

się na jakiś czas w sądach wogóle, wytworzenie sztuczne w przekonaniach rodzaju niezapisanéj tablicy, aby zapisywać na niéj następnie to tylko, co po poddaniu surowéj krytyce za prawdziwe uznaném być mogło, oto stanowisko Kartezyusza, przewodniczące i dziś umysłom, co rade szukać nie konwencyonalnéj, ale rzeczywistéj wiedzy, nie pozorów, lecz istotnych zdobyczy naukowych. Wątpienie Kartezyusza było odtąd zdrojem odświéżającym kierunek każdéj nauki: ono to zachwiało ślepe wierzenia w wiekami uświęcone przeświadczenia, wskrzesiło zapał do pracy umysłowéj, zdyskredytowanéj usiłowaniami wieków średnich, pobudziło śmiałość w celu zwalczenia przesądów i zabobonów, ono dało nakoniec impuls do wprowadzenia większéj ścisłości naukowéj w badania przyrody. Słowem, byłto brzask krytyki która miała doścignąć wyżyn za czasów Kanta.

Bezpośrednią konsekwencyą tego sceptycznego stanowiska była nieufność wobec wszystkiego, co wytworzyli w dziedzinie téj umiejętności jego poprzednicy.

Oddalenie się to od gościńców utartych przez starożytnych, polegało przeważnie na wprowadzeniu nowych metod, oraz zasadniczego poglądu na ogół zjawisk psychicznych. Ostrożność w przyjmowaniu za prawdziwe faktów wymagających długiéj obserwacyi, sumienne analizowanie danego przedmiotu, wystrzeganie się szybkiego wyciągania wniosków i uogólnień, kierowanie wogóle metodyczne umysłem w badaniach psychologicznych — oto rady, jakie podawał Kartezyusz w rozprawie *Discours sur la methode.* Były to naówczas, ze względu na ciasnotę formułek i poglądów średniowiecznych, ugniatających umysł ludzki od wieków, myśli nietylko śmiałe i nowe, ale epokę stanowiące, pomimo iż dziś, kiedy treść ich przeszła niejako w krew społeczeństwa, wydawać się one mogą aż nazbyt naturalnemi.

Oddalenie się to od starożytnych wyraziło się następnie w dążności zsolidaryzowania psychologii z fizyologią. Nie były to aspiracye zupełnie nowe, o tyle, iż spotykamy je już w formie mniéj lub więcéj świadoméj u starożytnych, o czém późniéj jeszcze mówić będziemy, ale było to pierwsze ich zrealizowanie systematyczne i konsekwentne. Z tém wszystkiém, pomimo nawet ważności faktu połączenia dwu tych umiejętności, znamionującego bezwątpienia postęp, rezultaty osiągnięte przez Kartezyusza, nie mają, ściśle biorąc, naukowéj wartości. Fizyologia zmysłów i systemu nerwowego za mało dostarczała naówczas materyału, aby z tego połączenia dwu sobie pokrewnych umiejętności można było osiągnąć korzyści naukowe, jak się to stało w naszym wieku.

To też Kant posunął był niepobłażliwość dla usiłowań Kartezyusza tak daleko, iż nazwał je próżną utratą czasu. Z tą samą jednak

racyą możnaby nazwać straconym czas poświęcony jakiemukolwiekbądź wynalazkowi, dopóki tenże osiągnięty nie został. Już sam fakt, że Kartezyusz zastanawia się tak długo nad wpływem procesów fizyologicznych na ogół objawów psychicznych w rozprawie „O metodzie" dowodzi, że chodziło mu nie tyle o utrwalenie własnych tylko w téj kwestyi poglądów, ile o wskazanie postępowania w psychologii prowadzącego najbliższą drogą do podniesienia téj umiejętności.

Trzecim nakoniec krokiem, oddalającym go od starożytnych, był jego pogląd mechaniczny na świat i ogół procesów psychicznych. Świat zewnętrzny uważał Kartezyusz za skomplikowany mechanizm, w którym działają stale jedne i te same siły, jedna i ta sama ilość ruchu. A pogląd ów następnie przeniósł i do antropologii. Człowiek, a mianowicie ciało ludzkie, jest takimże samym mechanizmem, w którym dusza, nieśmiertelna według filozofa francuskiego, samoistnie wprowadzać nie może żadnych zmian, modyfikując jeno w nim istniejące. Tylko zwierzęta są mechanizmami w całém tego słowa znaczeniu—człowieka wynosi nad nie rozum i wola. Poglądu tego Kartezyusz jednak konsekwentnie nie rozwinął, walcząc pomiędzy głębokością własnéj myśli a scholastycznemi nawyknieniami. Było to dopiéro dziełem jego następców, a mianowicie de la Mettrie, oraz mechaniczno-matematycznéj szkoły w Niemczech.

Wogóle-bo téż zasług Kartezyusza dopatrywać się nie należy w konsekwentném przeprowadzaniu oryginalnych jego poglądów, ile we wskazywaniu dróg i metod, które rozszerzały horyzont myśli ludzkiéj, wracając polot i swobodę skrępowanym przez wieki średnie umysłom. Zdawałoby się nawet, iż Descartes uląkł się sam śmiałości własnych pomysłów, nowości i oryginalności swego stanowiska, osiągniętych pod wpływem tych na czas jakiś w zawieszeniu pozostawionych wierzeń i przekonań, do których téż pchany nawyknieniami lat młodości powrócił, pozostawiając następcom genialne tylko wskazówki metodologiczne i bogatą w przyszłość inicyatywę.

Powrót do starych wierzeń ułatwiło Kartezyuszowi jego sławne *cogito*. Jak wątpienie nie ustrzegło go od udowodnienia istności duszy nieśmiertelnéj i istnienia Boga, tak inicyatywa w celu stosowania do psychologii metody fizyologicznéj i mechanicznéj, nie uchroniła go od zupełnego zaufania do metody samoobserwacyi i obserwacyi zewnętrznéj. Doszedłszy raz do pewnika *cogito ergo sum*, czerpie Kartezyusz następnie pełną dłonią ze świadectwa rozumu, odnajdując z łatwością wyjaśnienia wobec najtrudniejszych kwestyi i zagadnień. Mocą tylko abstrakcyjnego myślenia stawia wrzekome prawdy, jak że w umyśle naszym są tak zwane idee wrodzone, regulujące ogół pozna-

nia, dalej podaje dowody wolności woli, nieśmiertelności duszy, istnienia Boga, etc. To poleganie na najwyższéj instancyi rozumu uprawniło i ugruntowało metodę, polegającą na samoobserwacyi, która téż nigdzie bardziéj nie rozwinęła się i nie wybujała niż we Francyi. Następcy Kartezyusza, analizując samych siebie, starają się dotrzéć do poznania człowieka, objawiając tę samą skłonność do uogólnień i tworzenia nic nie mówiących definicyi, która charakteryzowała starożytnych, rezultaty zaś tą drogą osiągnięte, noszą na sobie cechę różnorodności i indywidualności zapatrywań, dozwalających się nadmiernie rozwijać dyletantyzmowi, z punktu zaś widzenia naukowego czynią ze studyów psychologicznych rodzaj literackich albo moralnych naracyi bez żadnego sprawdzianu i kontroli. Jak zaś w psychologii Kartezyusza spostrzedz łatwo te dwa wybitne kierunki, to jest sceptyczno-empiryczny i racyonalistyczny skupiający się w danych doświadczenia wewnętrznego, tak i wpływ jego na następną psychologię odezwał się w dwojaki sposób. Dążenia sceptyczne i fizyologiczno-mechaniczny sposób traktowania organizmu, budzący w wieku następnym ogromny zapał wśród filozofów, jak de la Mettrie, Holbach i Condillac, przeniosły się następnie przez pośrednictwo Spinozy do Niemiec, wytwarzając szkołę mechaniczno-matematyczną; dążenia zaś racyonalno-metafizyczne i metoda introspektywna stworzyła szkołę racyonalistów we Francyi, prosperującą po dziś dzień. Przedstawicielami jéj po Kartezyuszu byli Pascal i Mallebranche, w naszym zaś wieku Victor Cousin, Maine de Biran, Royer Collard, Teodor Jouffroy, od którego zaczyna się modernizowanie psychologii.

Takiém jest znaczenie Kartezyusza, jeżeli się go sądzi ze stanowiska czysto naukowego. Ze względów praktycznych psychologia jego i jego szkoły zdziałała nierównie więcéj. W żadnym może kraju wpływ badań ogólno-filozoficznych, a mianowicie badań z zakresu psychologicznego nie oddziałał tak głęboko na całe społeczeństwo, jak się to stało we Francyi w epoce kartezyańskiéj. Nietylko cała ówczesna literatura nosi na sobie cechę psychologicznego pogłębienia, ale i całe społeczeństwo okazuje zainteresowanie się literaturą, opartą na głębszych studyach ducha ludzkiego, dając tém dowód pewnego przejęcia się ważnością kwestyi. Kiedy w Niemczech czytanie dzieł filozoficznych było udziałem tylko ludzi poświęcających się nauce, popularniejsze nierównie dzieła francuskie czytać mógł każdy przeciętnie ukształcony człowiek.

To też gdy wśród Niemców filozofia stanowiła rodzaj niedostępnego sfinksa, urabiając w literaturze i społeczeństwie jakieś mistyczno-metafizyczne pojęcia, we Francyi przeciwnie, podnosiła istotnie poziom

psychologicznego ukształcenia. A przyczyną tego objawu był może przeważnie cudowny język Kartezyusza, przyoblekający w skończoną, a nawet artystyczną formę niedostępne abstrakcye, który rozbudzał po wsze czasy kult wobec poprawnéj i pięknéj formy. Temu to może przypisać należy, że znajomość psychologii, w znaczeniu jéj popularném, jest nierównie wyższa wśród społeczeństwa francuskiego, niż gdzieindziéj, np. u Spinozy, autora jednéj z najznakomitszych prac psychologicznych *De origine et natura affectuum*, albo u Kanta i Schopenhauera.

III.

Pierwszy prąd krytyczny wobec psychologii greckiéj, jak i psychologii rozumowéj, powiał od filozofii angielskiéj. Bakon werulamski podkopał bałwochwalczą cześć, jaką przez setki lat miały wieki średnie dla starożytnéj nauki; on to zwrócił był uwagę na czczość i sztuczność rzekomych prawd i postulatów stawianych przez Platona i Arystotelesa. „Wiedza to potęga”, mówi filozof angielski, ale chcąc ją zdobyć, zwracać się należy nie do ksiąg pisanych, ale do księgi żywéj, jaką jest przyroda. Doświadczanie, obserwowanie i eksperymentowanie z pomocą szkieł i aparatów, zbieranie faktów i powolne a ostrożne postępowanie w uogólnianiu, oto droga prowadząca do „wiedzy”, którą Bakon nazwał „potęgą”. Genialne te rady, od zastosowania których zawisłą była przyszłość ogólno-ludzkiego rozwoju umysłowego, przenikała zwolna tylko odrętwiałe pod wpływem dogmatycznych dociekań umysły; potrzeba zaś było wieków, nim odgłos wskazówek Bakona rozbrzmiewać zaczął wśród pierwszego laboratoryum psychologicznego.

Czém był Bakon wobec nauki greckiéj, tém po części Locke wobec psychologii rozumowéj. Przeciwnik idei wrodzonych, oraz bezwzględnego zaufania w dane świadomości, wprowadza on nowy kierunek do filozofii, względnie psychologii. Nie myśl jest według niego źródłem poznania, ale poprzedzające i warunkujące ją pierwiastki zależne od organów zmysłowych, t. j. czucia zmysłowe. „Nie masz nic w naszym umyśle, czegoby już poprzednio nie było w zmysłach”, mówi Locke, a zdanie to służyło nietylko za dewizę jego filozofii i jego szkoły, ale służyćby mogło zarówno za godło najnowszemu kierunkowi empirycznemu.

Na takich wzorach powstała psychologia angielska, trzymała się téż, z małemi wyjątkami po wsze czasy, zdala od negatywnego

kierunku psychologii greckiéj, jak i od wybujałości psychologii rozumowéj.

Takie to dziedzictwo umiejętnościowe w psychologii dostało się jednemu z najsurowszych jéj rzeczników, a zarazem najkrytyczniejszych umysłów XVIII wieku, jakim był Kant. A przyznać trzeba, iż wątpienie Kartezyusza, będące jedną z cenniejszych cząstek téj spuścizny, nie mogło paść na podatniejszy umysł do wyhodowania i doprowadzenia go do ostatecznych konsekwencyi. Rezultatem zaś zespolenia się sceptycyzmu kartezyańskiego z trzeźwością Bakona w krytycznym z natury swéj umyśle Kanta, wytworzyło owe epokowe w historyi filozofii, w znaczeniu ewolucyjném, dzieło, to jest „krytykę czystego rozumu”. Dzieło to jest słupem granicznym pomiędzy starą a nową filozofią, pomiędzy naiwnością a powagą wiedzy, uczy bowiem wprowadzać w każdą naukę niezbędny fundament: krytykę. Czém zaś dla ogólnego rozwoju nauk, tém był Kant i dla psychologii: przedstawicielem krytyki. Patrząc z głębokością niezwykłéj miary filozofa na cały dobytek psychologicznéj wiedzy, umiejąc roztrząsnąć w niéj dodatnie i ujemne strony, skontrolowawszy moc i niemoc jéj metod, stawia owo zasadnicze pytanie: c z y p s y c h o l o g i a w o g ó l e m o ż e b y ć n a u k ą ś c i s ł ą? i na pytanie to daje odpowiedź przeczącą. Nie, mówi Kant, psychologia nie może być nauką ścisłą: po pierwsze, dla tego, iż do niéj stosowaną być nie może matematyka, zjawisk bowiem psychicznych nie można ani ważyć, ani mierzyć, każda zaś nauka ścisła wymaga z konieczności matematycznego traktowania zjawisk; powtóre psychologia czerpie swoją wiedzę mocą metody samoobserwacyi, albo obserwacyi zewnętrznéj, obiedwie zaś te metody dostarczają faktów tylko względnie prawdziwych, do poznania praw natury ludzkiéj dotrzéć nie pozwalających. Twierdzenie to popiéra Kant głębszą krytyką metody samoobserwacyi i obserwacyi zewnętrznéj. Przeciwko pierwszéj świadczy nietylko zupełny brak ścisłości w poznawaniu wewnętrznych stanów, ale i wzgląd natury hygieniczno umysłowéj. Kant nie wyobraża sobie, żeby zdrowy umysł był w stanie, bez szkody dla ścisłości wymaganéj przy obserwacyi naukowéj, jak i bez szkody dla zdrowia, odrabiać dwie znoszące się wzajemnie rzeczy, mianowicie żeby mógł równocześnie obliczać coś np. albo się gniéwać i bieg tego abstrakcyjnego myślenia albo gniewu śledzić. Ktokolwiek zaś robi sobie na tym punkcie iluzye i usiłuje wprowadzić ów element refleksyjny w bieg swoich myśli i uczuć, zmienia wówczas, nie wiedząc o tém, rozwój ich normalny albo je téż znosi zupełnie.

Podobnie, choć z mniéj doniosłemi wątpliwościami, odzywa się Kant o obserwacyi zewnętrznéj. Ktokolwiek—mówi on—spostrzeże,

iż jest przedmiotem obserwacyi, przechodzi natychmiastowo w jakieś dziwne zakłopotanie i chce się wobec tego najczęściéj okazać takim, jakim nie jest nigdy, albo téż, przeciwnie, ukryje, czém jest. Posługiwanie się zatém i tą metodą wymaga conajmniéj wielkich ostrożności. A potrzeba było istotnie genialności Kanta, aby po takiém skrytykowaniu stanowiska i metod w psychologii, zabrać się do znakomitego zresztą dzieła, jaką jest jego antropologia, zwlaszcza, iż jedynėm źródłem nagromadzonych tamże faktów, jest metoda tylko obserwacyi zewnętrznéj, którą stosował Kant nietylko bezpośrednio do otaczających, ale zasilał się pośrednio w historyi, życiorysach znakomitych ludzi, a nawet dramatach i komedyach, oraz opisach podróży. W ten sposób zaznaczył Kant rozdział pomiędzy psychologią naukową, w któréj przyszłość nie wierzył (jak nie wierzył w psychologię fizyologiczną), a psychologię opisową, dostępną dla każdego, która, trzymając się zdala od metafizyki, mocą sumiennéj tylko obserwacyi zewnętrznéj, wytwarzać może wiedzę wielkiego znaczenia praktycznego.

Wpływ Kanta na psychologię miał zatém przeważnie znaczenie negatywne: wskazywał, czém ona być nie może. Wobec zaś tego ciekawém będzie pytanie, o ile negatywny sąd Kanta miał racyę bytu i jak nań odpowiedziała bezpośrednia, a jak tegoczesna epoka. Z pytaniem tém przechodzimy do czwartéj a najciekawszéj epoki w rozwoju psychologii, objętéj ogólném mianem psychologii empirycznéj.

IV.

Negatywne horoskopy Kanta co do psychologii, nietylko że nie wywołały zwątpienia o przyszłości téj umiejętności, ale przeciwnie stały się znamiennym bodźcem w celu ich obalenia. Wprowadzenie matematyki do poszukiwań psychologicznych zaczyna być odtąd największą ambicyą psychologów niemieckich, a historya tego zetknięcia się nauki ścisłéj z nauką, opartą dotąd na samoobserwacyi przeważnie, wykazuje w krótkim przeciągu czasu dwa wybitne kierunki. Pierwszy z nich jest rodzajem syntetycznego przystosowywania formuł matematycznych do zjawisk psychicznych, w myśl metody mechanicznéj, do któréj inicyatywę dał był Kartezyusz i Spinoza, drugi zaś w przeciwieństwie do pierwszego jest li prostém zastosowaniem miary do stanów świadomości, które zawdzięcza psychologia śpiesznemu w ostatnich czasach rozwojowi filozofii, jak i niespodziéwanym odkryciom w zakresie psychologii fizyologicznéj. Obadwa te kierunki

względnie do odpowiednich im metod nazwiemy: pierwszy mechaniczno-matematycznym, drugi—eksperymentalnym.

Kierunek mechaniczno-matematyczny ciekawym jest z powodu środkującego stanowiska, jakie zajął pomiędzy dążeniami ściśle naukowemi, a nienaukowemi. Niemożność bezpośredniego obliczania i mierzenia ruchów świadomości, popchnęła psychologów na ślizką drogę tworzenia hipotez w formie matematycznéj, które miały w sobie pomieszczać rzekomo ze ścisłością naukową zaobserwowany materyał czy to mechanizmu wyobrażalnego, jak to uczynił Herbart, czy to ogólno-psychologicznego funkcyonowania systemu nerwowego, jak Ryszard Avenarius: słowem hipotezy te interpretować miały *a priori* ogół ruchów świadomych.

Pierwszy tą drogą poszedł Herbart. Mechanika i statyka wyobrażeń, to jest znikanie ich i pojawianie się w świadomości mocą jakiegoś wewnętrznego ściérania się, zajmowały Herbarta, jak mówią jego biografowie, od lat najmłodszych. Z ciekawością i wytrwałością badał on bieg i łączenie się wyobrażeń, szukając prawa, któreby stanowiło o ciągłém powstawaniu i znikaniu ich ze świadomości, jak i o wzajemném ich na siebie oddziaływaniu i ograniczaniu się. Prawo to odnajduje Herbart mocą następującéj hipotezy. Umysł nasz jest mechanizmem, w którym występują stale do działania poszczególne jego cząstki albo siły, za jakie podobnie jak Leibnitz, monady, podaje wyobrażenia, a które jako takie, różnią się pomiędzy sobą co do stopnia tylko swéj intensywności. Intensywność ta musi być zatém głównym czynnikiem ciągłego ściérania się, antagonizmu pomiędzy wyobrażeniami. Wyobrażenia intensywniejsze, naciérając na słabsze, usuwają je do progu świadomości, wyobrażenia zaś słabsze, stawiając im opór, wdziérają się znów do świadomości: jedne zaś i drugie w tém wzajemném ograniczaniu się, tracą swą siłę — mówi Herbart—w odwrotnym stosunku do jéj natężenia. To jest każde wyobrażenie silniejsze, jako posiadające więcéj szans do zwalczenia słabszego, traci nierównie mniéj ze swéj intensywności, słabsze zaś wobec silniejszego traci jéj nierównie więcéj. Jeżeli np. weźmiemy dwa przeciwległe wyobrażenia (wyobrażenia np. ciepła i zimna) a więc A i B, których odmienne intensywności zaznaczamy małém a i b, i jeżeli przypuścimy, iż intensywność pierwszego, t. j. A, jest większą od intensywności drugiego t. j. B, wówczas przyjąć musimy, iż w starciu tém pomiędzy niemi w celu zachowania się w świadomości, A ma szans nierównie więcéj, niż B, to jest, że utraci ono ze swéj ilościowéj wartości nierównie mniéj, niż B. Ale jakiż może być ów stosunek, wyrażony w formie matematycznéj? Otóż — mówi Herbart — obadwa takie wyobrażenia

w starciu pomiędzy sobą stracić mogą co najwyżéj tyle ze swéj intensywności, ile jéj ma w sobie słabsze wyobrażenie, gdyby bowiem straciły więcéj, wówczas jedno z nich musiałoby zniknąć zupełnie, co sprzeczném byłoby z założeniem. Jeżeli zatém $A >$ jest od B, straci ono na oporze wobec B, $\frac{b^2}{a+b}$, B zaś, jako słabsze, straci $\frac{ab}{a+b}$, czyli nierównie więcéj w stosunku do pierwszego; A zaś wobec tego zachowa się w świadomości wartością $a-\frac{b^2}{a+b}=\frac{a^2+ab-b^2}{a+b}$, B zaś wartością albo intensywnością $b-\frac{ab}{a+b}=\frac{b^2}{a+b}$. Albo posługując się przykładem arytmetycznym, zamiast algebraicznego, jeżeli wyobrażenie silniejsze, oznaczamy cyfrą 3, słabsze cyfrą 2, to obadwa razem utracą ilość równającą się 2, w tym jednak stosunku, iż A straci przy oporze, stawianym słabszemu $^4/_5$, słabsze zaś $^6/_5$ ze swéj intensywności, czyli wartość ich mieć się będzie teraz do siebie, jak $^{11}/_5$ do $^4/_5$ i t. d.

Hipoteza ta, którą podaliśmy, bardzo tylko szematycznie zjednała sobie ogromne koło zwolenników. A byłto rezultat nie saméj hipotezy, ile wprowadzenia nowego, a wiele, jak się zdawało, obiecującego kierunku matematycznego do psychologii. Możność obliczania ilościowego zjawisk psychicznych pociągała wszystkich.

Tymczasem niedokładności w hipotezie matematycznéj Herbarta krytykowano, usuwano. Drobisch, jego kontynuator, probował nawet hipotezę swego mistrza ulepszyć i zmodyfikować, inni podéjmowali również tę niewdzięczną pracę, ale rezultaty, stąd wynikłe, pożądanego celu nie osiągnęły. Hipoteza Herbarta traciła coraz bardziéj grunt pod sobą. A. Lange nakoniec w rozprawie swéj *Der Fehler in Herbart's Grundlegung der mathematischen Psychologie*, dowiódł, iż hipoteza ta nie tylko nie godzi się z poglądami metafizycznemi jéj twórcy, ale że zawiéra w sobie niedający się w żaden sposób usunąć błąd matematyczny.

Nie wchodząc jednak w konstrukcyjną wartość hipotezy Herbarta, uważamy, iż fakt niemożności kontrolowania tego rodzaju półnaukowych kreacyi, nie może do nich budzić zaufania, tém mniéj zaś żądać można od nauki, aby się z niemi solidaryzowała, słusznie bowiem powiedział tenże sam Lange, iż „z powodu ogromnéj rozmaitości zjawisk psychicznych, każda z takich hipotez, chociażby najlepsza, nie wyłącza możności pojawienia się jeszcze lepszéj”, na żadną zaś z nich nie ma odpowiedniego sprawdzianu.

To też owo zastosowanie matematyki do psychologii nie obaliło wątpliwości Kanta co do jéj naukowéj przyszłości, jeżeli zaś działalność Herbarta budziła przez długi czas ogromne zainteresowanie, to jeno dlatego, iż zdawała się zaspokajać naglącą potrzebę wprowadzenia do

psychologii większéj ścisłości, któréj potrzebę odczuwali coraz głębiéj pracownicy na niwie psychologicznéj. „Będzie to — mówi Lange w swéj historyi materyalizmu (II, str. 352)—zadziwiającym pomnikiem fermentu filozoficznego w Niemczech, że umysł tak przenikliwy, jakim był Herbart, mąż o zdumiéwającéj sile krytyki i wysokiém wykształceniu matematyczném, mógł wpaść na awarturniczą myśl odkrycia „zasad dla statyki i mechaniki wyobrażeń na drodze spekulacyi". Bardziéj jeszcze uderzającém jest, że umysł tak światły, w iście filozoficzny sposób zwrócony ku życiu praktycznemu, mógł się zapuścić w tak mozolny i niewdzięczny trud, jak wypracowanie całego systemu statyki i mechaniki ducha według swojego zasadnika, nie mając żadnéj rękojmi na doświadczalne jego usprawiedliwienie".

Faktem natomiast niezaprzeczonym jest, iż Herbart wytworzył całą szkołę psychologów, którzy sztandar wiedzy zatknęli nierównie wyżéj, stawiając sobie za ideał wytworzenie z niéj nauki ścisłéj: takimi byli: Lazarus, Steinthal, Volkmann, a poniekąd Lotze, Fechner i Wundt, którzy czerpali pełną dłonią z doświadczenia głębokiego umysłu Herbarta, autora „Psychologii naukowéj".

Najznakomitszym zaś przedstawicielem kierunku mechaniczno-matematycznego jest obecnie w Niemczech Ryszard Avenarius, który studyował był psychologię Herbarta pod kierunkiem bezpośredniego jego ucznia, Drobisch'a. Avenarius podjął myśl nierównie śmielszą od Herbarta, stawiając hipotezę, ujętą również w formę matematyczną, która ma tłómaczyć nietylko wzajemne oddziaływanie na siebie wyobrażeń, ale powstawanie i tworzenie się naszego doświadczenia w ogóle. Hipoteza ta w wyższym nierównie pomyślana stylu, dostarcza téż cenniejszych pozorów prawdziwego zfotografowania mechanizmu poznawczego, z powodu zwłaszcza, iż opiéra się na podstawach psychologiczno-biologicznych. Sprawdzianu jednak dla niéj, jak dla hipotezy jego poprzednika, nauka dostarczyć nie zdoła.

V.

Skromniejsze nierównie zadanie ma przed sobą psychologia eksperymentalna, albo tak zwana psycho-fizyka, któréj twórcą był zmarły przed kilku laty Gustaw Teodor Fechner. Zerwała ona nietylko z wszelkiemi hipotezami metafizycznemi i zagadnieniami takiemi, jak: czém jest dusza ludzka, jaźń albo świadomość, ale zrzekła się zarówno problematycznéj wartości danych psychologii introspektywnéj, jak i hipotez szkoły mechaniczno-matematycznéj.

„Psychologia eksperymentalna zaczyna od tego, na czém kończy fizyologia”, tak zazwyczaj określają psychologowie zakres jéj badań. Zawiązki tego zespolenia się dwu umiejętności, mających tenże sam przedmiot, z odmiennego tylko punktu zapatrywania się nań, sięgają dalekich bardzo czasów. Już Demokryt stara się poszczególne funkcye psychiczne zlokalizować w odpowiednich organach ciała i tak, myśl ma według niego siedlisko swoje w głowie, gniéw w sercu, a namiętność w wątrobie. Arystoteles podaje za główny organ życiowy serce, mózg uważając za aparat do chłodzenia tegoż. Badania co do poszczególnych zmysłów odnajdujemy również bardzo wcześnie. Arystoteles w swoich trzech księgach o duszy ludzkiéj poświęca już osobne rozdziały każdemu z poszczególnych zmysłów. Te same dążenia, na większą tylko skalę, pomimo niskiego jeszcze stopnia rozwoju fizyologii systemu nerwowego, widnieją w epoce Kartezyusza. Autor traktatu „O namiętnościach” wykazuje pod tym względem, jak to widzieliśmy, głębokie wniknięcie w przyszłość, do jakiéj zdążała psychologia. Kwestyą fizyologicznego traktowania objawów psychicznych zajmują się odtąd uczeni coraz częściéj: pojawiają się sporadyczne prace w tym rodzaju, jak teorya barw Newtona, także teorya Göthego i Schopenhauera, „teorya widzenia” Berkeley'a, *les aveugles nés* Diderot'a, *sur la vie et la mort* anatoma francuskiego, Bichat'a i t. d.

Pomostem zaś, który najwięcéj przyczynił się do zbliżenia i zsolidaryzowania dwu tych gałęzi wiedzy, był od dawnych czasów utrwalający się pogląd, iż najpierwotniejszemi czynnikami naszego poznania wogóle są czucia zmysłowe. Tak sądzili sensualiści, tak idealiści; twierdzenie to jednak pozostawało zrazu martwą literą, następnie zaś impulsem, znaglającym do poszukiwań krytycznych lub abstrakcyjnych o pozorach tylko doświadczalnego traktowania kwestyi. Przewodnik sensualizmu angielskiego, Locke, postawił już był kwestyę jasno i stanowczo. Condillac na owéj allegorycznéj statui, obdarzonéj pierwotnie jednym z najuboższych zmysłów, jakim jest powonienie, zdanie Lock'a wymownie zilustrował. „Rozum — mówi on — namiętności, wszystkie jedném słowém czynności duszy są jedynie wrażeniem różnorodnie się przemieniającém.

Synteza pierwiastków czuciowych zajmowała następnie Kanta, bezpośredni zaś jego następca Schopenhauer, rozpoczyna swoje dzieło *Die Welt als Vorstellung und Wille* zdaniem „świat jest mojém wyobrażeniem”. Czucie, według niego, jest początkiem wszelkiego poznania; ono to narzuca się rozumowi, jako skutek, do którego tenże dorabia i kształtuje, mocą pierwiastków *a priori* czasu, przestrzeni i przyczynowości, przyczynę, albo wyobrażenie. Reminiscencyę zaś

tego poniekąd metafizycznego poglądu, stanowiącego jedną z podstaw filozofii Schopenhauer'a, odnajdujemy jeszcze w „Optyce fizyologicznéj Helmholtz'a.

Jednolitość tę funkcyi psychicznych stawianą *a priori* przez filozofów, stwierdziła *a posteriori* fizyologia. Charles le Bel, fizyolog francuski, odkrył był, iż wszystkie nerwy wogóle, a więc i nerwy rdzenia paciérzowego, będące pośrednikami pomiędzy peryferyą a mózgiem, wywołują stale też same funkcye psychiczne: jedne z nich zdążające od peryferyi do centrum, a więc dośrodkowe wywołują w świadomości czucie, drugie zaś, odśrodkowe, odpowiadają na każde podrażnienie—ruchem. Czucie i ruch — oto pierwiastki życia psychicznego w ogóle. Że zaś nerwy, jak okazały doświadczenia, są same w sobie indyferentnemi wobec rozwoju funkcyi psychicznych, odrębność przeto zachodząca w czuciach zmysłowych, pochodzić może jedynie od różnic poszczególnych aparatów zmysłowych. Przeświadczenie to było hasłem do bardzo żywotnéj, a wspólnéj odtąd pracy fizyologów i psychologów. Analizowanie nietylko anatomiczne i morfologiczno-histologiczne ale funkcyonalne i rozwojowe poszczególnych zmysłów, jak i całości ustroju nerwowego otworzyło ogromne ujście dla pracy fizyologicznéj. Przez pośrednictwo tychże badań znamy dziś nietylko bieg promieni świetlnych po przez skomplikowane pokłady naszego oka, ale wiemy, jaki punkt i jakie cząstki morfologiczne siatkówki warunkują najintensywniejsze widzenie, co sprawia, iż w innych widzimy gorzéj, albo i wcale nic; wiemy, do czego nam służy i czém jest spowodowany każdy ruch oka jak i połączone działanie obu; mamy hipotetyczne teorye barw, tłómaczące możliwość odczuwania najrozmaitszych farb, takież teorye objaśniające, w jaki sposób, pomimo, iż obrazy przedmiotów odciskają się na naszéj siatkówce odwróconemi, my widzimy je wprost; mamy również wyjaśnienia najrozmaitszych złudzeń oka i t. d. Badania, dotyczące przyrządu słuchowego, pouczają nas dokładniéj i bardziéj przekonywająco, niż to czyniły idealistyczne poglądy filozofów, iż świat tonów i dźwięków podmiotowego jest pochodzenia, iż istnieje wogóle dla tych tylko, co posiadają zdrowy nerw, łączący przyrząd słuchu z centrum, oraz rozwinięty normalnie mechanizm słuchowy. Cudownie ukonstytuowany organ Corti'ego przedstawia nam się obecnie jako najkunsztowniejszy instrument, w którym drgania powietrzne, działające nań pośrednio, mocą niezmiernie skomplikowanego, choć tak drobnego aparatu, dzielącego organ wewnętrzny od świata zewnętrznego, wywołują dla świadomości naszéj czar tonów i dźwięków, jak i bardziéj złożonych zgłosek.

Studya anatomiczno-fizyologiczne nad poszczególnemi częściami ucha, które Flourens'a już naprowadziły na myśl, iż skomplikowany ustrój tegoż nie służy samym tylko czuciom słuchu, rozszerzyły w ostatnich dziesiątkach lat zakres wiadomości, dotyczących organów zmysłowych. Pewném jest już dziś prawie, iż niektóre części wewnętrznego przyrządu ucha służą do regulowania i apercepowania ruchów głowy jak i równowagi całego ciała, oraz, że zanik słuchu połączony bywa często z niepewnością ruchów, oraz zaobserwowaną u głuchoniemych niemożnością np. pływania z powodu braku poczucia równowagi w pozycyi leżącéj.

A ileż danych dostarcza fizyologia systemu nerwowego, bez uwzględnienia których nie podobna się psychologowi zapuszczać na niebezpieczną drogę wyjaśniania funkcyi psychicznych. Znajomość funkcyonowania nerwów i mięśni, możność obliczania szybkości działających na nie prądów elektrycznych, pouczające operacye, dokonywane na zwierzętach, pokazujące, że usunięcie najdrobniejszéj chociażby cząsteczki z poszczególnych zwojów mózgowych wywołuje już to sparaliżowanie poszczególnych części ciała, już to głuchotę, ślepotę, zanik mowy, woli, albo nawet zmianę najlepszego usposobienia na gorsze, lub złego na lepsze, daléj obserwacye, dotyczące ciśnienia krwi na objawy psychiczne, wszystko są zdobycze naukowe, które choć nie tłómaczą nam, czém jest czucie wogóle, ale są cudownym zadatkiem wniknięcia we funkcyonowanie mechanizmu poznawczo - czuciowego. Ogromny postęp, jaki się dokonał na tém polu, zawdzięcza nauka pracownikom takim, jak Claude Bernard, du Boy Raymond, Helmholtz, Pflüeger, Goltz, Hernig i t. d.

Zakres poszukiwań psychologicznych, dotyczących organów zmysłowych, jest nieco odmiennéj natury. Fizyolog analizuje poszczególny organ, jako konieczny warunek złączonéj z nim funkcyi, badając jego anatomiczno-morfologiczną strukturę, oraz chemiczno-fizykalne właściwości; psycholog zaś ma głównie na celu obserwowanie i zestawianie stosunku, zachodzącego pomiędzy podrażnieniem z jednéj strony, a czuciem albo wyobrażeniem z drugiéj; pyta on mianowicie, jak każdy organ zmysłowy reaguje wobec zmiennych przyczyn zewnętrznych, w poszukiwaniach tych posługując się, jako jedynym sprawdzianém, świadectwem świadomości. Ona to bowiem pozwala orzekać, czy wogóle wobec odmiennéj np. intensywności podrażnień, zmienia się czucie, ona to konstatuje, czy struna odmiennéj długości wydaje odmienne tony lub nie, albo czy téż sama struna, podrażniona w różnych częściach swojéj długości, wydaje tony już to niskie już wysokie, czy odrobina soli, dodana do niesłonéj potrawy, zamienia ją na smaczną i t. d.

Co zaś każdéj chwili sprawdza najzwyczajniejsze doświadczenie, to samo psychologia eksperymentalna poddaje kontroli naukowéj, zbiérając najdokładniejsze w tym kierunku cyfry.

Że zaś jak wiadomo, za świadectwem świadomości, czucia nasze różnią się pomiędzy sobą nietylko co do swéj jakości, ale także i co do swego natężenia i tak zwanego nastroju, to jest miłego lub niemiłego uczucia, towarzyszącego wrażeniom, pytania zatém, jakie sobie zadaje psychologia eksperymentalna, odnoszą się do tych trzech właściwości czucia, t. j. jakości, ilości i nastroju *(Betonung)*. Psycholog pyta np. i oblicza: co sprawia wrażenie jasności i różnorodności barw? jakiém jest *minimum* albo *maximum* drgań świetlnych, które obudzić mogą w świadomości poczucie swiatła? jaką potrzeba wprowadzić różnicę w natężeniu światła, aby zwrócić naszą uwagę na to, że światło zostało wzmocnioném? gdzie się zaczyna granica takiego natężenia światła, w któréj ono wydaje się nam miłém, a gdzie się ona kończy? Co warunkuje ton niski albo wysoki? od czego zależna jest barwa tonu? czém się różni ton od szmeru? Na czém polega harmonia, dysharmonia, rytm, takt? Jaką jest wrażliwość poszczególnych części ciała? i t. d. A są to po części pytania, na które odpowiedziała psychologia psycho-fizyczna ze ścisłością iście matematyczną.

Najcenniejszym zaś rezultatem poszukiwań, dotyczących stosunku pomiędzy podrażnieniem zzewnątrz, a czuciem wewnętrzném, jest tak zwane prawo psycho-fizyczne, albo prawo weberowskie, odkryte przez Henryka Webera, a opracowane z całą ścisłością przez Fechnera. Prawo to będzie jedną z największych zdobyczy naukowych naszego wieku, chociaż doniosłości jego dotychczas ocenić jeszcze niepodobna, znaném jest i opracowywaném dopiéro od roku 1860.

Codzienne doświadczenie uczyło, iż chcąc np. lepiéj oświetlić pokój, używa się zamiast jednéj świécy dwu, albo zamiast jednéj, dwu lamp; stąd zaś najbliższy wniosek, że dwie świéce albo dwie lampy oświécać muszą dwa razy lepiéj, niż jedna. Mniemanie to aż do niedawnych czasów było ogólném. Tymczasem Henryk Weber zwrócił uwagę na mylność tego mniemania. Zaprzecza on temu stanowczo, aby dwie świéce dawały dwa razy tyle światła, co go daje jedna, albo, żeby jeden funt zaważył na ręku swoim ciężarem dwa razy więcéj niż pół funta, zaprzeczenie to zaś oparł na ciekawych bardzo doświadczeniach. I tak: wobec odczuwania np. ciężaru, spoczywającego na ręku, stawia sobie Weber następujące pytanie: jakiém jest minimalne podrażnienie, które wogóle odczuć możemy, jako wrażenie ciężaru? Otóż z licznych doświadczeń pokazało się, iż w przecięciu u osób nor-

malnéj wrażliwości 2 mg wystarczają na to, aby obudzić świadomość, iż coś wogóle spoczywa na naszéj dłoni. To najmniejsze podrażnienie, mogące być odczutém, nazywa Fechner progiem podrażnienia, odpowiednie zaś *minimum* wrażenia—progiem świadomości. Każdy bowiem mniejszy ciężarek, a więc 1 mg. np., albo $1^3/_4$ mg., pozostające pod tymże progiem podrażnienia, nie wywołują wrażenia żadnego.

Zachodziło jednak drugie ciekawe bardzo pytanie, a mianowicie, ile do tych 2 mg dołożyć potrzeba, aby odczuć i uświadomić sobie zwiększenie się ciężaru: czy znów 2 mg, czy téż mniéj albo więcéj. Otóż Weber doszedł do rezultatu, iż aby odczutą została minimalna różnica co do intensywności dwu takich ciężarków, potrzeba koniecznie aby pierwotny ciężarek powiększonym został o $^1/_3$ swéj wartości, a więc w przykładzie niniejszym ciężarek dwumiligramowy zastąpionym być musi $2^2/_3$ mg, czyli, co na jedno wyjdzie, każdy następny ciężar zawiérać musi w sobie $^4/_3$ poprzedniego. Tak samo w dalszym ciągu chcąc odczuć powiększenie się ciężarku $2^2/_3$ mg, podnieść go należy do $3^5/_9$ i t. d. Zupełnie tak samo ma się rzecz z wrażeniami termicznemi i akustycznemi; obliczenia zaś rezultatów z tychże doświadczeń dokonać można z łatwością, jeżeli jak poprzednio, począwszy od progu świadomości, a więc, jak w poprzednim przykładzie, od 2 mg, każde następne podrażnienie podnosić będziemy w takim stosunku, iż zawiérać ono będzie $^4/_3$ poprzedniego. W ten sposób można złożyć cały szereg ustopniowanych podrażnień zewnętrznych do odpowiednich wrażeń wewnętrznych:

2	$2\,(^4/_3)$	$2\,(^4/_3)^2$	$2\,(^4/_3)^3$	$2\,(^4/_3)^4$	i t. d.
	1	2	3	4	

Względnie do osiągniętych rezultatów, które okazały się w przybliżeniu téż same w doświadczeniach, stosowanych do różnych zmysłów, odkrycie to Webera nazwał Fechner prawem psychologiczném, które sformułował w następujący sposób: „ażeby wrażenie wewnętrzne wzrastało w postępie arytmetycznym, potrzeba, aby podrażnienie zewnętrzne wzrastało w postępie geometrycznym". Albo ściśléj: „wrażenie jest proporcyonalném logarytmowi podrażnienia". Odkrycie tego prawa zdawało się zapowiadać nową jakgdyby erę w badaniach psychologicznych. Powstaje cała nieomal szkoła, na czele któréj stali Fechner i Wundt, która prawo to analizuje, sprawdza, komentuje, zadawalniając się lub nie, osiągniętemi rezultatami. W krótkim przeciągu czasu wytwarza się cała prawie biblioteka rozpraw i dzieł, dotyczących téj kwestyi, jak i metod w celu większéj dokładności eksperymentalnéj w tym kierunku. Że zaś wykazanie prawa tego w zakresie

różnych zmysłów napotykało rozmaite trudności i niedokładności, stąd impuls do coraz gwałtowniejszych sporów i krytyk. A spory te nie zakończyły się aż dotąd. Faktem jednak dokonanym jest możność zestawiania stosunku matematycznego pomiędzy podrażnieniem zewnętrznėm a czuciem, albo wrażeniem wewnętrznėm.

Nie możemy nakoniec pominąć ważnego bardzo faktu w rozwoju psychologii eksperymentalnėj, jakim jest wypadkowo odkryta możność mierzenia czasu, potrzebnego na wytwarzanie się tak zwanėj przez Wundta apercepcyi, to jest procesu psychicznego, mocą którego dane podrażnienie z zewnątrz dostaje się nietylko do naszėj świadomości, ale zostaje zauważonėm i spostrzeżonėm. Z doświadczeń w tym kierunku wiemy np. ile czasu potrzeba, aby zobaczyć światło, farbę, albo usłyszėć dźwięk, etc. Sposób ten mierzenia apercepcyi odnalezionym został, jak powiedzieliśmy, wypadkowo. Jeszcze w roku 1795-ym w obserwatoryum w Greenwich spostrzegł był profesor astronomii Maskelyne, iż asystent jego dr. Kimbrook, który poprzednio najdokładniėj notował przechodzenie planet przez oznaczony punkt w lunecie, po jakimś czasie notowanie to opóźniał ze szkodą dla ścisłości w obserwacyach astronomicznych. Opóźnianie się to wynosiło początkowo 0·3 sek., następnie doszło do 0·5 sek. Kimbrook mianowicie patrząc przez lunetę, miał obok siebie aparat elektryczny, złączony z zégarem, który to aparat pozwalał mu każdėj chwili, przyciśnięciem klucza prąd znosić, przez co zégar zostawał w biegu swym wstrzymany. Obowiązkiem zaś Kimbrooka było czynić to w chwili, kiedy obserwowana planeta stykała się z oznaczonym punktem w lunecie, mocą przeciągniętego przez nią włósienia, wstrzymany zaś w tymże momencie zégar wskazywał czas przejścia przez ów punkt planety. Fakt opóźnienia się Kimbrooka w notowaniu przechodzenia planet, spowodował z jednėj strony usunięcie asystenta z posady, z drugiėj — wprowadził na ślad nowego sposobu obserwowania zjawisk psychicznych. Astronom ówczesny Bessel, powiadomiony o tym wypadku, wpadł na myśl, iż opóźnianie się to mogło pochodzić z przyczyn zupełnie od pilności Kimbrooka niezależnych, a po kilku próbach w tego rodzaju obserwowaniu planet z różnemi osobami, o słuszności swego przypuszczenia się przekonał.

Przykładem tym zainteresowani fizyologowie, podjęli po jakimś czasie dalsze na tém polu poszukiwania, przypuszczając z góry, iż jeżeli tak jest rzeczywiście, jak zapewniał Bessel, wówczas mógłby to być doskonały środek do mierzenia wogóle długości czasu potrzebnego do wytworzenia się apercepcyi wobec podrażnień poszczególnych zmysłów. Myśl tę wprowadzono niebawem w czyn. Pierwszy tego ro-

dzaju doświadczenia podjął był Helmholtz, i uczeń jego Baxt, dalej Z. Exner, obecnie zaś liczne studya w tym kierunku dokonywują się w laboryach psychologicznych W. Wundt'a i H. Munsterbergera.

Na wzór dokonanego po raz pierwszy przez astronomów spostrzeżenia, posługiwano się i w psychologicznych próbach aparatem elektrycznym, który łączono tym razem z kimographionem, albo lepiéj jeszcze z chronoskopem, aby módz następnie odczytywać na nich długość potrzebnego czasu na spostrzenie np. iskry elektrycznéj, albo usłyszenie dźwięku, etc.

Osoba użyta do takiego doświadczenia, obowiązana była w chwili kiedy spostrzeże albo usłyszy umówione podrażnienie, przycisnąć czemprędzéj guzik prądu elektrycznego, który to prąd poprzednio wywołał był, równocześnie, pojawienie się podrażnienia, mającego być apercepowaném, a więc iskry np., oraz wprawiał w ruch skazówkę chronoskopu. Czas zaś ubiegły od chwili pojawienia się podrażnienia aż do chwili, w któréj osoba reagująca iskrę spostrzegła i prąd zniosła, obliczyć można następnie z całą dokładnością na cyferblatach chronoskopu. Osiągnięte tą drogą cyfry przedstawiają nietylko samą apercepcyę, jak to widzimy, ale cały kompleks funkcyi psychiczno-fizyologicznych, osoba bowiem reagująca musi najpierw umówione podrażnienie zobaczyć i spostrzedz, następnie zaś przypomnieć sobie o obowiązku naciśnięcia klucza, co znów wymaga inerwacyi odpowiednich muskułów, etc. Czas też potrzebny na przebieg całego tego procesu nazwał Exner c z a s e m r e a k c y j n y m (z którego znów za pośrednictwem bardziéj skomplikowanych doświadczeń, odliczano cząstkę tegoż czasu, mogącą przypadać na samą tylko apercepcyę). Że jednak wszystkie osoby używane do takich doświadczeń, reagują w tenże sam sposób i wśród tychże samych mniéj więcéj warunków, cyfry zatém tą drogą osiągnięte, pouczają w każdym razie o różnicach zachodzących w długości reakcyi wobec podrażnienia różnych zmysłów, albo téż o odmiennych reakcyach różnych indywiduów. Co do poszczególnych zmysłów np. spostrzeżono, iż one funkcyonują nie z jednakową szybkością. Wobec np. nagle pojawiającéj się iskry elektrycznéj, reaguje normalny człowiek przeciętnie w 0·150 sek. według Exnera, w 0·222 sek. według Wundta; dźwięk zaś apercepujemy już w 0·136 sek. według pierwszego, w 0·167 według drugiego. Słuch zatém szybszym jest przewodnikiem, niżeli wzrok. Dłuższego jeszcze czasu wymaga apercepcya smaku albo zapachu.

Powtóre, przekonano się, iż w reakcyach tego rodzaju zachodzić mogą znaczne różnice, zależne już to od wieku, temperamentu, a zwłaszcza przyzwyczajenia do skupienia uwagi poszczególnych osobników,

już to od wpływów jak zmęczenie, choroba albo użycie kawy, opium, etc.

Exner używał np. do eksperymentów tego zakresu ludzi różnego wieku i usposobienia. Kiedy np. człowiek, mający lat 27, reagował wobec podrażnień elektrycznych w 0·1337 sek., osłabiony wiekiem starzec potrzebował do takiéjże reakcyi 0·9952 sek. Porównywanie zaś reakcyi młodego i wesołego bardzo człowieka z reakcyami również młodego, ale powolnego i bardzo myślącego, wykazało, iż pierwszy reagował nierównie wolniéj, a mianowicie w 0·3311 sek., drugi zaś w 0·1337 sek. Exner, opiérając się na tém, sądzi, że szybsze reagowanie zależném jest nietylko od wieku i usposobienia, ale głównie od przyzwyczajenia do skupiania uwagi. Następnie robiono doświadczenia z osobami, które na godzinę np. przed posiedzeniem, użyły oznaczoną ilość wina reńskiego np. albo kawy, także morfiny, opium, etc. pod wpływem których reakcye najczęściéj w pierwszéj chwili są nieco szybsze, następnie jednak opóźniają się i to bardzo znacznie. Byłoby to jedno świadectwo więcéj za szkodliwością tego rodzaju środków.

Psychiatra wiedeński Obersteiner robił takież doświadczenia na obłąkanych.

W doświadczenia te wprowadzano następnie różne komplikacye, obliczając np. jak długo trwa reakcya, jeżeli wobec dwu następujących po sobie podrażnień, reagować należy na jedno z nich, albo ile potrzeba czasu na odczytanie liczby złożonéj z dwu, trzech i więcéj cyfr, etc. We wszystkich zaś tych danych widocznym jest wpływ ujemny zmęczenia na wszelkie na reakcye, wpływ zaś dodatni — przyzwyczajenia, względnie ćwiczenia.

O doniosłości tego nowego, a matematycznego sposobu traktowania pojawów świadomości, trudno dziś orzec coś pewnego, zdaje się jednak nie ulegać wątpliwości, że przy wydoskonaleniu aparatów i metod, mierzenie pobudliwości poszczególnych zmysłów, oraz ich nastroju, będzie jednym z najcenniejszych środków w zakresie nietylko psychologii, ale pedagogii i hygieny umysłowéj, etc.

Trudniejszych nierównie zagadnień dostarczają psychologii eksperymentalnéj bardziéj skomplikowane procesy psychiczne, jak pojęcie czasu, przestrzeni, przyczynowości, negacya lub afirmacya, ów rdzeń całéj logiki, daléj uczucia namiętności, charakter, temperament, albo mowa, będąca wyrazem ogółu stanów wewnętrznych, a które, tak samo jak i mniéj złożone objawy psychiczne, biorą swój początek w czuciach. Jakiéj jednak czucia te następnie ulegają ewolucyi, o ile powtarzanie się ich, różniczkowanie, sumowanie wpływa na przygotowanie tych wyższych objawów psychicznych, tego psychologia ekspery-

mentalna zaledwo dotknęła. Rezultaty, dotyczące tych kwestyi, są dopiéro w samym zaczątku rozwoju, który jednak ze względu na kierunek i metody, oraz na jednolitość w traktowaniu ogółu zjawisk psychicznych, pozwala się spodziéwać najciekawszych w przyszłości wyjaśnień. Prace w tych kierunkach zainaugurowali Lazarus, Steinthal, Horwitz, Rhiel, Mach, Avenarius, Wundt i in.

Tyle o psychologii eksperymentalnéj w Niemczech [1]. Jestto jedna z najmłodszych nauk; rezultaty jednak przez nią osiągnięte, już to w zakresie poszczególnych zmysłów, już to w zbadaniu prawa weberowskiego, jak i w stosowaniu miar do apercepcyi, budzą najlepsze nadzieje na przyszłość. W interesie zaś tego najnowszego kierunku życzyćby należało, aby laboratorya psychologiczne przestały być zbytkiem, na który sobie pozwala dziś zaledwo parę miast w Europie i tyleż w Ameryce.

Pozostaje nam nakoniec odpowiedziéć na powyżéj postawione, a pośrednio już rozwiązane pytanie: o ile sąd przeczący Kanta co do psychologii miał racyę bytu i jak nań odpowiedziała epoka tegoczesna.

Sceptyczne poglądy filozofa niemieckiego co do pierwszego punktu, postawionego jako nie dający się usunąć szkopuł rozwoju psychologii naukowéj, za jaki podawał nieścisłość metod psychologii rozumowanéj, nietylko że usunięte nie zostały, ale przeciwnie, stwierdzone i podnoszone były po wielekroć razy przez najznakomitszych uczonych i psychologów. Zarówno August Comte we Francyi, jak Maudslay w Anglii, jak Volkmann, Lange, Avenarius i Wundt w Niemczech, zgadzają się na to jednogłośnie, iż obserwacya wewnętrzna jest przeciwną naturze ludzkiéj, a nawet że może być poniekąd uważana za objaw patologiczny, nauka zatém posługiwać się nią nie może. Pojawiają się wprawdzie od czasu do czasu bardzo poważne artykuły, usiłujące bronić staréj i zdyskredytowanéj metody, jak np. praca tego rodzaju, Volkelt'a w czasopiśmie niemieckiém *Zeitschrift für Philosophie und Kritik*, toć jednak są to głosy, które na posłuch uczonych liczyć nie mogą.

Pośrednie stanowisko w tym sporze, zajął Fr. Brentano, prof. na uniwersytecie wiedeńskim, a poniekąd i Wundt. Nie zaprzecza on temu, iż metoda introspektywna jest nietylko dla umysłu szkodliwa,

---

[1] Psychologia empiryczna w innych krajach jest albo zastosowaniem tego, co wytworzyli Niemcy, albo też wyspecyalizowaniem się poszczególnych jéj gałęzi, a mianowicie psychologii patologicznéj we Francyi, teoretyczno-poznawczéj w Anglii, etycznéj we Włoszech.

ale ze stanowiska naukowego wprost niemożliwa, wstrzymuje bowiem normalny bieg myśli, dowodzi jednak, że szkodliwości téj uniknąć można, obserwując objawy psychiczne, nie w chwili ich rozwijania się, ale późniéj nieco, przez pośrednictwo pamięci. Brentano sądzi mianowicie, iż po przebytym czy to przestrachu, czy cierpieniu, można następnie poszczególne momenta psychiczne, przez jakie przechodziliśmy wśród owego przestrachu lub cierpienia, przywoływać i reprodukować je niejako w pamięci, następnie zaś rozpatrywać i obserwować. Tak samo twierdzi Wundt, że tego rodzaju obserwacya przez współdziałanie pamięci jest możliwa, a nawet że dyspozycyę do owego reprodukowania minionych spostrzeżeń, można do pewnego stopnia wydoskonalić. Opowiada on np. że, zajmując się jakiś czas badaniem snów, tak się przyzwyczaił do przypominania ich sobie, że często wśród nocy zrywał się, aby sen jakiś w pamięci reprodukować, a następnie zanotować. Im bowiem szybciéj następuje taka reprodukcya czy to snu, czy innego aktu psychicznego, tém jest oczywiście dokładniejsza. „Ale—kończy Wundt — reprodukowanie to jest zawsze źródłem pomyłek, kiedy obserwacya umiejętnościowa usiłuje wszelkie pomyłki, pochodzące od pierwotnego spostrzegania usuwać."

Co do obserwacyi innych, albo téż tak zwanéj obserwacyi zewnętrznéj, zdanie Kanta utrzymało się również po dziś dzień. Wszyscy psychologowie zgadzają się na to, iż obserwujący rozwój pojawów psychicznych na otaczających jednostkach, nie może być nigdy pewnym, czy materyał tą drogą nabyty opiéra się istotnie na zaobserwowaniu faktów prawdziwych, czy nie. Każdy z nas bowiem wié z własnego doświadczenia, że jeżeli raz spotrzeże, iż jest przedmiotem obserwacyi, wprowadza go to w tak niemiły i przykry stan uczucia, iż pod wpływem tego miesza się, niepokoi, albo téż mówi rzeczy, których bez tego byłby nie wypowiadał wcale. Czyli już sam fakt, iż obserwowany może się tego domyślać, sprowadza niepewność w ocenę osiągniętych danych téj obserwacyi.

Sąd zatém Kanta epoka nasza poparła i to bardzo wymownie.

Filozof królewiecki pomylił się natomiast, mówiąc, iż psychologia nauką być nie może, iż do niéj stosować nie daje się matematyka: co do tego punktu psychologia eksperymentalna kłam mu zadała. Możemy bowiem stosunek podrażnień do ilości i jakości czucia obliczać, możemy długość tworzenia się apercepcyi poszczególnych zmysłów mierzyć, porównywać i z danych tych następnie o ich mniéj lub więcéj normalnym rozwoju wnioskować, mamy nakoniec matematycznie sformułowane prawo psychiczne. Kwestya istnienia psychologii

naukowéj jest przeto kwestyą tylko czasu, pomimo wszelkich wątpliwości i zaprzeczeń ze strony filozofów-metafizyków.

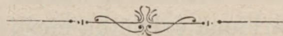
Powiedziéćby jednak można: dobrze jest, matematyka istotnie znalazła przystęp do psychologii, metody eksperymentalne dają również rękojmię pewnéj ścisłości, ale czyż tego rodzaju psychologia nie jest—jak zresztą sami psychologowie twierdzą, mówiąc: „psychologia winna zaczynać od tego, na czém kończy fizyologia" — czyż psychologia ta nie jest po prostu rozszerzeniem fizyologii? Sądzę jednak, że tego rodzaju spory do niczego nie prowadzą i naukowego znaczenia miéć nie mogą. Psychologia jest nauką zbyt obszerną i skomplikowaną, aby jéj podołać mogła jedna jakakolwiekbądź gałąź wiedzy: na nią składać się muszą przez wieki całe wszystkie wogóle nauki. (Jak dziś już mówimy o niemożności traktowania psychologii bez fizyologii, tak kto wié, czy za lat sto psychologowie mówić nie będę o niemożności traktowania jéj bez znajomości np. astronomii). A będzie to fakt znamienny i ciekawy w rozwoju ogólno-cywilizacyjnym. Jak filozofia ogarniała niegdyś wszystkie nauki, które następnie wyemancypowane odrywały się od niéj kolejno, poszukując na wyodrębnionych gruntach prawd przyrody, tak kiedyś, choć w dalekiéj przyszłości, złączą się one znów we wspólny areopag w celu rozwiązania najtrudniejszych zagadnień psychologicznych.

Wiedeń 8 kwietnia 1894 r.

Dr. Anna Wyczółkowska.



INKLUZ.



O zachodzie słońca siadaliśmy wszyscy przed domem na spróchniałych schodkach i stary szewc Piątkowski opowiadał. Ileż uroku i powabu wspomnień roztacza przedemną jedna z oddalonych uliczek niewielkiego miasta, gdzie w tęsknéj, samotnéj zadumie upłynęło moje dzieciństwo... Szereg domków niewielkich z okienicami, przez które o wieczornéj porze, wycięte serduszka, rzucały jasne snopy światła; wielkie, niezgrabne kamienie bruku, zarastające trawą, cisza, przerywana od czasu do czasu skrzypieniem szlabanu na pobliskich rogatkach... poczém głuchy, szybki turkot bryczki, którąśmy odprowadzali wzrokiem natrętnym, a częściéj jeszcze śmiéchem, wrzawą, nawet kamieniami... Kurz na szosie lekki, szarawy, w którym, niby w obłoczku, wracało do pobliskiego folwarku stado ociężałych krów, lub kaszlące owce...

Pojeździwszy na krowach, po wielu zabiegach u pasterza, wystraszywszy stado gęsi, ścigając kogoś, lub sami ścigani, wracaliśmy z kolegą, również, jak ja, pierwszoklasistą do siebie. Nieraz przed domem samym, przekomarzając się nawzajem, kończyliśmy bójką nadobre. Źli, umazani potem i łzami, podchodziliśmy do ganku. Towarzystwo zwykłe siedziało już na stopniach i przyjmowało nas śmiéchem. Tylko stary Piątkowski nie śmiał się nigdy. Milczał zwykle, chwilami strofując nas.

— Pańskie dzieci... czy wypada pańskim dzieciom po ulicy myszkować, jak urwisom ostatnim? A to kto słyszał?... a fe... a wstyd!

Siadaliśmy z gniéwnym mrukiem, obliczając pocichu, złośliwie wzajemne straty.

— Ignac ma krechę porządną za uchem, a i bluzka mu pękła pod pachą... oj, będąż wały od matki!

On znów z radością źle tajoną patrzył na moje czoło, na którém siniak duży zdawał się rosnąć pod wpływem jego spojrzenia.

Obu nas potém opadał rój myśli przykrych, dokuczliwych. Po herbacie trzeba znów wertować książki przeklęte! Dotychczas nie umiem jeszcze religii, nie wybrałem łacińskich słówek... Ignac mówi, że skończył z lekcyami... Nie wierzę kłamczuchowi! Na domiar złego spodnie mam rozdarte...

Ale wieczory były tak piękne, iż zapominaliśmy wkrótce o wszystkiém. I towarzystwo całe na schodkach również przepędzało jednę z najpiękniejszych chwil dnia. Cieśla z workiem wiórów na plecach przystawał, zapalał fajeczkę i wdawał się w pogawędkę. Z podwórza, gdzie mieszka, dochodzi ostry zapach kaszy, kraszonéj słoniną... Iść? Ech, dość czasu... ot, dopalę i pójdę! no, czas już! jeszcze chwilkę!... I zgarbiona sylwetka cieśli wciąż sterczała u schodów z jedną nogą opartą o stopień. Nasz służący, młody chłopak ze wsi, pogwizdywał zlekka przez zęby, rzucając spojrzenia z pod oka na kucharkę od pp. Szaflickich, młodą dziewczynę o śniadéj twarzy, na któréj płonęły oczy głębokie, marzące... Żona stolarza w chuścinie wytartéj, blada, ze śladami nieprzespanych nocy, wcisnęła się skromnie w kącik u drzwi, jakby wstydząc się ludzi... Biédaczka, wlepiła wzrok przygasły w szyldzik niechlujny knajpy z przeciwka. Duży kufel piwa z obfitą malowaną pianą zwabił tam jéj męża... Sam nie wróci... trzeba iść po niego, błagać, prosić... nałykać się wstydu przy ludziach obcych, znieść w milczeniu potok przekleństw, grad kułaków... Iść? Czas jeszcze... może się upamięta, wróci sam... Tu siedzieć dobrze... może stary Piątkowski coś opowie, on opowiada tak pięknie!

I tylko stary Piątkowski oddawał się pogodzie wieczora duszą całą. Nic go nie martwi, nic go nie trapi. Chwilami zapominał o obecnych i rozmawiał jakby sam z sobą. Gdyby nie było tu nikogo, siedziałby również skupiony w sobie, zamknięty, gładząc siwiejącą brodę wyschłą ręką. Rozmowa rwała się, milkła i wszyscy oczekiwali w skupieniu, rychło zacznie opowiadać Piątkowski. Nikt nie śmiał prosić, bo zresztą na nic się nie zdadzą prośby; stary opowiada wówczas tylko, kiedy przyjdzie fantazya. Zażył tabaki... dobry znak!

A wieczór tak piękny! Szereg domków z przeciwka kończy się nagle tuż u stromego parowu o bokach, porosłych dziką różą i ligustrem. Słońce duże i krwawe, tonące w pięknéj zasłonie obłoków, barwy puszku na dojrzałych śliwkach, spływa powoli ku Wiśle

i w szczelinie parowu błyszczy łagodném światłem przyćmioném, niby malowidłem jaskrawém w oknie ponurego tumu. Jeszcze chwil kilka... i uwięzło w krzakach ligustru... Mały, kilkoletni chłopiec stróżki rozmyśla głośno, jak daleko teraz do słońca? Trzy, cztery wiorsty... może dwanaście... Dobrze byłoby dojść tam kiedy i odłupać sobie kawał téj pięknéj, świécącéj masy... zapewne złotéj...

Służąca od pp. Szaflickich uśmiéchnęła się łagodnie.

— Głupi dzieciak; gdyby to było złote, ludzie jakim bądź sposobem sprzątnęliby tyle bogactwa!

Wszyscy na schodkach zwrócili na Piątkowskiego pytający wzrok. Stary raz jeszcze zażył tabaki i po chwili głos jego drżący i łagodny, zaszemrał w sennéj ciszy wieczornéj.

— Tak, prawdę malec powiedział! Słońce — to złoto... nawet żyjące złoto... Słyszeliście kiedy o żywém złocie?

— Opowie nam pan Piątkowski?

— A o inkluzie słyszeliście, wiécie, co to inkluz? Wam kpinki w głowie, żarciki... ale z tego, co dziś opowiem, nie śmiejcie się, jako z historyi prawdziwéj, najprawdziwszéj w świecie i strasznéj, o któréj do dziś dnia zapomniéć nie mogę, chociaż upłynęło wiele, wiele lat...

Wszyscy umilkli i w ciszy słychać było szmer lekki drzew ogródka; przed oczyma lekkie opary ciemnawe kłębiły się w oddaleniu nad Wisłą, a złote barwy słońca blakły, szarzały coraz bardziéj w uściskach nocy.

Stary Piątkowski tak opowiadał:

— Kiedy Pan Bóg miłosierny stworzył już wszystkie rzeczy i wykończył tak sumiennie, jak żaden majster na ziemi, brakło jeszcze światła. Wziął tedy wielką bryłę, ożywił ją i na niebie zawiesił... Wszystko ożyło... Odtąd słońce świéci i świécić będzie wiecznie ku chwale Jego, a pożytkowi ludzkiemu. Boć zważcie jeno! wszystko, co życie nam daje a siłę, pochodzi od słońca... Jeśli rozważycie sobie, narodzie kochany, pięknie i statecznie, ujrzycie, że najlepsze, najsmaczniejsze ludziom rzeczy słońce krasi w kolory swoje, jakby chciało powiedziéć: wiedzcie ludzie, że to odemnie pochodzi... spożywajcie śmiało. Stąd jabłka i gruszki, dojrzéwając, słonecznemi się stają, stąd zboża różne, pszenica, żyto, przede żniwami w piękny, złocisty kolor wpada; stąd twarz człowieka zdrowego na słońcu w złotawą skórkę się przyobleka... I nawet gadajcie, co chcecie, naród, bliżéj Boga stojący, jasne ma włosy i zarost... Dlatego żydom, jako ludowi przeklętemu, czarne włosy rosną, a skóra ich blada, niby wystraszona, jak ludzi, którzy lubią noc i do księżyca się modlą...

Stary westchnął głęboko, zda się, żałując, że słońce już zachodzi i ciągnął daléj.

— Ludzie żyli w szczęściu, zdrowiu i łaskawości wszelkiéj, a zgodzie wzajemnéj, póki wiedzieli tylko o złocie prawdziwém, żyjącém, póki je widzieli na niebie. . Ale dyabeł czuwał i cierpiał strasznie, widząc ludzi w szczęściu owém... Cóż on tedy robi? A bierze, odłupuje kawał okropny złota onego i schodzi na ziemię, aby ludzi tumanić... Prawdziwego, a pobożnego człowieka tém nie otumani... Bo cóż jest ów kruszec marny, rzucony na ziemię? Stracił życie, światło cudowne, jakie posiada tam na niebie i pozostał martwą bryłą świécącą. A jednak iluż ludzi już zgubił!

Stary zamilkł na chwilę i zażył tabaki.

— Ludzie powykrawali z kruszcu owego blaszki okrągłe, które imitowały słońce, dodali blaszkom tym wartość największą na świecie i rozpoczął się na ziemi grzéch okropny, zabójstwa, oszukaństwa, gwałt, bo każdy miéć chciał jaknajwięcéj blaszek... Dyabeł skakał z radości, spędzając codziennie masę dusz do piekła na męki wieczne... Wszystkiego mu jednak było jeszcze mało i wymyślił inkluz. Słyszałem ci ja o inkluzie od różnych ludzi różne gadania, aż sam nareszcie, nie wierzący zrazu, przekonałem się, co dyabeł zrobić może z człowiekiem, który mu się odda duszą całą... Bardzo dla mnie smutno i bolesno opowiadać o tém, co spotkało już nie obcego człowieka, ale przyjaciela mojego i kompana, z którym w młodych latach terminowaliśmy razem... Straciłem go z oczu na lat kilka... był podobno w Warszawie; aż pewnego dnia — patrzę, wrócił! Byliśmy wtedy czeladnikami i znów kompanię z sobą mieliśmy, jak dawniéj...

Zrazu nie poznałem go... bo téż chłop wrócił piękny, jak malowanie. Ot, teraz, w niedzielę, na ulicę wylézę, popatrzę, ludzi przecież rozmaitych przewija się moc wielka, a tak pięknego mężczyzny nie spotykam... Szewc ci to był, ale ambit, niczém wojewoda... Spacerując tedy z przyjacielem owym w niedzielę, widzę, że straszne szczęście do kobiet ma. Czy przejdzie która młoda, czy stara, pani nawet, pięknie ubrana, każda ledwie oczu nie wypatrzy, na mojego kompana zerkając... A jego to ani parzy, ani grzeje, zwyczajnie człowiek szczęśliwy... Wąsik skubie, zaledwie spojrzéć raczy na którą, oczyma po kątach wodząc... Oczy piękne, duże, czyste, jak niebo, ot, w dzisiejszy wieczór. Włosy jasne pięknie się układają na głowie, Panie odpuść, niby światłość, którą malarz kładzie na głowach świętych pańskich... Niewinny był mój kompan myślą, słowem i w każdym przypadku człowiek dobry, choć do rany przyłóż. Na oko, zda się, tak szczęśliwy, że nic mu czynić nie wypadało, jedno życie całe Bogu

dziękować za tyle szczęścia, i dorodności, i dobra, jakiemi go obdarzyło niebo... Boć i żonę by znalazł, gdyby chciał, według stanu swojego, po myśli, ładną i z posagiem, i dzieci by się dochował, i do szacunku i poważania u ludzi przyszedł... Sprawiedliwie Pan Bóg sądzi: komu dał więcéj od tego więcéj wymaga... Lecz dyabeł nie śpi; im więcéj kto obdarzon, tém łacniéj nasunąć takiemu myśli buntownicze, a harde, tém łacniéj obudzić w takim przekorę i smutek, niezgadzanie się z tém, co jest... W moim przyjacielu zaczęło kiełkować ziarnko kąkolu, które zgłuszyło boży zasiew... Pogardzał swojém rzemiosłem... Nieraz, po pracy, zejdziemy się przy kufelku, pogadamy o tém, o owém, a ja zawsze do jednego zmierzam.

— Cóż tam — powiadam — panie Stanisławie, narzeczona pewno jest?

On ręką machnie, nie odpowié ni tak, ni owak. Czasami tylko, kiedy szczerość nań najdzie (bo nieboszczyk skryty był), uśmiéchnie się ze smutkiem.

— Mam ja tego dosyć! Cóż mi po żonie, kiedy upodlony jestem w rzemiośle swojém. Każda, niby spojrzy na ładną gębę i rozmaite sztuczki z niemi miałem, z uboższemi, z bogatszemi. I cóż mi z tego, kiedy do bogatéj, z pańska się noszącéj, nigdy nie podejdę ze śmiałością taką, jak do ubogiéj. A jeśli nawet się zbliżę, odejdę potém... kiedym niepotrzebny, boć zawsze wiem i ona wié, że za wysokie progi na moje nogi.

Na taki rezon nuż ja mu perswadować, że wedle siebie zawsze żonę znajdzie, bo i składny jest, i pański, i żadnych narowów złych nie ma... To on do mnie:

— Jakież głupie gadanie: żona wedle siebie. Alboż ja wiem, co mnie za żona przeznaczona, alboż ja wiem, do czego sam stworzon byłem! Mnie się widzi nie po to, żeby dratwy ciągnąć... takiéj uciechy byle kiep ma dosyć.

Przykro mi się koło serca robiło, takowych słów słuchając, boć Pan Bóg sam rozmaite fachy postanowił i ludziom pracować kazał, każdemu wedle zdatności. Cóż, kiedy z nim, człowieku, dogadać się wtedy było trudno, osobliwie mnie, młodemu i głupiemu jeszcze... Dyabeł już wtedy, widać, go sobie pazurem naznaczył, dla pamięci... Trzebaż było nieszczęścia, że wtedy usłyszał od kogoś mój kompan naukę ową o złocie żywém i martwém. Wpada do mnie jednego wieczora w lecie, ot, pięknie było, jak dziś, i opowiada jednym tchem o słońcu, o złocie, o pieniądzach. Nauka, ładna wcale, podobała mi się, tylko w głowę zachodziłem, dlaczego on, mówiąc, taki zestrachany, jakby go

kto gonił: czoło spocone, oczy skrzą się, policzki przybladły... Pytam się:

— Panie Stanisławie, co panu?

— Nic—mówi—prędko biegłem i zmęczyłem się...

Zamanówszy, odwraca się i prosi:

— Panie Janie, nie ma u pana trochę wódki się napić?

Dziwną mi się prośba wydała, bo wódki nigdy nie pił, tylko piwo. Znalazła się trocha, — podaję. Popił łyk, skrzywił się, znów popił, jakby mu kto rozkazywał... Dziś wiem, że biédak wtedy po raz pierwszy bójkę z dyabłem stoczył i uległ. Bo cóż on z téj nauki zrobił, jaką wam dziś opowiedziałem?

— Umyślnie — mówi — bogaci bajdy rozpuścili o dyable, o mocy dyabelskiéj złota, umyślnie wszyscy ów kruszec wyklinają, aby ludziom biédnym zgorszenia nie czynić. Ja — powiada — dziś dopiéro poznałem, ile szczęścia i siły złoto daje... Boć pomyśleć jeno, ilu z tych, co złoto mają, głupich jest, słabowitych, obrzydliwość budzących... I, dzięki temu, że pieniężni, każdy im z drogi ustępuje, każdy czapkuje, każdy ich chwali. Nie, bracie—powiada—chociażby w pieniądzach naprawdą dyabelską moc była, to i tak szczęście największe być bogatym!

Kiedy tak powiedział, mnie strach zdjął, bo naprawdę poczułem w nim moc dyabelską... recytował wszystko, jak z pamięci... Odtąd coraz częściéj widywałem go w zamyśleniu i smutku. Gdyby zwykłą, uczciwą drogą szedł, Pan Bóg by mu błogosławił i do majątku doprowadził, i do szczęścia. On zaś, widział raz wielkie zło w pieniądzach, to znów dobro największe; tak dyabeł myśli miesza w głowie, gdy ktoś ambit ma nieludzki!... Niejedną razą mówił mi:

— Słuchaj, Janie! Wierzę ci, że nad pieniędzmi dyabeł moc posiada... Ale dlaczego Pan Bóg pozwolił, aby wszyscy ludzie usychali z pragnienia, żeby mieć złoto, aby plugawili swe dusze i ginęli w grzechu?

Jać na to:

— Cóż warta dobroć bez próby? Zły zginie, sprawiedliwy wytrwa i otrzyma nagrodę.

On wtedy:

— Dobrze mówisz, ale to nie dla mnie... Wiész co, wolałbym duszę zatracić, a być bogatym, bardzo bogatym!

Straszno mi było słuchać takich rzeczy, ale nie dał mi przyjść do słowa.

— Nie przeklinaj mnie — powiada — jeżeli mówiłem tak o duszy, mam prawo, choćbym gorzał w płomieniach piekielnych. Bo zważ

dusza moja do mnie należy, a krzywdzić nie chcę nikogo... Jakem się namyślił—powiada—wszyscy ludzie, wszyściusieńcy, wyciskają majątek z krzywdy ludzkiéj: grabią, oszukują, kradną, żyją cudzym potem i łzami...

Jaż wołam.

— Upamiętaj się, bracie, są i uczciwi!

On:

— Gadaj mi zdrów, wszycy po jednych pieniądzach! A jeśli będę z dyabłem miał konszachty, sam odpowiem za to. Widzę, że seryo mówi, zmienił się w oczach nawet... Żal mi nieboraka, nuż perswadować mu, przekładać... Ten swoje...

Cieśla, słuchający dotąd uważnie, przerwał opowiadanie energicznym wykrzyknikiem.

— Widzisz, zły porządnie zaczął mu już we łbie bunować!

Piątkowski kiwnął głową niechętnie i opowiadał daléj. Potém znienacka zagadnął mnie.

— Wiész, co to inkluz?

— Słyszałem—mówię—coś, niecoś, ale dobrze nie wiem.

Wtedy on dopiéro:

— Powiem ci pod sekretem, mój Janie, że to pieniądz taki, którny, jak się człowieka uczépi, już go nie popuści. Wydaj go w sklepie jakim, w szynku, on ci na drugi, trzeci dzień do kieszeni wróci i innéj jeszcze monety sprowadzi... do wody go rzuć — on ci na wierzch spłynie i do kieszeni wskoczy. A ile razy wydasz go, coś zań kupisz, nowe pieniądze sprowadza... Mając pieniądz taki, można zostać bardzo bogatym.

Zajęła mnie ogromnie owa historya i spytałem z ciekawością wielką.

— Skąd pieniądz taki wydostać?

Wtedy mój kompan roześmiał się tak smutnie i straszno, jakby na stracenie miał iść i cichym głosem, który słyszę teraz jeszcze, powiedział:

— Na to, bracie kochany, z dyabłem trzeba się znać i duszę zatracić na wieki wieczne!

Kiedy tak powiedział, ciarki mi po skórze przeszły i sam siebie zapytuję w duchu, chociażem go miłował bardzo: trzymać z tym człowiekiem kompanię, czy zerwać i uciekać odeń, niby od zarazy?

A on, nie zważając na to, co się we mnie działo, skarży się sam do siebie po cichu.

— Nie dlatego — powiada — pieniędzy łaknę, żebym zdzierus i skąpiec był, albo żebym o używaniu tylko jak bydlę myślał, ale mor-

duje mnie ciągle zła zmora, że byle wycieruch, byle jaka — nie bądź lichota z pieniędzmi nosa zadziéra i człowiekiem pomiata; byle jaka dziéwka myśli, że kupić mnie może, kiedy dobrze zapłaci... Gdybym miał pieniądz, kto wié, na cobym siły téj użył i dyabła samego możebym upokorzył i zgnębił... a tak, upodlon jestem, Janie, upodlon w marném rzemiośle swojém!

A on kiedy tak powiedział, nawpół z płaczem i z żałością wielką, zdjęła mnie litość i płakałem z nim razem, i błagałem, aby wszystkie myśli zdrożne z głowy sobie wybił, o duszy pomyślał, bo dyabeł na każdą sposobność czyha... Po rozmowie onéj pocałowaliśmy się, jak bracia, on odszedł w spokoju i nie widziałem go potém z parę tygodni...

Piątkowski powiódł okiem po słuchaczach i widząc, że wszyscy słuchają w milczeniu, ciekawie, oparł głowę na ręku, jakby chcąc sobie lepiéj uprzytomnić przeszłość i mówił cicho:

— Było wtedy w naszém mieście dużo panien ładnych a posażnych, ale wszystkie niby służące wyglądały przy pannie Helenie, któréj nazwiska nie powiem, obywatelskiéj córce... Ojciec jéj, wdowiec nie młody, duży majątek zebrał, parę kamienic wystawił... rozmaicie ludzie o tém gadali... Dość, że do swojéj jedynaczki modlił się, jak do obrazka i świetną partyę dla niéj wybiérał. Edukowana panna była i po francusku i na fortepianie, urody jak mało. Kupa fircyków u nich bywała starających się. Któż, narodzie kochany, szczęśliwszy był od téj panny? Ptasiego mléka jéj nie zbrakło... Ale Pan Bóg chciał inaczéj... trzeba trafu, zakochała się na zabój w moim kompanie... Książki rozmaite bezbożne i lenistwo takim pannom w głowach przewracają... tak było i w owym wypadku. Było w czém, co prawda się zakochać, aleć gdzie — a tu najwyższe były progi na jego nogi... Inne zérkały tylko na ładnego szewca, ta wprost życie sobie zbrzydziła, myśląc o nim... boć wiedziała biédaczka, że ojciec wolałby na jéj śmierć patrzéć, niż na ślub z tak ubogim pacholkiem. Co spotka ukochanego na ulicy, ognie po jéj twarzy przechodzą, nóżki pod nią uginają, chyba padać na bruk nieboraczce! Gadajcie, co chcecie, a mnie się zdaje, że i na nią dyabeł kréskę położył, boć Pan Bóg powiedział: kochaj bliźniego swojego jako siebie samego, wszystkich zarówno... ale jednego tylko człowieka nadewszystko ukochać — jest grzechem wielkim!... A kompan mój coraz bardziéj w owym czasie w sidła szatańskie oplątywał się, niczém nie mając głowy nabitéj, jeno inkluzem... Jak dyabeł chciał, tak się i stało!

Przyszła panna Helena raz do sklepu wstążki kupować... zamanowszy i mój kompan jest za jakąś potrzebą. Czy znał ją dawniéj

z ulicy, nie pamiętam. Dość, że spojrzał na nią ukradkiem, jako sprawny do takich rzeczy i nuż swoje kupować. Za moment spojrzy znów, a ta czerwona, mało jéj krew z policzków nie tryska, pieniądz jakiś w ręku trzyma, niby wydaje, ale strasznie niesporo sprawunek idzie biédaczce; a na mojego kompana tak patrzy słodko i żałośliwie, że inny na jego miejscu chybaby na kolana padł i błagał, aby mu powtórzyła, co za prośbę do niego miéć może? Ale przyjacielowi mojemu zły myśli przyćmił i pieniążkiem panny tak zamigotał, że nieszczęśliwy inkluz w nim zobaczył i dusza jego stracona została na wieki! Bo nie zważył na miłość wielką téj panny, z chciwością o pieniążek się wypytując, skamłać prawie zaczął, żeby mu wymieniła ów inkluz na inną monetę. A owa panna Helena, nie zrozumiawszy go i prawie przytomność straciwszy, sama nie wiedząc co robi, pieniążek napowrót schowała i ze sklepu uciekła.

Poskoczył za nią jak waryat, w zaułku jakimś czapkę zdjął i błaga, żeby mu pieniążek ów za inny oddała, bo w tém jego szczęście wielkie... Ponieważ było to blisko domu jéj ojca, śpiesznie oddała mu portmonetkę ze wszystkiemi pieniędzmi, żeby sobie poszukał owego pieniążka, o który mu tak chodzi. Jeżeli znajdzie, jutro na ulicy odda woreczek za danym przez nią znakiem...

Cieśla, nie mogąc się powstrzymać, znów wykrzyknął:

— Widzisz go, gdzie dyabeł nie może, tam babę pośle!

Służąca od pp. Szaflickich wpiła się oczyma w opowiadającego, który zdjął czapkę, chłodząc nią czołą.

Słońce już zaszło. Wszystkie przedmioty traciły stopniowo wyraźne zarysy i barwy w nabiegających zewsząd parnych, groźnych cieniach półmroku. Nad Wisłą ktoś grał na flecie. Piątkowski opowiadał daléj:

— Po tém zajściu panna „mig” do domu, a mój pan Stanisław z pieniędzmi na ulicy został. Bierze się chciwie do portmonetki, palce mu drżą... Rozmaitéj monety we wnętrzu sporo: srebro jest, papiérki są... Przewraca, miętosi: to—nie to... to—nie to... nie ma inkluza! A przecież w owéj chwili wyraźnie widział, że pieniądz zaczarowany trzymała panienka, wszystko mówiło mu: ta kobiéta trzyma w pieniążku marnym twoje szczęście! Weź inkluz, wyrwij go, ukradnij, korzystaj z chwili, bo nie będziesz miał podobnéj w życiu! Głupiec nie wziął! Skamlał, duszę zatracił... i zgubił inkluz, nie ma inkluza!... Tak sobie myśląc, do domu poszedł i tu biédaka dyabeł nie opuszczał... do szynku zaszedł — nigdzie spokoju znaleść sobie nie mógł i od myśli swoich uciec... Całą noc w żalu i medytacyi spędził...

Na drugi dzień już i do pracy ochota mu odeszła, do południa przewałęsał się po mieście...

Jedno raz... o téj saméj, co wczoraj godzinie, patrzy... idzie panienka. Kiedy tak jedno za drugiém przeszli sporo drogi, panna skręciła w boczną uliczkę, gdzie przestronniéj i porozmawiać można swobodniéj... Obejrzała się, głową kiwnęła, ten przy niéj jest!...

— I cóż—powiada—znalazł pan pieniądz?

On ledwie nie płacze, opowiadając jéj, co wycierpiał inkluza nie znalazłszy i tłómaczy jéj, że to pieniądz cudowny, że wszelkie bogactwa posiąść można, przy jego pomocy, że on gotów duszę zatracić, taki pieniądz dostawszy!... Co pomyślała sobie o nim panna, jak perswadować mu zaczęła... nie wiem. Dość, że obiecała przynieść innych pieniędzy, żeby sobie wybierał.

Tak pieniędzmi owemi kilkakrotnie się zabawiali, coraz daléj odchodząc, coraz bardziéj od ludzi stroniąc...

Aż raz, kiedy na samotności się zeszli, prawie za miastem, pannie tak żal się zrobiło nieboraka, że wycierpiéć już dłużéj nie mogła. Widzi, biédak ciągle dziwaczy, w pieniądzach przebiéra, inkluza, jak waryat poszukując... Na inkluzach się nie znała, i cóż ją, wreszcie, obchodziły inkluzy. Kiedy ona kochała go, jak nikt na świecie i czuła, że nic już ich nie rozłączy, chociażby przez to na przekleństwo ojca i na pośmiewisko ludzkie zasłużyła. Nie bez tego, żeby i on się ku niéj nic miał, tak blisko z nią obcując i smak w takich rzeczach znając... Dość, że kiedy oparła się o jego ramię, wary w nią uderzyły, zadrżała ciałem całém, jako kora brzeziny, kiedy na ogniu się zwija, padła mu na piersi, rączynami za szyję objąwszy i gorącością tchnąca do ucha mu szeptała:

— Biédaku, nikniesz z każdym dniem za kawałkiem marnéj blaszki się uganiając, a nie widzisz, że inkluz prawdziwy, toż ja przecie, która cię kocham tak mocno, że z tobą i biédę i upodlenie zniosę i nie opuszczę cię nigdy... pamiętaj—nigdy, aż do śmierci!

Na taką relacyę mój kompan zgłupiał na razie od prawdziwego szczęścia... I ambit jego był wywyższony, i miłości takiéj nigdy jeszcze nie zaznał.

Ale hardość w nim była taka, że perswadować nawet swojéj ukochanéj nic nie chciał... te słowa tylko powiedział.

— Kochasz mnie, chodź ze mną!

Wzięli i poszli. Co było potém (stary Piątkowski głos zniżył, jakby słów dobiérają), co było, narodzie kochany, trudno ci opowiedziéć słowem... Dość, że wielkie awantury były z ojcem panny Heleny... Chciał ją zabić zrazu, potém wyklął, grosza złamanego nic

dawszy... Swoją drogą mój kompan ślub wziął, warsztacik założył i spokojnie czas jakiś żył, jak u Pana Boga za piecem... Na ludzki rozum trudno o lepszém szczęściu nawet pomyśléć... Ale dyabeł nie spał... Kupił już sobie biédną duszę pana Stanisława, teraz o tém jeno myślał, jakby ją z ciała wypędzić i uśmiercić tak, iżby nie uleciała już ani do czyśca, ani do piekła nawet...

Wywietrzały biédakowi z głowy pierwsze amory, a żona jak kocha, tak kocha! Znów niknąć zaczął z dniem każdym. Nieraz, po pracy, do szynku przyjdzie, siądziemy razem, zacznie się użalać.

— Cóż—powiada—zyskałem? W domu biéda, koniec z końcem ledwie człek powiąże...

Perswaduję mu:

— Początki!

— Początki? gadaj zdrów! Z temi początkami na cmentarz mnie poniosą... Żona — powiada — najlepsza w świecie kobiéta, ale w biedzie naszéj zmarnieje i zamizeruje się... Żarty, harować, jak najgorsza dziéwka! Kiedy spojrzę na jéj łapięta zgrubiałe, na oczy wpadłe, bierze mnie taka żałość i gniéw na siebie, na nią, na cały świat, że nic, tylko postronek na gardziel i jazda!

Perswadowałem, zaklinałem... W końcu, myślę sobie: jeżeli cię naprawdę ochota taka najdzie, żadna perswazya nie pomoże... Na dobitkę, dyabeł znów owym inkluzem zaczął go dusić. Nie jednym czasem, przy mnie nawet, on, dratwę ciągnąc, żonę zagadnie:

— Hela, widzisz, bestyjko; od dyabła inkluz miałem obiecany, a tyś go sobie schowała, czy jakie licho?

Ona w kpinki ową mowę obraca, bo i cóż było mówić?

To on znów:

— Jeżeli o posagu myślisz, Bóg świadkiem, tyle stoję o niego, co o ten ćwieczek drewniany... Ale jeżeli trochę litości nademną masz, zaklinam cię, powiédz, czyś jakiéj sztuki z inkluzem nie zrobiła?

Ta znów w żarty, w śmiéch, a późniéj i w płacz nawet, bo takie historye codzień się powtarzały... nawpół ze śmiechem zrazu, a potém coraz bardziéj seryo... Dyabeł całą już głowiną biédaka owładnął.

Nieraz do mnie w nocy nieboraczka przybiegła, chusciną zatulona, drży niebożę, o radę pyta... Jakąż tu radę dać, Boże mój, jaką? Bo nieboszczyk i pić w końcu zaczął. Czasem, jak w furyę wpadnie, o inkluz zawoła, wprost strach i rozpacz brała nieszczęsną kobiétę... Aż nareszcie, chudziątko, kiedy już znieść dłużéj tego nie mogła, bo mąż z domu prawie nie wychodzi, tylko wciąż nad uszami jeden pa-

ciérz śpiéwa, pokryjomu przed nim na „letki” chléb się puściła... Tak miłość zawielka na manowce nas sprowadza i do grzechów okropnych popycha!

Pomyślcie, narodzie kochany, panna z tak pięknéj rodziny, wychowana w zbytku i rozkoszach... Ani się spodziéwał pan Stanisław, a tu w domu, zamanówszy to dwa, to trzy rubelki, to dziesięć!

— Skąd? — pyta.

Wtedy ona u szyi mu się wiesza i mówi:

— Nie pytaj, Stasiu, zaklinam cię na wszystkie świętości, nie pytaj! Wiédz tylko, że, jak powiedziałam, tak słowa dotrzymam... jestem inkluzem twoim, aż do śmierci.

Ten w prośby, groźby... ona ani słowa więcéj. Tyle przecież wskórała, że pieniądze mając, zapijał się bardziéj i czasami, już bez gniewu żadnego, długie przed nią kalkulacye o inkluzie wyprowadzał... Aż dnia jednego, Boże ty mój drogi, dowiedział się o wszystkiém! Wściekły z gniewu był, piana mu z ust szła, zatłukłby na śmierć żonkę nieszczęśliwą, gdyby mu oknem nie wyskoczyła i nie uciekła... Odtąd słyszéć o niéj nie chciał, żyjąc samotnie, jak nędzarz ostatni i robotą prawie się nie trudniąc... Mnie jednego mógł znosić chwilami... I w posły nieraz chodziłem od żony, błagałem, do spowiedzi św. namawiałem... Wszystko jedno, co do drewna przemawiać... nic, tylko inkluz na języku... Coraz bardziéj na zdrowiu zapadał... Cóż z onego pięknego mężczyzny zostało? skóra i kości... Wysechł, niby szczapa, pożółkł na twarzy, nogi ledwie za sobą powłóczył... A ona, chudzina, pośród obcych ludzi się poniewierała, kąty domów zajezdnych wycierając... Nieraz, mizerota, wieczorem zakradnie się na podwórzu, gdzie pan Stanisław mieszkał, do szybki przypadnie i godzinę całą tak przemedytuje; męża widzi... siedzi nieborak na zydlu, robotę w kąt rzucił i w jeden punkt ciągle patrzy... Wtedy ona pocichu:

— Stasiu, najdroższy mój Stasiu!

Ten, jakby go ukropem kto sparzył: zrywa się, z furyą do okna leci... pomstuje na czém świat stoi... Raz w taki sposób szydłem ją okaleczył... uciekać zawsze musiała nieszczęsna! Tak roków kilka przebiédowali jedno od drugiego zdaleka.

Aż nareszcie mój pan Stanisław zaniemógł ciężko. Ani nogą, ani ręką ruszyć... źle! I trzeba trafunku cudownego, wtedy właśnie ojciec panny Heleny na apopleksyę umiéra, testamentu żadnego nie zrobiwszy, a ona cały majątek odziedzicza...

Wpada do mojego mieszkania raz, późną porą, z węzełkiem jakimś pod pachą, zestrachana, blada jak trup i spyta:

— Jakże z mężem moim... źle?

— Juści źle—powiadam—opiekę lichą ma... ja, o ile mi czas pozwoli, tam zachodzę... aleć wszystko na nic się nie zdało... ani do spowiedzi nie chce iść, ani się pomodli... trudna z nim sprawa.

Dopiéroż moja kobiéta w płacz, w lamentacye.

— Ja tego nie przeżyję—powiada —ja tego nie przeżyję... ciągiem jedno w koło; a łzy, jak groch duże, z oczu płyną, policzki owe wychudłe drżą, niby w febrze... Litość mnie wzięła, na taką mękę patrzając, ale, z jaką radą przyjść biédaczce w pomoc? Gadałem-ci jakem umiał, perswadowałem... to się moja kobiéta i uspokoiła krzynkę.

Chusteczką oczy wyciéra i tak do mnie przemówi:

— Panie Janie, mam do pana wielką prośbę...

— Wszystko, co tylko będę mógł—powiadam—zrobię!

Wtedy ona:

— Pójdziemy razem do Stasia!

— Ha, pójść, to i pójdźmy!

Zabrałem się, idziemy... Wchodzimy... patrzę w stancyi świéca się pali, chłopiec jakiś przy chorym... a mój pan Stanisław sztywny na łóżku leży, z oczyma ciągle w jeden punkt utkwionemi... A taki zdawał się ciągle medytacyą zajęty dziwną, że nawet naszego przyjścia nie zoczył.

Tu moja kobiéta wytrzymać nie mogła, bo i blady i zmieniony był bardzo... znów w płacz! Skoro płakać zaczęła, chory natychmiast nas usłyszał. Głowę odwrócił, po twarzy się pogładził, oczy mrużąc i wcale bez gniéwu nijakiego cichym głosem poszepnie:

— Ty-żeś to Hela?

Biédne kobiécisko ledwie wykrzusi:

— Ja... Stasiu.... ja!

— Chodź-że bliżéj, przysiądź! Dlaczego mnie unikasz? ładnie to, przystoi żonie?

Wtedy biédna pani Helena z płaczem wielkim naprzód się rzuci, rozerwie owo zawiniątko, z którego moc monety wysypała rozmaitéj, porwie za rękę męża i całować zacznie, wykrzykując ze łzami:

— Stasiu mój, na Boga cię zaklinam, ocknij się, duszo! Widzisz, jestem bogata, cały majątek mój... Masz pieniądze... dużo pieniędzy... i mnie masz, bądźmy szczęśliwi, jak dawniéj!

Pan Stanisław ani się poruszył na taką miłość i bogactwo patrza-

jąc. Pogładził tylko żonę po włosach, pogładził, uśmiécha się tak smutno i mówi:

— Inkluz jesteś, biédaczko, inkluz?

Ona płacze.

— Co chcesz, aby kochaj mnie i zdrów bądź, bo nie przeżyłabym twojéj śmierci!

To on znów:

— A dlaczego, nieboże, dawniéj się zapiérałaś, że inkluza nie masz?

— Nigdy nie miałam, biédaku mój, teraz majątek dziedziczę po ojcu... o inkluzie nigdy...

— A wtedy, pamiętasz?

Dopytać się nie mogła, bo chory mówić przestał. Zagadywała go doktorem, tém, owém, nic nie odpowiadał... Aż po kilku zdrowaśkach znów przemówił:

— Cóż mi — powiada — po wszystkiém, kiedy duszę już dawno dyabłu sprzedałem... A wiész ty, kobiéto, jaki grzéch sprzedać duszę? To znaczy, że po śmierci dusza żyć przestaje, że nie będzie jéj nigdzie, nawet w piekle. Najstraszejsza rzecz w świecie nie być... Rozumiész, żono i ty, Janie, co to nie być, nie myśléć wcale? Okropność!

Straszno mi się zrobiło, żona płacze, do spowiedzi św. namawia. Ten ręką machnął i znów mówi:

— W piekle nawet można miéć nadzieję! Czasami Matka Boska za jaką duszyczką się wstawi i do czyśca przeprowadzi... Zresztą, nawet męki cierpiéć lepiéj, niż nie być wcale... To rzecz okropna!

I musiała być okropna, bo krzyknął biédak tak żałośliwie, że pot mi ze strachu na czoło wystąpił i drżałem, jak liść na wietrze...

Dopiéroż jak nie padnie żona na łóżko obok niego, jak nie ryknie głosem wielkim:

— Stasiu, nie umiéraj!

Tak i zemdlała.

A ten znów tylko ręką machnął.

— Umiéram—powiada—ciałem i duszą!

Poczém sztywniéć zaczął...

Mało żyw ze strachu, gromnicy zacząłem szukać... Bo powiadają ludzie, że gdyby światło święte zamigotało, widziałby światło i na tamtym świecie i tém chociaż duszę od zupełnego zniszczenia powstrzymał... Ale biédakowi mgłą już zaszły oczy... Po kołdrze zaczął ręką zesztywniałą wodzić, na pieniądz natrafił i uśmiéchnął się słabo...

A w końcu takie jeszcze naigrawanie z nim dyabeł uczynił, że chociaż już wszystko w zmizerowaném ciele obumarło, językiem mu jeszcze poruszać kazał. I niby serce w dzwonku za konających, nieszczęsny język w gębie się poruszał, ostatni honor dyabelski umiérającéj duszy oddając. Tak pan Stanisław ze słowem „inkluz" na języku umiérał... Inkluz... inkluz... inkluz... coraz ciszéj, ciszéj... aż zamilkł na wieki!

Stary Piątkowski pochylił głowę, jakby sam honor umierającéj duszy oddawał.

— A żona?—spytała służąca od pp. Szaflickich.

— Żona zaraz po pogrzebie z naszego miasta wyjechała i odtąd nikt nie wié, gdzie się obraca.

Zygmunt Kurpiejewski.



WYKOPALISKA SCHLIEMANNA

I ZNACZENIE ICH

dla nauki starożytności.

W pierwszych dniach stycznia 1891 r. pochowano w Atenach zwłoki Henryka Schliemanna, a smutnemu obchodowi pogrzebowemu dawniejszego kupczyka, towarzyszyły książęce honory i sympatya całego świata cywilizowanego. Była to téż istotnie wyjątkowa osobistość, a może jedyna w dziejach ludzkości. Praktyczny, niesłychanie bystry zmysł kupiecki, realny, skojarzył się w nim w przedziwnym kontraście z entuzyastycznėm zamiłowaniem nauki, a głównie starożytności greckich. Jak był doskonałym i w wszystkich szczegółach swego zawodu wytrawnym kupcem, który, zaczynając od marnych, nikłych początków, dosłownie bez grosza pieniędzy, dobił się milionowéj fortuny, tak z młodzieńczym zapałem szczerego wielbiciela nauk starożytności, przedewszystkiém zaś nieśmiertelnego Homera, jął się kilofu i rydla, aby zdumionemu światu uczonemu odkopać najstarszy peryod historyi greckiéj. Mąż to był żelaznéj, nieugiętéj energii, niezłomnego hartu woli, prawdziwego heroizmu, który dla dopięcia idealnego celu wszystkich środków używa, wszelkie ofiary ponosi, wszelkim niebezpieczeństwom śmiałe stawia czoło, wszystkie trudności pokonywa. Ażeby dokonać zadania swego, podjętego w naukowéj dziedzinie, do którego miał z natury pociąg nieprzeparty, wyrobił sobie stanowisko pod majątkowym względem samodzielne, niezależne. Dalszych pewnych, ogromnych zysków materyalnych zrzeka się dobrowolnie, a jako osoba

prywatna, z własnego popędu, do własnych ograniczony środków, wybiéra się na wyprawę naukową, jedynie żywém przeczuciem wiedziony, wróżącém mu zawsze, że sam odkopie mury homerowéj Troi.

Jakby Anglicy się o nim wyrazili, był on *self-made man*, a właśnie ta samodzielność stanowi walną podstawę jego zasłużonéj sławy. Gdyby w zwyczajny sposób wprawiał się do studyów, którym obecnie tyle ważnych rezultatów zawdzięczamy, byłby może geniusz przenikający go zepchniętym na inne tory, w każdym razie na pewien czas przynajmniéj w pierwszych zapędach wstrzymanym. Jednakże twarde stosunki życia silniéj nim zawładnęły, aniżeli troskliwa opieka rodzicielska i regularny bieg nauk w szkołach, one zmusiły go torować sobie drogę oryginalną, samoistną, która go wreszcie do utęsknionego celu zawiodła.

Co główniejsze szczegóły i daty z życia Schliemanna wyjaśnią i dopełnią obrazu owéj niezwykłéj osobistości.

Gdy na gwiazdkę w r. 1829 dostał, jako chłopiec ośmioletni, od ojca „Historyę powszechną dla dzieci", ilustrowaną przez Ludwika Jerrera i tutaj obraz płonącéj Troi wraz z ogromnemi murami i Skajową bramą zobaczył, zawołał pełen uniesienia: „Ojcze, mówiłeś mi, że Troja bez śladu z powierzchni ziemi zniknęła. Jednakże Jerrer musiał owo miasto widzieć, bo nie mógły go odmalować." Rozgarnione nad wiek swój dziecko pytało daléj, czy starożytna Troja miała rzeczywiście tak grube mury, jak je na owym obrazie przedstawiono. Gdy ojciec to potwierdził, odrzekł chłopiec: „Jeżeli były kiedyś takie mury, to nie mogły zniszczéć zupełnie, tylko pewnie ukryte są pod ziemią i gruzami odwiecznemi." Ojciec nie chciał mu wprawdzie tego przyznać, lecz gdy chłopiec uparł się przy swém zdaniu, zgodzili się obaj na to, że on, skoro dorośnie, kiedyś Troję odkopie. Starożytna twierdza Pryama była odtąd ulubioném marzeniem młodego Schliemanna.

Skutkiem ciężkich ciosów, jakie rodzinę jego spotkały, wstąpił Schliemann po ukończeniu szkoły realnéj w kondycyą do kupca korzennego i przez półszosta roku sprzedawał tutaj śledzie, masło, wódkę, kawę, cukier, oléj i tym podobne specyały. Pewnego wieczoru zaszedł do tego składu pijany czeladnik młynarski, który uczęszczał był do gimnazyum, lecz wypędzonym został z zakładu dla niemoralnego prowadzenia się. W nietrzeźwym stanie wzięła go fantazya wyrecytowania nadzwyczaj patetycznie około stu wierszy z Homera. Melodyjny język grecki wywarł na Schliemannie bardzo głębokie wrażenie, chociaż ani słówka z niego nie rozumiał. Za całą gotówkę, jaką miał, Schliemann, oraz za trzy kieliszki wódki, młynarczyk trzy razy mu jeszcze wiersze Homera powtórzył. „Od téj chwili", tak pisze

Schliemann w swéj autobiografii, „nie przestałem nigdy Boga prosić, aby tyle łaski mi okazać raczył, iżbym mógł się po grecku nauczyć.”

Lecz ciężkie go jeszcze przeprawy z losem czekały. W Hamburgu godzi się jako chłopak okrętowy, aby dostać się do Wenezueli. Kiedy okręt na wybrzeżu holenderskiém się rozbił, przybywa do Amsterdamu i chce się zaciągnąć jako żołnierz do kolonii indyjskich. Przypadkiem zyskuje miejsce podrzędne w kantorze handlowym kupca Quiena, późniéj obejmuje stanowisko sekretarza u firmy pierwszorzędnéj Schroedera. A odtąd szczęście stale mu sprzyja. Wysłany przez dom holenderski do Petersburga jako agent firmowy, dorabia się tam, zajmując niebawem stanowisko niemal zupełnie samodzielne, na handlu indygo, a podczas wojny krymskiéj rozmaitemi materyałami wojennemi, jak saletrą, siarką i ołowiem fortuny milionowéj, o jakiéj, jak sam się wyraża, ani we śnie nie poważył się pomarzyć.

Obdarzony nadzwyczajną zdolnością do łatwego wyuczania się języków, nauczył się w krótkim czasie już w Amsterdamie po angielsku, francusku, holendersku, hiszpańsku, portugalsku i włosku, a osobną metodą doszedł do takiéj doskonałości, że na wyuczenie się czterech ostatnich języków po sześć tygodni tylko potrzebował. Wyuczył się daléj po rusku, szwedzku, polsku, po łacinie, po arabsku, a wreszcie w r. 1856 greckiego języka, do którego już od pierwszych lat młodości tak gorąco tęsknił. Zajął się najprzód studyum nowożytnego języka, jakim dzisiaj w Grecyi mówią, a potém dopiéro zabrał się do starożytnego jęka Homera. Przeczytał przytém wszystkich prawie klasyków starożytnych i wielu długich ustępów nauczył się z nich na pamięć. W krótkim czasie nabył przez takie ćwiczenia, jak sam oświadcza, tak wielkiéj wprawy, że żadnéj mu trudności nie sprawiało o każdym przedmiocie płynnie po grecku rozmawiać. Ze szczególném upodobaniem lubił wtrącać do konwersacyi ustępy z autorów greckich, przedewszystkiém zaś z umiłowanego Homera.

Przez lata 1864 i 1865 zwiedził jeszcze Schliemann niemal wszystkie części świata, a wiosną r. 1866 osiadł w Paryżu, aby się wyłącznie studyom archeologicznym poświęcić. Tak wreszcie dostatecznie naukowo przysposobiony i z wielkiemi zasobami pieniężnemi wziął się, jako mąż dojrzały, w czterdziestym szóstym roku życia do urzeczywistnienia marzeń swéj młodości i począł badać na miejscu dokładnie ojczyznę bohatérów homerowych, których dziwne przygody zachwycały dziecinne i młodzieńcze jego lata, a w smutnych chwilach zawsze go krzepiły i pocieszały.

Główną uwagę skierował Schliemann na starożytną Troję i wbrew dotychczasowemu przekonaniu nowszych europejskich uczonych, na

pagórze Hissarliku miejsce odwiecznéj twierdzy rozpoznał. Rozpoczął tam prace swoje w r. 1870, prowadził je daléj w latach 1871, 1872, 1873, 1878, 1879, 1882, 1889 i 1890. Ponosząc niezmierne koszta, wśród niesłychanych trudności, jakie mu olbrzymie rumowiska, krnąbrni robotnicy, podejrzliwe władze tureckie, a wreszcie i klimat zabójczy sprawiały, a które tylko energiczna natura Schliemanna pokonać zdołała, dopiął ostatecznie celu, jaki sam sobie wytknął, i rzeczywiście Troję starożytną odkopał. Wykopaliska trojańskie same wystarczyłyby, aby wiekopomną pamięć Schliemannowi zapewnić. Lecz zasługi jego są jeszcze daleko większe. Dzięki metodzie, właściwie pierwszy raz dopiéro przez niego ściśle zastosowanéj, za pomocą systematycznego i naukowego odgrzebywania gruzów odwiecznych, rozwiązał on inne jeszcze zadania i objaśnił wiele punktów spornych w dziedzinie starożytności greckich przez wykopaliska w Mycenach w r. 1874 i 1876, w Orchomenos w r. 1880 i 1881, w r. 1884 w Tiryncie. A chociaż prace jego podjęte na wyspie Itace w r. 1868 i 1878, w Maratonie w r. 1884, na wyspie Cyterze i w Pylos w r. 1888 w stosunku do pierwszych walnych odkryć mniejszéj są doniosłości, stanowią i one znaczny postęp w nauce starożytności.

Wszystkie wyliczone nazwy dowodzą, że umysł Schliemanna zajmowały szczególnie przedhistoryczne dzieje greckie. Najdawniejsza kultura tego szczepu wskazuje jednakowoż jako na główne ognisko na wyspę Kretę. Kiedy królewskie pałace Dardanów, Minyów, Perseidów i Pelopidów światło dzienne ujrzały, brakło w prześwietnym szeregu książęcych rodów jeszcze, reprezentantów téj wyspy, która dla wszystkich ziem greckich była szlachetną macierzą wszelkiéj cywilizacyi na całym Archipelagu. Niezmordowany badacz nosił się téż już od r. 1887 z myślą odsłonienia tajemnic, kryjących się w łonie téj wyspy. W r. 1890 posłał znakomitego współpracownika swego dr. Dörpfelda na Kretę w celu podjęcia wstępnych pomiarów i badań. Skoroby zadania swego w starożytnéj Troi w zupełności dokonał, postanowił sam się na ową wyspę udać i wykopywania rozpocząć. Lecz śmierć nieubłagana, zabierając go wśród pracy w sile wieku, przerwała nagle pasmo planów jego, a epigonom pozostawiła niespodzianie przecięte, wspaniałe dzieło Schliemanna do pomyślnego końca doprowadzić.

Jeżeli w następnym zarysie, mającym na celu zwięzłe przedstawienie najważniejszych wykopalisk Schliemanna, odstępujemy od porządku chronologicznego, dzieje się to ze względów praktycznych, aby prace jego ująć w jeden przejrzysty i dokładny obraz. Jako wątek szkicu niniejszego, służy nam głównie dziełko d-ra Brücknera *Heinrich*

Schliemanns Selbstbiographie, w którém życiorys znakomitego męża z polecenia jego żony jest uzupełniony.

Wykopaliska Troi.

W ciągu wieków starożytnych nie powątpiewano wcale, że późniejsze Ilion właśnie na miejscu starożytnéj Troi, warownego grodu Pryama, na pagórze Hissarliku zbudowano, póki Demetryusz z miasta Skepsis, położonego na północno-wschodnich skłonach gór idajskich, spółczesny aleksandryjskiego gramatyka Arystarcha (200—150 przed Chr.), nie oparł się téj ogólnéj tradycyi, ażeby zaprzeczyć sławie bardzo wówczas wielbionych i zazdrość niemałą u sąsiadów budzących Ilijczyków. Zupełnie wbrew wszelkiéj tradycyi przeniósł Demetryusz siedzibę starożytnych Trojan do „wsi ilijskiéj". Zdanie jego, co prawda, mało tylko zwolenników znalazło. Przystał na nie z dawniejszych jedyny geograf Strabon (ur. 66 r. przed Chr.), który owych okolic z pewnością nigdy nie zwiedził. Rzymianie pozostali wiernymi starodawnym podaniom i tłumami całemi pielgrzymowali do świątyń ilijskich, gdzie uznawali pierwotne siedziby swych przodków, póki z nastaniem chrześciaństwa miasto zupełnie nie upadło i ślady jego na powierzchni pagórka się nie zatarły.

Spór cały o miejsce starożytnéj Troi obudził większe zajęcie dopiéro przy schyłku ubiegłego wieku. Zwiedził wtedy w r. 1785—1786 Troadę francuski archeolog Lechevalier. Oburzony na spółczesnych sobie uczonych, którzy poematom Homera wszelkiéj treści historycznéj odmawiali i zaprzeczali im wszelkiego pozoru prawdy, albo historyczną scenę aż do Egiptu przenosili, dumnym on był wielce z swego rzekomego odkrycia, że podczas naukowéj podróży po ziemi trojańskiéj natrafił, jak sądził, na homerowe źródła Skamandru, przy których według „Iliady" mężatki i dorodne dziewoje Trojańczyków prały swe lśniące szaty. Ponieważ źródła te tryskały przy wiosce Bunarbaszi, przeniósł Lechevalier Pergam Pryama na górę, powyżéj owéj wioski. Przypuszczenie archeologa francuskiego znalazło w świecie uczonym bardzo przychylne przyjęcie, zwłaszcza że i położenie wyżyny, dominującéj nad całą okolicą, zdawało się popiérać zdanie Lechevaliera.

W niemieckich kołach uczonych poparła je szczególnie powaga hr. Moltkego, który w swych „Listach o stosunkach i wypadkach w Turcyi z lat 1835—1839" dosłownie powiada: „Względem bliższego oznaczenia położenia Troi bardzo się różnią uczeni. My, którzy się

do uczonych nie zaliczamy, posłużyliśmy się po prostu wojskowym instynktem i zaszliśmy na miejsce (Bunarbaszi), gdzie już ongi tak samo jak dzisiaj założonoby osadę, gdyby chodziło o wybudowanie niedostępnéj warowni." Lecz w tym razie wielki strategik poniósł dotkliwą porażkę, a zadał mu ją Schliemann.

Przeciwko Bunarbaszi przemawia najprzód odległość miejscowości od Hellespontu, wynosząca w prostéj linii blisko 2 mile, co się sprzeciwia wszelkim szczegółom lokalnym, jakie nam „Iliada" przedstawia.

Kwestyę może jeszcze wątpliwą rozstrzygnęłoby odkrycie szczątków jakich miasta przedhistorycznego. Lecz mimo kilkakrotnego gruntownego kopania odkrył tam Schliemann nieznaczne tylko gruzy i to z młodszych epok pochodzące. Monety znalezione na wzgórzu Bunarbaszi pochodzą wszystkie bez wyjątku z drugiego i trzeciego wieku przed Chr., a skorupy gliniane w żadnym razie nie sięgają wyżéj jak dziewiątego wieku przed Chr., ponieważ są to same okruchy z naczyń, utoczonych już na kole garncarskiém. Stąd wnioskować wypada, że nie przesławna twierdza Pryama tutaj zbudowana była, lecz starożytna, choć znacznie młodsza osada Gergis, która razem z drugą warownią, naprzeciwko niéj na prawym brzegu Skamandru położoną, przez kilka późniejszych wieków przeprawy przez tę rzekę broniła.

Natomiast inny pagór, który się wznosi na samym krańcu wyżyny, dzielącéj doliny homerowego Skamandru i Simoisu, już samém położeniem swém odpowiada najzupełniéj sceneryi, jaką w nas wyobraźnia przy czytaniu „Iliady" wytwarza. Jest to zaś pagór Hissarliku. Z niezbyt wysokiego wzgórza buja tam wzrok swobodnie ponad żyzne pola i łagodne pasma pagórków nad morskiém wybrzeżem, na morze sięgniesz okiem aż do siedziby bogów, piętrzącéj się na wyspie Samotrace, a w głąb' lądu aż do wiecznym śniegiem pokrytych szczytów gór idajskich. Z zamku na tym pagórze wystawionego, z baszty Skajowéj bramy mogli Pryam i Helena przyglądać się hufcom greckim, harcującym po równinie, i rozpoznać nawet najdzielniejszych wodzów naczelnych, stąd mógł podczas nocnéj ciszy odgłos zwycięskich pieśni trojańskich odbić się aż o namioty Agamemnona nad morskiém wybrzeżem. To téż w pagórze Hissarliku poznało bystre oko Schliemanna miejsce starodawnéj Troi, a wnętrze pagórka, rozkopane przez niego, stwierdziło jeszcze dobitniéj, że domysł ten był najprawdziwszym.

Pagórek Hissarliku leżał na głównym trakcie prastarych wędrówek szczepu indo-europejskiego ze Wschodu do nowych osad zachod-

nich, leżał na głównéj linii bezustannych gminoruchów pomiędzy wybrzeżem azyatyckiém i europejskiém, na najdogodniejszéj drodze, którą ludy niespokojne udawały się na wyprawy handlowe i wojenne. kiedy już w siedzibach swych stale osiadły. Tém wytłómaczyć należy olbrzymie, bo nie mniéj jak 16 metrów wysokie pokłady rumowisk i gruzów, któremi pokryty jest Hissarlik ponad skalistą ziemią maciczną. Jak zwykle, jeszcze do dziśdnia, w Azyi się dzieje, budowano na owém wytyczném, dogodnie położonėm miejscu przez lat tysiące domy z gliny surowéj, a jedynie fundament stawiano z nieociosanych głazów. albo mniejszych złomów kamiennych. Skoro zaś fundament przy zburzeniu domu, albo przez pożar albo przez zawalenie się, pokrył się gruzami ścian glinianych, wtedy następnie osadnicy równali z grubszego rumowisko i stawiali nowe mieszkania bez najmniejszego względu na ogólny zarys pierwotnego domu, często nawet bez względu na linią frontową sąsiednich budowli. Z biegiem wieków wzrastało zatém owo wzgórze, coraz wyżéj, a resztki z wszystkich peryodów budowlowych w wyraźnych pokładach aż po dzień dzisiejszy rozróżniać można.

Jednėm słówkiem potrącić na tém miejscu wypada, w jaki to sposób Schliemann rozkopał i zbadał głębokie wnętrze Hissarliku. Błędném byłoby takie mniemanie, że on z góry jeden pokład po drugim odkrywał, a następnie rozrzucał, aby do głębszéj warstwy dotrzéć. Sposób taki zalecałby się wprawdzie o tyle, że możnaby wtedy jaknajszczegółowiéj poznać główny zarys budynków w każdym peryodzie, lecz o tyle niekorzystnym, że potrzebaby było do tego daleko więcéj czasu i ogromnych sum pieniężnych, daléj zaś, że wszystkie wyższe warstwy musiałyby być zniesione, a my na zawsze bylibyśmy, podróżując po ziemi trojańskiéj, pozbawieni rozkoszy podziwiania i dotykania własną stopą murów starożytnéj Troi. Z powodów tych chwycił się Schliemann innego sposobu. Wykroił on, aby się tak wyrazić, jądro z całego wielkiego pagórka, a powierzchnię jego w pierwotnéj wysokości pozostawił wogóle nietkniętą, choć w niejednėm miejscu dla dokładniejszego zbadania przekopami poprzecinaną. Wnętrze pagórka jest zatém wydrążone, wykopane, a gdy się z murów opasujących na nie spogląda, przedstawia ono obszerną kotlinę, na któréj spodzie starożytna osada z krzyżującemi się na przeróżne strony murami i fundamentami, jak na zarysie jakim się rozpościéra.

Takim oto sposobem dokopał się Schliemann dziewięciu wyraźnych, osobnych pokładów, których cechy charakterystyczne i szczególne znaczenie po kolei przejdziemy.

Pierwszy pokład najgłębszy, mieści najstarszą osadę na nie-

wielkiéj, bo tylko 46 metrów liczącéj przestrzeni. Sterczy tam jeszcze 9 ścian prawie równoległych. Grubsze z nich tworzyły, jak się zdaje, mur obronny. Materyał ich stanowią drobne kamienie wapienne, gliną pomazane. Jakim sposobem osada ta zniszczała, trudno dzisiaj stwierdzić. Pożaru jakiegoś przypuszczać niepodobna, gdyż brak tam zupełny znaczniejszych śladów ognia. Na pół metra gruby pokład ziemi, jaki pokrywa te zwaliska, dowodzi, że miejsce owo przez długi czas nie było wcale zamieszkałém.

Następuje potém druga osada, tak zwane miasto homerowe. Dokładnie w niém można jeszcze rozróżnić trzy peryody budowlane. Od czasu założenia téj osady dwa razy ją przebudowywano, jak to poznać po podstawach rozmaitych budynków, które leżą nad sobą w grubości kilku tylko centymetrów. Cały przepych tego miasta zniszczył straszliwy pożar, znany także Homerowi, kiedy w „Iliadzie", ks. XX, w. 315 i nast., bogini Herze w usta wkłada: „Ja razem z Ateną przenigdy nie zdołamy obronić Troi od nieszczęścia, ani nawet wtedy, gdy zupełnemu zniszczeniu ulegnie przez pożar, jaki wzniecą synowie Achajów." Wszędzie widać jeszcze jaknajwyraźniejsze ślady okropnéj katastrofy. Całe miasto mieczem i ogniem zniszczone zostało. Każdy niemal kamień pokryty jest warstwą wapna, którą wytworzył straszliwy żar. Wszystkie cegły szkliwiem się pokryły. Wielkiemi kupami leży popiół. Szkielety zbrojnych wskazują na walkę zaciętą, jaka się tutaj niegdyś toczyła. Bogaty skarb, ze szczerozłotych kosztowności złożony, „skarbem Pryama" nazwany przez szczęśliwego odkrywcę, wskazuje, że jak w największym pośpiechu starano się uratować od zniszczenia co najkosztowniejszego. W tym samym pokładzie dokopano się także śpiżarni książęcéj i odkryto w niéj trzy nienaruszone dzbany ogromne, podługowate, wysokie na chłopa; znajdowały się w nich jeszcze zwęglone ziarnka zboża.

Mimowoli nasuwa się każdemu na myśl, że na tém właśnie, a nie na innéem miejscu leżała Troja, że owo miasto w zgliszczach spoczywające toż samo być musiało, o którém Homer nieśmiertelne pienia swe osnuł.

Skarby wielkie, w homerowéj Troi wykopane, nie w grobach leżały jako ozdoba zmarłych, jak np. w Mycenach, lecz znaleziono je osobno w ziemi ukryte, a jedynie tak zwany skarb pryamowy schowany był w skrzyni, do któréj nawet klucz w pobliżu się znalazł.

Pomiędzy kosztownościami podziwiać możesz rozmaite naczynia, wyrabiane ze złota, srebra i z białego złota, homerowego *elektron*, będącego mieszaniną z czterech części złota i jednéj piątéj srebra, były czary, puhary, wazy z pokrywami, przeróżne ozdoby kobiéce, jak na-

szyjniki, naramiennice, szpile do włosów, zausznice, z bronzu zaś wyrobione ostrza dzirytów, siekiery wojenne i t. d. Jedno naczynie ze szczerego złota, ważące 600 gramów, urobione jest w kształcie łódki z dwoma uszkami. Przedstawia ono z pewnością δέπας ἀμφικύπελλον, puhar z podwójnym trzonkiem, jakich według Homera używano szczególnie, gdy puhar miał krążyć wkolo, a więc przy libacyach na cześć bogów i przy biesiadach.

Bardzo ciekawe są mianowicie dwa złote dyadycmy. Jeden mniejszy składa się z wązkiego paska złotego, z którego po każdéj stronie spuszcza się siedm łańcuszków, okrywających skronie. Urobione są one naprzemian z kółeczek i sześciokątnych listków, a kończą się większemi liściami w kształcie wiszącego kielicha kwiatowego z kwieciem. Cały dyadem składa się z 2.169 części. Z większą jeszcze sztuką wyrobionym jest drugi dyadem, na który się 16,353 części składa. Tutaj zastępuje miejsce paska łańcuch złoty, z którego po każdéj stronie 8 łańcuszków się zwiesza, a każdy się składa z 360 kółeczek, kończą się zaś podobnie jak w pierwszym dyademie. Nad czołem wisi 74 równych łańcuszków, zakończonych w większe lancetowate liście.

Słynny jubiler londyński, nazwiskiem Carlo Giulani, który wszystkie owe złote przedmioty bardzo skrupulatnie badał, oświadczył, że pozostaje nierozjaśnioną zagadką, jakim sposobem starożytny złotnik mógł tak delikatnéj pracy bez pomocy mikroskopu dokonać, a mianowicie, w jaki to sposób pracę t. zw. ziarnkowatą na zausznicach wykończył, gdzie nadzwyczaj drobne ziareczka złote wlutować trzeba było w mikroskopijne dziureczki. Silném szkłem mikroskopijném możemy dzisiaj jeszcze dokładnie rozpoznać lutowanie na najdrobniejszych kółeczkach.

Trudno obecnie rozstrzygnąć kwestyę, skąd się owe kosztowności do Troi dostały. Schliemann sam powiada: „Ponieważ nigdzie indziéj przedmiotów takich nie znaleziono, któreby podobne były do owych kosztownych ozdób trojańskich, pozostanie dla nas na zawsze zagadką, czy to swojski wyrób, czy téż przywoźny. Jeżeli je porównamy z wyrobami glinianemi, znalezionemi w spaloném mieście, albo z narzędziami i bronią z kamienia i z bronzu wyrobionemi, dać prawie trzeba wiarę, że jest to towar sprowadzony." Jak się zdaje, sięgnąć będziemy musieli aż do Babylonu, zanim dojdziemy do warsztatów jubilerskich, w których owe przedmioty artystycznie wyrobiono. A niezawodnie Fenicyan, najstarszy naród świata handlowy, przyjąć trzeba jako pośredników wymiany towarów pomiędzy brzegami Eufratu a wybrzeżem morza Egejskiego.

Wszakże mimo tych przypuszczeń, znalezione ozdoby kosztowne, chociaż z wielkim artyzmem są wykończone, nie dorównywają ani w części wyobrażeniu, jakie Homer w poemacie swym w umysłach naszych o sztuce ówczesnéj budzi. Chociażbyśmy nawet przypuścili, że poeta wyroby przedwiecznych artystów poetyczną fantazyą zabarwił, pozostaje jednakże obszerny wyłom pomiędzy stopniem kultury, jaką przedstawiają przedmioty, odkryte na Hissarliku, a oświatą, obrazowaną przez Homera.

Wspomnieliśmy wyżéj, że ogromne mury obronne, obszerne i głębokie pogorzeliska, odkryte w drugim pokładzie Hissarliku, zdają się dotykalne świadectwo składać o historycznéj prawdzie wojny trojańskiéj. Tymczasem jakże małą się przedstawia owa sławna Troja. Obwodu nie miała więcéj, jak 200 metrów, a gdyby na téj przestrzeni pobudowane były same sześciopiętrowe kamienice, znalazłoby tam pomieszczenie zaledwie 3,000 ludności. Schliemann upiérał się długo przy swém zdaniu, że miasto Pryama ograniczoném było na pagórek Hissarliku, że Homer sławiąc święty Ilion, jako pięknie zbudowane miasto z szerokiemi ulicami, skorzystał tylko ze swobody poetycznéj i dowolnie rozszerzył wielkich owych czynów widownię, która za jego czasów ostatnio w gruzy popadła i głęboko pod spodem późniejszych osad spoczywała. Dopiéro bystre oczy architektów, a mianowicie d-ra Dörpfelda, dostrzegły i z resztek fundamentów jasno dowiodły, że w owéj świetnéj epoce trojańskiéj, stał na Hissarliku tylko pałac królewski z przynależnemi budynkami, ludność zaś miejska na tym pagórku miejsca na mieszkania nie miała. Domy obywateli trojańskich stały, jak się domyślano, niżéj pagórka we wschodnim kierunku płaskowzgórza. Przy dokładniejszém badaniu na téj wyżynie, chociaż ziemia tam jeszcze na większéj przestrzeni i w większéj odległości od zamku nie jest rozkopana, znaleziono istotnie w głębszych pokładach niezliczoną ilość starych skorup. Miejsce więc owo było zamieszkałe i tworzyło niezawodnie wielkie miasto Ilion, które poniżéj zamku leżało. A zatém na pagórze znajdował się tylko warowny zamek królewski, ów Pergam święty, jak go Homer opiéwa, poety zaś teraz zarzut poetycznéj przesady i dowolności pod tym przynajmniéj względem już spotkać nie może, jeżeli tyle razy wspomina o pięknie zbudowaném mieście świętem z szerokiemi ulicami.

Wszakże byłoby złudzeniem znowu wierzyć, że Homer czy też owo piękne miasto, czy téż potężne mury zamkowe i baszty, w gruzach jeszcze rozmiarami swemi imponujące, które Schliemann teraz na światło dzienne wydobył, kiedykolwiek, albo przed pożarem, albo po zniszczeniu ich własnemi oczyma oglądał. A ten także dozna przykrego

rozczarowania, kto spodziéwa się tam choćby w szczątkach dojrzéć wspaniałego przepychu, jakim poeta otacza stolicę Pryama. Skarby szczerozłote, przez niemieckiego badacza wykopane, drobne są tylko i nieznaczne, nikną nawet zupełnie wobec bogactw trojańskiego króla i kosztowności nieprzebranych, opisywanych tylokrotnie przez Homera. Niezliczone ludy sprzymierzonych, nawet tylko mężnych Trojańczyków pułki, jakie stwarza wyobraźnia poety, na akropoli pergamowéj, przez Schliemanna odkopanéj, miejsca nie znajdą. Co więcéj, Homer nie był ani świadkiem, ani spółczesnym owéj kultury, którą dzisiaj z pewném prawdopodobieństwem z pozostałych zwalisk spalonego miasta i innych szczątków odtworzyć i ocenić możemy. Poeta bowiem, aby ten jeden tylko szczegół przypomniéć, zna już żelazo, a w owém mieście kruszec ten był zupełnie nieznany.

Lecz już fakt sam niezbity, że na miejscu przez Schliemanna odkrytém stała rzeczywiście warownia starożytna, przyczynia się znakomicie do rozwiązania pytania, czy Homer istotnie na tym pagórku właśnie gród pryamowy sobie pomyślał.

Według naszego pojmowania rzeczy, okazują wszyscy starożytni pisarze, przedewszystkiém zaś poeci, zbyt mało zmysłu na dokładne oznaczenie czasu i przestrzeni. Ich tylko dramatyczna akcya, czynności ludzkie zajmują. A więc Homer także nie był z wszelkiemi szczegółami miejscowości tak subtelnie obznajmiony, jak mieszkaniec tamtejszych stron, albo może jakby realistyczny powieściopisarz nowoczesny uważał to za swój główny obowiązek. Dla epicznego poety bohatérskie czyny, jakich tam dokonano, główny temat stanowią. Szczegóły zaś lokalne, dokładne uwzględnienie miejscowości są w oczach jego zbyt podrzędnemi i obojętnemi akcesoryami, aby je traktował z wielką skrupulatnością.

Jednakże, jeżeli nie drobnostkowe szczegóły miejsca samego, to przecież bezwątpienia ogólna scenerya, główne tło akcyi zgadzają się przedziwnie z homerowém obrazowaniem. A więc zbyt śmiałém byłoby twierdzenie, jakoby poeta na tém miejscu nigdy swą nogą nie postał. Owszém, jest nadzwyczaj prawdopodobném, że z murów trojańskiéj akropoli rozmarzonem okiem spoglądał Homer na wzburzone fale morskie aż po wyspę Tenedos, po za którą po udanym odwrocie ukrywała się flota grecka, że widział u stóp swych kamieniste łożysko wartkiego Skamandru, a wdali ku południowemu wschodowi, dojrzał wiecznym śniegiem pokrytych szczytów idajskich, stolicy najpotężniejszego z bogów, gromowładnego Zeusa. Wprawdzie owa akropola, na któréj Homer oparł swe stopy, była z pewnością młodszego i późniejszego pochodzenia, a tylko na mocy legend i tradycyi miejscowéj, w czę-

ści także potęgą swéj wyobraźni genialnéj, powiązał wieszcz nowsze dzieje warowni z tragicznemi losami wspaniałego grodu pryamowego.

Homerowa Troja nie jest więc wyłącznie fantastycznym tworem poety, ponieważ grób jéj jest dzisiaj otwartym, a przed oczyma naszemi spoczywają gruzy grodu, bogatego, według Homera, w bronz i złoto. Jak dzisiaj, jeszcze bogactwo odkopanéj siedziby książęcéj, mimo, że w drobnych tylko okruchach dochowane, uwagę całego świata na siebie zwraca, tak przed tysiącami lat zawiść i chciwość ludzka, żądne zapewne owych nieprzebranych jeszcze skarbów, zgotowały prastaréj twierdzy przedwczesną zagładę. Stąd téż nie dziw, że wypadek tak wielkiego znaczenia, choćbyśmy nawet przypuszczali, że w pobocznych szczegółach różnił się istotnie od homerowego przedstawienia, że wypadek, o którym ojcowie synom, babki wnukom swoim przez długie lata snuły opowiadania, dostarczył niewyczerpanego prawie wątku pieśniarzom greckim, że ci z widoczną predylekcyą chwycili się przedmiotu, który na całém wybrzeżu morza Egejskiego i starszemu i młodszemu pokoleniu był dobrze znany. Im więcej zaś czasu od tego zdarzenia upłynęło, im większe szczerby w ustnéj tradycyi nastąpiły, tém bardziéj pożądano je w pieśni, w jednolitéj, wyczerpującéj formie usłyszeć.

Tragiczna zagłada grodu pryamowego stanowiła zatém bardzo wdzięczny temat dla pieśniarza, wędrującego od jednéj stolicy książęcéj do drugiéj. Aby zaś zawsze chętnie słuchano, ile razy się na hojnym dworze pojawi, przyozdabiał on pewnie opowiadanie swoje w coraz to nowy, pierwotnemu przedmiotowi więcéj obcy materyał i prządł coraz dłuższą nić fantastyczną. A podobnie, jak pokrywa pagórka Hissarliku, na którém stało święte Ilion, z biegiem czasu ciągle wszerz i w wyż wzrastała, tak téż i jedno podanie mityczne za drugiém grupowało się obok siebie, póki twarda, nieprzebita skorupa nie pokryła historycznego jądra, które pierwotnie było powszechnie znaném, lecz zwolna coraz więcéj w niepamięć popadało, tak, że dzisiaj wątpliwém się wydaje, czy kiedykolwiek uda się ową mityczną skorupę ostrym skalpelem naukowego badania krytycznego przeniknąć i wnijść na ślad prawdziwego, pierwotnego znaczenia jéj treści.

Schliemannowi wszelako sprzyjało szczęście niesłychane, a z pomocą mniéj delikatnéj motyki powiodło mu się rzeczy na jaw wydobyć, jakieby każdy z nas przed 25 laty w dziedzinę bajek przeniósł. Albowiem chociaż z wykopalisk jego do objaśnienia pieśni Homera bezpośrednio niewiele stosunkowo zyskujemy, dokonał on jednakże innego, większego daleko dzieła. Szczęśliwe odkrycia jego wydobyły na jaw, odsłoniły przedhistoryczny rozwój i stosunki ludów,

o których nauka dotychczas zaledwie słabe miała pojęcie. A stąd imię Schliemanna jest po wszystkie czasy ściśle związane nietylko z arcydziełem poezyi, lecz także z najwięcéj zajmującą nauką, traktującą o dziejach rodu ludzkiego.

Po zburzeniu homerowego grodu tworzyło Pergamos jedno wielkie rumowisko, z którego tylko szczątki murów sterczały. Jednakże, jak się zdaje, powstała na gruzach niezadługo nowa osada, ponieważ pomiędzy drugiém a trzeciém miastém znajduje się tylko cienki pokład ziemi. Nowi osadnicy nie byli liczni, ani też zamożni. Nie zadali oni sobie nawet tyle trudu, aby wyrównać miejsce dla swych domostw. Każdy budował, jak mu było najdogodniéj, stawiał domy z drobnych, nieregularnych kamieni, spojonych z sobą wapnem, rozrobioném z piaskiem. Jedno tylko domostwo z większą pretensyą było wybudowane. Uważał je zrazu Schliemann, kiedy jeszcze pojedyńczych pokładów nie mógł dokładnie rozróżnić, za pałac władcy Ilionu. Zburzenie tego miasta nie było zupełném. Ściany domów ocalały do dzisiaj i sterczą jeszcze w wysokości 2—3 metrów.

Na rumowiku, zaległém pomiędzy ścianami założono czwartą osadę, która może marniejszą i uboższą była, niż poprzednia. Mury przynajmniéj, składające się z mniejszych łamanych kamieni i gliny, są słabsze. Domy, stawiane z cegły palonéj i z surówki, były niskie. Na dachach, trzciną pokrytych, spoczywała dość gruba warstwa gliny. Była to więc taka sama struktura, jaka do dziśdnia w owych okolicach jest zwyczajna. Ze sposobu stawiania takich dachów, zniszczeniu łatwo podlegających, bo ulewne dészcze snadnie je spłukują, wyrozumiéć dopiéro można, dlaczego powierzchnia ziemi na Hissarliku tak znacznie podniéść się mogła. Czwarta osada została prawdopodobnie zburzona.

Także domostwa piątéj osady, która się bardziéj na południe i ku wschodowi rozciągała, nie były z trwalszego materyału wystawione. Natomiast silniejszém było obwarowanie miasta. Mury są spodem na 5 metrów grube, a wyżéj dopiéro zwężają się, wybudowane zaś są z płyt kamiennych bez powiązania, na spodzie o znacznych rozmiarach.

Szóstą osadę zaliczają już do historycznych, a Schliemann nazwał ją lidyjską. Ponieważ za pierwszego kopania nie odkryto w niéj żadnych budynków, jeno niezliczone, nader charakterystyczne wyroby gliniane, przeto przypuszczano, że jeszcze późniejsi osadnicy wszystkie resztki domów do szczętu znieśli, aby zupełnie równy grunt dla mieszkań swych uzyskać. Lecz w ostatnich latach i w téj warstwie dokopano się budynków, których szczątki przy równaniu

gruntu ocalały i tylko gruzami zostały pokryte. Gliniane wyroby w tym pokładzie znalezione, są nadzwyczaj podobne do przedmiotów, jakie w Mycenach wykopano. W Helladzie zniszczyły cywilizacyę, która tworzyła podobne naczynia, wędrówki doryckie na końcu XII-go wieku przed Chr. Chociaż nie można z tego podobieństwa wysnuć bezpośredniego wniosku, że osada na Hissarliku sięga téjże saméj epoki, tyle jednakowoż jest pewna, że zgodność owa w wyrobie naczyń glinianych bardzo dawne czasy wskazuje. Z jakich tedy wieków odległych pochodzić będzie tak zwane homerowe miasto!

Trzy następne pokłady mieszczą helleńsko-rzymskie Ilion.

Osadnicy na siódmym pokładzie, i to w helleńskiém Ilion, byli, jak się domyślać wolno, Gallowie, a osiedli tutaj w połowie VI-go wieku przed Chrystusem. Stare miasto zużyli oni tylko jako warownię, a właściwą siedzibę swą założyli nazewnątrz staréj osady, więcéj na południe i ku wschodowi. Po upadku państwa lidyjskiego dostała się osada wraz z całą krainą pod panowanie perskie. Na Pergamos Pryama wszedł wtedy Kserkses, kiedy z początkiem wiosny r. 480 na czele niezliczonych zbrojnych zastępów przeciwko Grecyi się wyprawiał. Herodot w ks. VII, roz. 43 wyraźnie wspomina, że władca perski zwiedził Pergamos, aby ciekawość swoją zaspokoić i że dowiedziawszy się szczegółów o świetnéj przeszłości grodu trojańskiego, kazał na cześć Ateny ilijskiéj tysiąc wołów w ofierze złożyć. Równą cześć oddał téj bogini także Aleksander Wielki, gdy w r. 334 na wyprawę przeciwko Persom wyruszył. Tenże król, entuzyastyczny, jak wiadomo, wielbiciel homerowéj poezyi, wyświadczył nadto miastu wiele łask i tak ogłosił je niezależném i zwolnił od wszelkich podatków.

Razem z objęciem rządów przez Macedończyka Lizymacha, następuje dla Troi peryod rozkwitu. Lizymach bowiem, jak to ósmy pokład wykazuje, opasał miasto murem warownym, na milę długim, mieszkańców z starych i podupadłych miejscowości sąsiednich skłonił, że się do trojańskiéj warowni przenieśli. Bogini Atenie wzniósł wspaniałą świątynię. Do dzisiaj pozostały z niéj silne fundamenty, daléj resztki korynckich kolumn z białego marmuru, wmurowane w ściany późniejszéj twierdzy, prócz tego gruzy z doryckiéj świątyni Apollina. Największe szczęty pozostały jednakże z muru fortecznego, wysokiego na dwanaście, grubego na dziesięć stóp, wystawionego z pięknie ociosanych głazów kamiennych. Mimo wszelkich protekcyi Lizymacha nie osiągnęło miasto na dłuższy czas większego znaczenia, gdyż położona w bliskości Aleksandrya-Troas, założona przez Aleksandra Wielkiego, ściągała do siebie wszelki handel i przemysł. Kiedy Gallowie

oblegali Ilion, odparły ich hufce aleksandryjskie, które zagrożonemu miastu na odsiecz przybyły.

W zmiennych bardzo kolejach dziejowych stron tamtejszych przypada kraina trojańska późniéj Antyochowi syryjskiemu w udziale, aż wreszcie z pod jarzma barbarzyńskiego wyswobodzona, dostała się pod panowanie rzymskie. Z faktem tym łączy się najświetniejszy, dziewiąty peryod dla Ilionu. Rzymianie, którzy według wielu wiekami uświęconéj tradycyi, w Trojańczykach przodków swych dopatrywali, poddali zaraz pod władzę grodu swych praszczurów całą okoliczną ziemię. Mianowicie zaś Cezar, który ród swój wywodził bezpośrednio od „pobożnego" Eneasza, niezwykłemi łaskami miasto obdarzył, rozszerzył bowiem znowu obszerne włości jego, nadał mu autonomię i uwolnił od wszelkich podatków. Wieść nawet niesie, że, podobnie jak w następnych czasach, cesarz August (por. Horacego pieśni, III, 3), nosił się z myślą przeniesienia stolicy państwa rzymskiego do Ilionu. W początkach III-go wieku po Chr. zwiedza Ilion cesarz Karakalla, a na pobliskiéj równinie, we wnętrzu osobnego pagórka, każe chować z ogromnym przepychem umiłowanego wyzwoleńca swego, Festusa, którego jedynie w tym celu otruł, aby na cześć jego, jak Achilles swemu przyjacielowi Patroklowi, z niesłychaną pompą pogrzéb wyprawić. Cesarz Konstantyn miał rzeczywiście zamiar założenia Nowego Rzymu na pagórze Hissarliku, wreszcie obrał jednakże na stolicę swą Byzancyum.

Od tego czasu popada Ilion powoli w zapomnienie. Szczątków z późniejszych epok braknie zupełnie. Ostatnie monety i skorupy z naczyń glinianych pochodzą z V-go wieku po Chrystusie. Troja już wtedy zupełnie opustoszała, a wzgórze Hissarliku jest tylko grobem odwiecznym, kryjącym w swém wnętrzu skarby nieocenione, które dopiéro w naszych czasach Schliemann na jaw wydobył.

Wykopaliska w Tyryncie.

Na samym zrębie wschodnim rozległéj równiny argolskiéj, która całéj krainie miano nadała, gdyż według geografa Strabona, „Argos" w języku pelazgijskim oznacza równinę, leży akropola tyryncka i myceńska. Obszerna i żyzna, „koniorodna" dolina, zraszana bystremi strumieniami Inachu i Kefisu, stanowiąca wielką osobliwość pośród skalistych i jałowych krain greckich, ubogich w wodę ożywczych potoków, od czasów najdawniejszych przynęcała do siebie wędrujące ludy, zwłaszcza, że do równiny przytykała zaraz głęboka, zaciszna za-

toka morska, która ku wschodowi odchylona, słała najdogodniejszą drogę ku niezliczonym wyspom Archipelagu i nieprzebranym zasobom wybrzeża anatolskiego. Stąd też nie dziw, że tutaj najstarsza cywilizacya na ziemi greckiej najwyższego dosięgła rozwoju.

Najnowsze wykopaliska Schliemanna dowodnie stwierdzają mityczne opowieści, że gród książęcy w Tyryncie, starszy był od myceńskiéj warowni. Dopiéro za panowania Megapentesa, syna Projtosa, władzcy Tyryntu, zakłada Perseusz Myceny, lecz niebawem starszą osadę podbija pod swe panowanie. Zależny stosunek Tyryntu widnieje najwyraźniéj w legendzie, opiéwającéj, że na rozkaz Eurysteusza, króla myceńskiego, Herakles z Tyryntu podéjmuje się owych dwunastu prac, któremi dokupił się nieśmiertelnego żywota. W czasach historycznych nie miały już oba miasta żadnego większego znaczenia. Potocznie tylko się dowiadujemy, iż podczas wojen perskich pomiędzy poległymi w wąwozie termopylskim znajdowało się 80 myceńczyków, a w bitwie pod Plateami dwustu ich walczyło razem z tyrynckimi wojakami. W r. 468 przed Chr. zburzone zostały Tyrynt i Myceny przez Argejczyków, którzy od tego czasu nad całą krainą samowładnie panowali. Starodawne grody możnych królów achajskich popadają odtąd w niepamięć. Tylko na rumowiskach warowni myceńskiéj powstała, jak tego inskrypcye przez uczonych greckich świéżo odkryte jasno dowodzą, w III-im wieku przed Chr. nieznaczna osada wiejska.

W odległości dwóch tylko kilometrów od płaskiego wybrzeża morskiego, wznosi się z przestronnéj równiny długim grzbietem, nie zbyt wysoki, 22 metry po nad morze wyniesiony pagórek skalisty, siedziba książąt tyrynckich. Warowny mur, który dokoła pagórek opasuje, rozmiarami budowy swéj wzbudza do dzisiaj podziw i grozę, a—jak Pauzaniasz pisze—wystawiony został przez Cyklopów, których król Projtos, według mitycznéj opowieści, aż z Lycyi sprowadził, i składa się z ogromnych głazów z wapienia, z grubszego tylko ociosanych i powiązanych z sobą gliną. Każdy z nich jest tak wielki, że zaprząg o dwóch mułach nawet najmniejszego z nich z miejsca ruszyć nie zdoła. Starożytnym wiekom tak potężną wydawała się ta budowa, że ręce zwyczajnych ludzi dokonać jéj nie mogły. Istotnie niejeden głaz na trzy metry długości, a jeden metr wysokości. Mur ów téż, liczący w przecięciu 7 metrów grubości, wysokości zaś, o ile do naszych czasów się dochował, przeszło 7 metrów, grubieje w sąsiedztwie podwórza pałacowego do 17 metrów przeszło, a we wnętrzu swém mieści tutaj przeróżne schody, kurytarze, galerye ostrołukowe i sklepione śpiżarnie.

Na pagórze tyrynckim dokonał Schliemann wraz ze znakomitym architektem Dörpfeldem najważniejszego może zadania pod względem naukowym, odgrzebując z pod odwiecznych gruzów w r. 1876, 1884 i 1885 jeden z najstarszych grodów książęcych na ziemi greckiéj. Z pomocą motyki i rydla, oraz nadzwyczaj bystréj, a zawsze trafnéj kombinacyi, dzisiaj dopiéro wyłaniają się z ciemnych głębin ziemi nietylko główne zarysy, lecz i sama budowa prastarego pałacu książęcego i rozkład jego w najdrobniejszych szczegółach. Odkrycie to nabiéra niezmiernego znaczenia przez to, że uzupełnia niedostateczne, ułamkowe wiadomości nasze z przedhomerowych i homerowych czasów.

Za przewodem Schlimanna podejdźmy na pagórek tyrynckí.

Przez ciasny otwór w murze, wysoko się z obu stron piętrzącym, jakby go nadludzkie potęgi wybudowały, wstępujemy na ponury, zwolna wznoszący się ganek i dochodzimy do rumowisk bramy, która, wystawiona według tegoż samego wzoru, z równego materyału, a nawet w takich samych niemal rozmiarach, co i sławna Lwia Brama w Mycenach, niegdyś przystępu do zamku broniła. Po za bramą droga się nieco rozszerza, lecz i tutaj jeszcze tłumią światło dzienne olbrzymie mury warowne. Wchodzimy na dziedziniec. Na lewo w murze widać niskie sklepienia, w których straż zamkowa czuwała, a zarazem broniła dostępu do rozległych śpichlérzy, założonych w głębi obszernych murów fortecznych.

Nawiasem tylko dodamy tu, że między konstrukcyą tych magazynów i śpichlerzy w murze tyrynckim, a budową murów miejskich w wielu osadach fenickich na północném wybrzeżu Afryki, zachodzi nawet co do rozmiarów tak wielka analogia, iż za rzecz przypadku uważać jéj nie można. Mimowoli nasuwają się na myśl przeróżne osady fenickie na wybrzeżach greckich, o jakich prawią nietylko starodawne podania, lecz i nowsze badania lingwistyki porównawczéj pewniejsze rezultaty podają. Tymczasem pobłądziłby ten bardzo, ktoby myślał zaraz o fenickich architektach, budujących owe mury na rozkaz króla Projtosa. Tyryncką sztukę budowniczą odnieść tylko należy do tego samego starodawnego wzroru azyatyckiego, do którego nietylko Fenicyanie, lecz z pewnością i wiele innych narodów w owych czasach z świadomością się stosowało.

Po prawéj ręce wznosi się druga brama warowna, któréj olbrzymie rozmiary odpowiadają majestatycznéj grozie muru zamkowego. Przez świetlice, unoszące się na wysmukłych kolumnach, wchodzimy na rozległy podwórzec pałacu książęcego a przeszedlszy przez koszary

pałacowego odwachu, stawamy wreszcie przed bogato zdobioną bramą pańskiéj rezydencyi.

Długi szereg warownych bram, po sobie następujących i pilnie strzeżonych, wzbudzi w nas koniecznie myśl, że władcą tutaj jest książę, który jak sułtan nowoczesny spędza życie bez żadnéj łączności ze swym ludem, a rzadko tylko audyencyi poddanym udziela, kiedy im się uda przedostać przez rozliczone instancye gwardyi pałacowéj i urzędników nadwornych. W czasach, kiedy na zamku sam książę przebywał, zwyczajny śmiertelnik nie dostał się pewnie nigdy przed oblicze samowładcy.

Zbliżmy się więc do niego w orszaku jego możnych powierników.

Za przestronną bramą z „przewiéwnemi" świetlicami rozciąga się znowu obszerny dziedziniec, z wielkim przepychem zdobiony, wskazując już bliskie sąsiedztwo książęcéj siedziby. Cały jest pokryty wytworną posadzką, okolony z wszech stron świetlicami, wniesionemi na słupach drewnianych. Przed świetlicą naprzeciw podwoi pałacowych stoi ołtarz ofiarny. Tutaj krew wołów, bitych przez samego księcia, spływała do podziemia na cześć opiekuńczego bóstwa książęcéj rodziny, które protoplaście rodowemu dwusieczny topór ofiarny osobiście wręczyło. Wzrok obiatującego księcia wznieść się mógł tylko do zawsze pogodnych niebios południa, gdyż z szczelnie zabudowanego dziedzińca nie zdołał on dojrzéć ani poddanych, ani nawet kraju sobie podwładnego. Po za ołtarzem wreszcie wiedzie nas wspaniałe przedsienie do sali książęcéj. W niéj rozwinięta wszelka świetność i przepych, na jaki tylko artyści miejscowi i zagraniczni zdobyć się mogli. Wysokie, ku górze pełniejsze kolumny są całe pokryte misterną rzeźbą, słupy w ścianie wysadzane drogocenném drzewem, strojoném symetrycznie w gustowne rozety z bronzu. Od podstawy ścian bije blask przezroczystych płyt alabastrowych, na których niebieska poléwa szklana, w mozaikę układana, jaśnieje jak drogie kamienie. Ściany pokryte są pięknemi malowidłami, przedstawiającemi pośród przeróżnych fantastycznych zwierząt łowy na byków i walki z nieprzyjacielem, przez książąt staczane. Do przedsienia głownéj sali wiedzie troje szerokich podwoi. Z przedsionka osobnemi drzwiami udawał się dostojny gość, z dalekich stron przybyły, do łazienki, aby mógł czysty, wonnemi olejkami namaszczony i pięknie przybrany, stawić się przed oblicze potężnego władcy. Wielki kobierzec przesłania wejście do sali. Kiedy wejdziemy do niéj przez szeroki próg kamienny, otoczy tam nas przyćmione światło dzienne, które bocznemi otwory u stropu, w środku wywyższonego skąpo obszerną przestrzeń oświéca. Na czterech wysmukłych słupach wznosi się dach. W środku sali widzimy

jaskrawo przyozdobione ognisko koliste, z którego dym ofiarny unosi się ku górnym otworom, okna zastępującym.

Lecz dość już tych szczegółów z książęcego zamku. Potrzebaby dokładnego planu pałacu tyrynckiego, jaki Schliemann razem z opisem swym wydał, aby nie pobłądzić w owym labiryncie mniejszych pokoi, pomieszkań dla księżnéj i jéj dworu, izb i oficyn dla służby, budynków gospodarczych, przedsionków, kurytarzy, dziedzińców, jakie otaczają wspaniałe salony monarchy, potrzebnym byłby główny zarys całego zamku, aby zoryentować się we wszystkich bramach, ukrytych drzwiach, do wycieczek wrazie oblężenia urządzonych, wieżach obronnych, strzelnicach i rozmaitych magazynach, pomieszczanych w olbrzymim murze, który opasuje kołem warownem cały pagórek.

Podane szczegóły wystarczą zapewne, aby nabrać wyobrażenia, z jak sumienną dokładnością powiodło się Schliemannowi i wiernemu towarzyszowi jego, Dörpfeldowi, z ogromnych rumowisk i z pozostałych szczętów w Tyryncie, odtworzyć zupełnie wiarogodny obraz książęcego grodu na ziemi greckiéj z drugiego tysiącolecia przed Chrystusem.

Lecz gdzie leżało miasto Tyryns? Gdzie mieszkała ludność, bezpośrednio podległa berłu książęcemu? Na pagórze zamkowym, jak z powyższego opisu wypada, miejsca dla niéj nie starczyło. Otóż, podobnie jak na trojańskiéj akropoli, rezydował i na tyrynckim pagórze sam książę z najbliższém otoczeniem i potrzebną załogą zamkową. Miasto leżało z pewnością u podnóża zamkowego pagórka. Jak wielkiém ono było, czy również murem było opasane, trudno dać na to dzisiaj dokładną odpowiedź, gdyż wnętrza ziemi na tém miejscu jeszcze nie rozkopano. Bardzo wątpliwém jest nawet, czy można się tutaj jakich stanowczych rezultatów dokopać, albowiem grunta, w najbliższém sąsiedztwie pagórka bardzo urodzajne, od wieków już są pod pługiem.

Wykopaliska w Mycenach.

Jednakowoż wykopaliska tyrynckie nie stanowią jeszcze kresu niestrudzonych żadnemi przeszkodami badań Schlimanna. Prócz odkrycia siedliska jednego z najstarszych rodów książęcych na ziemi greckiéj, dokonał on jeszcze innego ważnego dzieła, zstępując pod ziemię i dobywając z niéj na światło dzienne pośmiertne mieszkania prastaréj rodziny królewskiéj.

W berlińskiém Muzeum etnograficznéni, obfitującém w nieocenione skarby i najrzadsze osobliwości, zabytki, wygrzebane z wnętrza pagóra Hissarliku, nie więziłyby zapewne przez dłuższy czas uwagi ciekawych, gdyby ich nie nęciła sława homerowego grodu trojańskiego i chlubne nazwisko Schliemanna. Myceńskie wykopaliska badacza niemieckiego odmienne spotkały koleje. Kiedy trojańskie skarby, dzięki gorącemu patryotyzmowi szczęśliwego odkrywcy dostały się jako wspaniała darowizna na wieczne czasy do metropoli Niemiec, to nieprzebrane iście zdobycze z myceńskich grobów przypadły według umowy w udziale państwu greckiemu, a przechowywane w ogromnéj sali politechniki ateńskiéj, stanowią najwspanialszą i najdroższą jego ozdobę. Kiedy wykopaliska trojańskie sprawiają pewne rozczarowanie na widzu, spodziéwającym się oczy swe napawać czarującym zawsze blaskiem przelicznych przedmiotów z najdroższych kruszców wyrobionych, nie zdołają natomiast nawet najdokładniejsze spisy i opisy ani najwierniejsze ilustracye oddać dostatecznie wrażenia, jakie na każdym sprawiają nieprzeliczone, niezwyczajne skarby myceńskie. Jednakże materyalna wartość nie wyczerpuje jeszcze całkiem ich wielkiego znaczenia. Przedmioty, znalezione w grobach myceńskich, odsłaniają uczonemu światu pogląd nowy na epokę prastaréj cywilizacyi któréj jedynymi reprezentantami były dotychczas olbrzymie, lecz nieme mury cyklopowe. Schliemann wyruszył na wyprawę naukową, aby przekonać się, ile się mieści prawdy w pieśniach Homera, w niejednym szczególe do baśni podobnym, a wydobył z rzadkiém szczęściem na jaw rzeczywistość, która tak bajecznie wyglądała, tak bardzo blaskiem swym lśniła, że poważni uczeni zrazu uwierzyć nie chcieli w jéj starożytność i autentyczność.

Na półwyspie Peloponeskim, w samym zakątku niziny argolskiéj skąd bite gościńce wiodą przez górskie przełęcze, aż do Koryntu, leżały Myceny, córa albo młodsza siostra, grodu tyrynckiego, 15 kilometrów od wybrzeża morskiego, a 13 kilometrów od Tyryntu ku północy odległe. Po nad wąską doliną między wyniosłemi górami skaliste z których północna, Prorokiem Eliaszem zwana, do 807 metrów wysokości, południowa zaś, Szara z nazwiska i z wejrzenia, do 659 metrów dochodzi, wznosi się pagór 278 metrów wysoki. Na nim to założono gród książęcy, znowu tak warowny, z tak olbrzymich głazów kamiennych, że w oczach Greków za czasów historycznych wydawał się on podobnie jak zamek tyrynecki, nadludzkiém dziełem Cyklopów. Jak mityczna legenda głosi, władali na tym zamku warownym zrazu Perseusz i ród jego, a potém potomkowie Pelopsa, który całemu półwyspowi miano nadał, Atreusz i Agamemnon. Z opowieści mitycznych dowia-

dujemy się daléj, że już w odległych czasach przedhistorycznych straciła warownia tyryncka samodzielność na rzecz osady myceńskiéj. Jakim sposobem mogło miasto górskie, a takiém były Myceny, prześcignąć, a wreszcie i ujarzmić siedzibę władców tyrynckich, tak korzystnie nad morzem położoną? Zawiłéj kwestyi nie może rozstrzygnąć uwaga Arystotelesa, który mówi: „Za czasów wojny trojańskiéj była kraina argolska pokryta nieprzebytemi bagnami i moczarami, a stąd tylko nieliczną ludność mogła wyżywić. Tymczasem ziemia naokół grodu myceńskiego była żyzna i wysoko oceniona.” Urodzajne albo jałowe grunta stron owych nie tłómaczą jednakże dostatecznie większéj lub mniejszéj potęgi obu miast, ponieważ przedmioty, w ich gruzach znalezione wskazują wyraźnie na cywilizacyę zamorską, na wielkie bogactwa w ożywionym handlu morskim zdobyte. Wyraźniejszą i pewniejszą wskazówkę daje nam położenie twierdzy myceńskiéj na znacznéj wyżynie pomiędzy zatoką argolską a koryncką. W ostatnich latach bowiem odkryto całą sieć cyklopowych dróg bitych, których wyraźnym celem było utrzymanie i ułatwienie komunikacyi po rozmaitych torach pomiędzy Mycenami a Koryntem. Stąd wniosek słuszny się nasuwa, że ową wyżynę górską jedynie w tym celu wybrano i zajęto, aby nowego grodu wpływ i znaczenie na obie strony utwierdzić i wyzyskać, aby nowi osadnicy nad południową i nad północną zatoką mogli samodzielnie panować i bez współzawodników utrzymać swobodnie stosunki handlowe z wyspami i dalszemi lądami morza Egejskiego i Jońskiego. Na podstawie takiego ze wszech miar wiarogodnego przypuszczenia pojąć dopiéro możemy zdumiéwający istotnie rozkwit i wielką potęgę, jakiéj się z czasem dobił gród myceński. A zatém młoda osada, pozostająca pod wodzą bystrego i energicznego męża, ujarzmiła najprzód pobliską niewygodną, rywalizującą warownię tyryncką, późniéj zaś ku północy waleczne hufce z doliny Inachu wysłała, aby dotrzéć do najdogodniejszéj komunikacyi z zachodniém morzem przez zatokę Koryncką. Jak ogromnemi zyskami nęciły ku sobie śmiały szczep żeglarski zamożne wyspy Jońskie, jak wielkie bogactwa obiecywała mlékiem i miodem płynąca błogosławiona kraina Feaków! Nawet mitologiczna opowieść prawi nam z wszelką szczerością, że Odysseusz, władca Itaki, był jednym z najwierniejszych sprzymierzeńców Agamemnona, króla myceńskiego!

Kultura i zamożność rozwijały się przeto na ziemi argolskiéj zupełnie odmiennemi tory, aniżeli w krainie trojańskiéj. Przodkowie Pryama mieli z początku w górach nieznaczną warownię. Potężném miastém stała się dopiéro wtedy, kiedy rezydencyę swą założyli wśród równiny na pagórze Hissarliku. Na równinie argolskiéj kwitnie naj-

przód Tyrynt, później dopiéro prześcigają starożytną siedzibę Myceny, założone pomiędzy górami. Wiernie odbijają ten stosunek także wszystkie wykopaliska, które na ziemi trojańskiéj noszą znamię przemysłu środkowych krain azyatyckich, z morzem się nie stykających, kiedy przedmioty odkryte w grodzie myceńskim, zdobione są roślinami i zwierzątkami morskiemi i znachodzą się z uderzającą analogią po całym Archipelagu.

Już wcześnie i to jeszcze przed historyczną epoką zgasł przepych zamku myceńskiego na korzyść miasta Argos. Wszystkie kosztowności i skarby z pałaców królewskich złupili szczęśliwi zwycięzcy. Jedynie marne i uszkodzone naczynia gliniane są gęsto dotychczas po całéj miejscowości rozsiane, ponieważ w oczach mieszkańców lichéj osady nawet, która się pomiędzy górami utrzymała, zbyt mało miały wartości. Mury pałacowe popadły w gruzy, utworzyły jednostajne rumowisko, po nad którém po kilku wiekach wzniosła się grecka świątynia. Tylko potężne głazy murów grodowych, chociaż ani zworami ani wapném nie były powiązane, ogromem swym i ciężarem oparły się zniszczeniu, a razem z podziemnemi, w żywéj skale wykutemi grobami, pozostały dla starożytnych i dzisiejszych czasów zdumiéwającymi świadkami niezwykłego przepychu starodawnego.

Zaledwie Schliemann uporał się z grubszego z rozkopaniem pagóra Hissarliku, naparła go radością przejętego ze szczęśliwego odkrycia mieszkania Pryama, tém gorętsza żądza wydobycia z pod gruzów zamku Agamemnona, napotężniejszego wroga króla trojańskiego, odkopania rezydencyi myceńskiéj, w złoto opływającéj, jak Homer ją zawsze wysławia.

W końcu lutego r. 1874 kopie na zamku myceńskim na próbę kilka szybów, aby zmierzyć głębokość pokładów rumowiska. Drugiego dnia już zapisuje w swym dzienniku, że wykopał mały, starożytny łebek wołu z gliny, a jak w Troi na żalnicach twarzowych dojrzał pierwotnych rysów Ateny sowiookiej, pyta się siebie zaraz: *Serait-ce une idole de Junon* βοῶπις? W końcu lipca 1876 r. rozpoczął równocześnie na trzech miejscach w gruzach myceńskich gruntowniejsze badania. Równie, jak starożytny podróżnik Pauzaniasz, uważał i on wielkie, w skłonie góry po za akropolą wykute gmachy kopułowate za skarbce królewskie rodziny Pelopidów. Jeżeli pasza turecki, jak mu opowiadano, na początku bieżącego wieku w dobrze jeszcze dochowanym tak zwanym skarbcu Atreusza, znalazł wielkie skarby złota, spodziéwał się i Schliemann na takowe natrafić pod gruzami, które bliżéj głównego zamku skalistą pieczarę pokrywały! Na tém miejscu kierowała pracami z polecenia męża żona Schliemanna. Wszakże mimo uciążliwego

bardzo i gruntownego odgrzebywania złotych skarbów na tém miejscu nie odkryto. Dokopano się tylko kilku pięknych odłamów z bogatéj architektoniki przy wnijściu do skarbca, a raczéj do grobowca, jak w rok późniéj przekonano się o tém dowodnie przy sposobności odkopywania gmachu kopułowatego na ziemi attyckiéj. Znaleziono tam bowiem wówczas w pieczarze, wykazującéj tę samą konstrukcyę, jak w sąsiedztwie myceńskiego zamku, trupy nienaruszone znakomitych z pewnością osobistości, gdyż miejsce to w skale wykuto jedynie w tym celu, aby dostojnym nieboszczykom oddać cześć tém wspanialszą.

Drugiego zadania podjął się i dokonał sam Schliemann, odkopując całkiem z rumowiska główną bramę zamkową, przed którą, jak przed trzema tysiącami lat, tak i dzisiaj jeszcze dwa lwy ogromne straż pełnią, uważane powszechnie, jako najstarsze pomniki rzeźbiarstwa greckiego. A kto dzisiaj zwiedza gród myceński, ten stopą swą dotyka tego samego progu ciosowego, przez który Agamemnon kroczył, wracając z wyprawy trojańskiéj stęskniony za Klytemnestrą zdradliwą.

Niezrażonemu żadną przeciwnością badaczowi, uśmiéchnęło się nadzwyczajne szczęście dopiéro na trzeciém miejscu, gdzie rozpoczął rozkopywać gruzy tuż po za Lwią Bramą: żywa skała pokryta była tutaj, na najniższym punkcie zamku, najgrubszym pokładem rumowisk. Według słów Pauzaniasza, wnioskował Schliemann, że groby rodziny książęcéj wewnątrz muru zamkowego znajdować się winny. W istocie napotkali niebawem robotnicy w głębokości 3—5 metrów na pięć kamieni grobowych, zdobionych bardzo starożytną rzeźbą. Płaskorzeźby przedstawiały pomiędzy dziwacznemi splotami ornamentowemi zbrojnych mężów, walczących albo polujących na wozach wojennych. Kiedy dokoła odkopano ziemię, przepełnioną skorupami naczyń glinianych osobliwéj formy, natrafiono wreszcie na podwójne koło wysokich płyt kamiennych, które szerokim łukiem obejmowało odkryte kamienie grobowe. Płyty owe nie stały, jak z początku przypuszczano, na opoce, lecz wspiérały się na ziemi, wypełniającéj szyby, pionowo w skale wykute, aby w nich zmarłych pochować. W wierzchniéj warstwie dokopano się na sześciu miejscach najprzód pokładów kamiennych, które, jako ołtarze, dla składania obiat pogrzébowych służyły. A wreszcie w głębokości sześciu metrów zadzwoniły kilofy o żywą skałę. Na niéj zaś, na samym spodzie sześciu szybów spoczywało 17 trupów, 9 męskich i 8 żeńskich, pokrytych, a raczéj przeładowanych nadzwyczaj bogatemi, bajecznemi ozdobami złotemi.

Są to tak zwane skarby myceńskie.

Ani chwili powątpiéwać nie można, że tak niesłychany przepych zdobić mógł groby jedynie królewskiéj rodziny. Maski ze szczerego złota, upodobniając zmarłych oblicza, leżały na twarzach męskich, złote blachy, zdobne w wężykowate sploty, pokrywały ich piersi. Szaty niewieście uginały się pod złotym ciężarem, gdyż w jednym grobie, w którym troje zwłok kobiécych spoczywało, znaleziono coś około 700 płytek złotych, na palec długich, bogato wzorowanych, które, jak łuski rybie, pokrywały suknie królowéj i jéj córek. Oprócz tego były one jeszcze strojne w złote pierścienie, naramiennice, zausznice i wielkie dyademy wzorzyste. We włosach tkwiły dwie szpile z guzami z kryształu górskiego, ze szkła kosztownego, a nawet i z bursztynu, naokół szyi wiły się długie smugi, nanizane drogiemi kamieniami rytemi, przedstawiającemi osobliwe zwierzęta i powabne sceny z życia na dworze książęcym.

Lecz pozostałéj rodzinie żałobnéj nie wystarczało przyodziać drogie zwłoki w najokazalsze szaty i przyozdobić je kruszcem najcenniejszym. Zmarły król bowiem miał w krainie podziemnéj wystąpić nietylko w pełnym przepychu, lecz winien był także jeszcze zabrać z sobą wszystko, czego na drugim świecie mógł do życia potrzebować. Wstawiono mu więc do grobu obok zwłok, drogie maści i wonne oleje w dzbanach z gliny, bronzu i srebra, srebrne i złote puhary do wina, berło, nabijane wielkiemi ćwiekami złotemi, miecze, z niepojętym na owe czasy artyzmem, srebrem i złotem wykładane, zawieszone na złotych pasach, dotrzymywały koronowanéj głowie towarzystwa i w grobie. Królowa zaś z córami zabiérała ze sobą złote szkatułki z kosztownościami, puszki z wonnemi maściami i wagę ze złota. Znaczenia ostatniego symbolu nie zdołano dotychczas dostatecznie wyjaśnić.

Otóż po raz drugi entuzyazm gorący i niezłomna wiara w Homera uwieńczone zostały niesłychaném powodzeniem. I w Troi odkrył Schliemann skarby królewskie z drogiego kruszcu, lecz jak marnemi, niezgrabnemi wydają się one w porównaniu z bogactwem skarbów myceńskich. Przemysł trojański sądził pewnie, że wielkiego już dzieła dla księcia swego dokonał, gdy podołał urobić z kosztownego materyału puhary i dzbany, wielkie i ociężałe, według początkującéj techniki. Tymczasem skarby myceńskie stanowią pomniki kultury, która już dokonała wielkich postępów, już dawno przekroczyła granicę skromnych potrzeb pierwotnego ludu. Szczep, w Mycenach zamieszkujący, posiadł już tajemnicę sztuki. Artyści i przemysłowcy myceńscy wszystkie utwory i przedmioty, nawet do najzwyczajniejszego użytku

przeznaczone, pięknie zdobili bogatą grą symetrycznych linii, miłych dla oka ornamentów. Tak garncarze malowali na zgrabnie utworzonych naczyniach w świetnym doborze kolorów piękne zwoje wzorzystych linii, przedewszystkiém zaś niezliczone sploty kół wężykowatych i zręczne imitacye tworów, jakie płodzi morskie wybrzeże, a więc algów, muszli, ślimaków i wodnych tysiąconogów. Trudniejszego zadania jął się wielce również szanowany cech złotników. Nietylko bowiem na każdéj blaszce złotéj, która służyć miała ku ozdobie szaty książęcéj, wyciskali bogate i delikatnie cieniowane ozdoby, lecz potrafili już także znakomicie w wykładanéj robocie złota, srebra i emalii przedstawić barwne, tryskające życiem obrazy na brzeszczotach mieczów, umieli także na złotych pierścieniach wyryć misternie sceny z łowów, z zapasów wojennych, lub z ofiar uroczystych. Na żądanie króla tworzył już artysta ówczesny symbol jego władzy nieograniczonéj, urabiał z drogiego kruszcu łeb byka i umieszczał po nad nim dwusieczny topór, z tak wielkiem zrozumieniem przedmiotu, z tak doskonałém przedstawieniem form ciała zwierzęcego, że utwór jego żywo nam na pamięć przywołuje najwyższy stopień rozwoju sztuki greckiéj w epoce peryklesowéj.

Znowu więc szczęście niezmierne sprzyjało Schliemannowi. Odkrył on ponownie świat całkiem nowy dla historyi i sztuki. Tak rozrzutny, zbytkowy, królewski przepych, wydałby się w oczach Greków, żyjących około tysiącznego roku przed Chr., obcym, napływowym, importowanym, azyatyckim. W rozmaitych szczegółach odkrytych skarbów znajdujemy istotnie wiele przedmiotów, zdradzających bezpośrednie stosunki prastarych myceńczyków ze wschodem i z Egiptem. W grobie na wyspie Rhodos odkrytym, znaleziono oprócz dzbanów z charakterystycznemi cechami epoki myceńskiéj, rznięty kamień drogi egipski z roku mniéj więcéj 1400 przed Chr. Z epoką tak starożytną zgadza się najprzód głęb :ość pokładów grobowych, daléj i kontrast z najstarszemi dotychczas znanemi pomnikami na ziemi greckiéj, których datę z wszelką pewnością oznaczyć możemy.

Bezsprzecznie były to szczątki i ozdoby rodziny, panującéj w Mycenach za czasów przedhomerowych. Niejedne z kosztowności, w grobach przechowane, odnajdujemy z jaskrawą analogią w opisach Homera. Ucha przy puharze Nestora, który go zabrał z domu na wyprawę trojańską, zdobiły według Iliady, cztery gołąbki, a w jednym z grobów myceńskich znalazł się puhar, nad którego wiekami unoszą się gołąbki złote.

Czyje zwłoki kryły owe groby?

Pauzaniasz opowiada, że sam widział groby, w których Agamemnon i jego rodzina spoczywają. Zrazu był Schliemann przeciwnego zdania, zważając na to, że za Pauzaniasza czasów, owo cmentarzysko zbyt głębokiém rumowiskiem pokryte było, aby tak szczegółowe wieści aż do II-go wieku po Chr., w którym żył Pauzaniusz, utrzymać się mogły. Wszakże na widok olśniewającego przepychu królskiego, nie dziw, że i jego trzeźwa rozwaga pofolgowała fantastycznym marzeniom. Zdawało mu się nawet dojrzéć, że niektóre zwłoki pochowane były z jakimś uderzającym pośpiechem, a szczegół taki bardzo się właśnie zgadzał z podaniem o niedbałym pogrzebie, jaki wiarołomna Klytemnestra zamordowanemu Agamemnonowi wyprawić miała. Pojmiemy wtedy zupełnie i wyrozumiemy uczucia Schliemanna, kiedy wysyłał do króla greckiego Jerzego następną tryumfującą depeszę:

„Z najwyższą radością zwiastuję waszéj królewskiéj mości, że odkryłem groby, wskazywane przez tradycyę, którą powtórzył Pauzaniasz, jako grobowce Agamemnona, Kassandry, Eurymedona i ich towarzyszy, zabitych podczas biesiady przez Klytemnestrę i Egista, jéj kochanka. Otaczało je podwójne koło płyt, które musiało być postawione dla uczczenia tych znakomitych osób. W grobowcach znalazłem niezmierne skarby przedmiotów archaicznych z czystego złota. Same już te skarby wystarczyłyby do zapełnienia wielkiego muzeum, które stanie się najznakomitszém w świecie i w ciągu przyszłych stuleci ściągać będzie do Grecyi tysiące cudzoziemców ze wszystkich krajów."

Ukończywszy roboty podziemne w Mycenach, udał się Schliemann zaraz w r. 1876 do Anglii, gdzie nietylko pracował nad dziełem, traktującém o najnowszych wykopaliskach, lecz naradzał się nadto z tamtejszymi uczonymi nad kwestyami i zagadkami, jakich bez liku szczęśliwe jego odkrycie badaczom zadało. W kołach angielskich uczonych znalazła niewzruszona niczém wiara Schliemanna w Homera i w jego poetyczne podania najżywszy i najwdzięczniejszy oddźwięk. Sam Gladstone sędziwy napisał przedmowę do nowego dzieła, w któréj starał się dowieść, że groby Agamemnona i Kassandry rzeczywiście odkryte zostały. Dzieło to pod tytułem *Mykenae* wyszło równocześnie w niemieckim i w angielskim języku w końcu r. 1877, francuskie zaś wydanie w następnym roku.

Nie uwłacza to w niczém zasłużonéj sławie wielkiego badacza, jeżeli zdanie jego, jakoby istotnie groby Agamemnona i Kassandry odkrył, oględniejsza krytyka lat następnych obaliła. Znakomity jego towarzysz dr. Dörpfeld dowiódł bowiem:

1. Że wszelka pamięć o grobach przez Schliemanna odkrytych

już się bardzo wcześnie zatarła, gdyż w innym razie nie przechowałyby się one przez lat tysiące nienaruszone aż do naszych czasów.

2. Że Pauzaniasz nie widział rzeczywistych grobów królewskich na akropoli myceńskiéj, tylko cmentarzysko w dolnéj części Mycen, do którego chwiejna tradycya mylnie przywiązała podanie o Agamemnonowym grobie.

3. Że wnętrze grobów myceńskich tak było urządzone, że w nich póty chować było można, póki się ciałami zmarłych nie zapełniły i nie zostały ostatecznie przysypane.

Prawdą zaś pozostaje niezbitą i wyłączną zasługą Schliemanna, że odkrył królewskie groby w Mycenach, w których z pewnością kilka generacyi z panującego domu pochowano.

Wykopaliska w Orchomenos.

Wykopaliska w Orchomenos, których Schliemann w r. 1880, 1881 i 1886 dokonał, stanowią także ważne odkrycie, ponieważ uzupełniają obraz myceńskiego peryodu kultury. „Skarbiec", a raczéj wielki grób kopułowaty Minyasa lepiéj się tam w najgłówniejszych częściach dochował, aniżeli „skarbiec" Atreusza w Mycenach.

W samém centrum ziemi beockiéj tworzy obszerne jezioro Kopais kończynę szerokiéj i urodzajnéj równiny. Dla braku naturalnego odpływu wody jeziornéj do morza zabagniła się cała okolica i osławiona jest do dzisiaj z powodu chorób zaraźliwych. Wina to rządów tureckich, które lekkomyślnie zaniedbały zupełnie utrzymania znakomitego systemu kanałowego, łączącego już w wiekach starożytnych jezioro z Eurypos, przesmykiem pomiędzy lądem stałym a Eubeą. Finanse zaś młodego królestwa greckiego zawsze są jeszcze zbyt zaszargane, aby podołać wielkiemu zadaniu, wymagającemu znacznych nakładów. Na wschodnim brzegu jeziora Kopais, w oddaleniu około 10 kilometrów od Eurypu, gdzie dzisiaj jeszcze na wyżynie, Gulas zwanéj, sterczą mury olbrzymie, leżał prastary gród Orchomenos. Topograficzne jego położenie odpowiada całkiem odwiecznemu, na całym Archipelagu przyjętemu zwyczajowi zakładania królewskiéj siedziby morzowładnego plemienia w pewném, lecz niezbyt wielkiém oddaleniu od wybrzeża morskiego. Jak widzieliśmy, powtarza się taka stała norma w trojańskim, tyryńckim i myceńskim grodzie.

Jak Strabon, sławny geograf z czasów około narodzenia Chrystusa, pisze, leżało w późniejszych wiekach miasto Orchomenos już nie na miejscu pierwotnéj osady, gdyż wypędziły stąd mieszkańców ba-

gniste febry zakaźne, lecz po drugiéj stronie jeziora ku zachodowi na pagórze, zwanym Akontion. Tutaj właśnie odkopał Schliemann „skarbiec" Minyasa. Przesiedlenie grodu musiało nastąpić bardzo wcześnie, ponieważ grób kopułowaty Minyasa, co do stylu i struktury, odnieść należy tylko do nieco późniejszego stadyum téj saméj epoki, do któréj najstarsze mury cyklopowe na wyżynie Gulas należą.

Równie jak Troja i Myceny jest także Orchomenos, według mytycznych opowieści, stolicą krainy i to beockiéj. Tak samo jak Myceny, zwie Homer i Orchomenos obfitującém w złoto miastem. Synowie Aresa, Askalafos i Jalmenos, wyruszyli z téj siedziby na wyprawę trojańską.

Wyżyny Gulas dotychczas nie rozkopano. Na tym zaś pagórku, u którego stóp odkryto grób kopułowaty, dokonał Schliemann kilku przekopów, lecz pod cienką warstwą rumowisk znalazł tylko drobne skorupy gliniane. Większe szczęście sprzyjało mu przy odkopywaniu minyasowego „skarbca". Nawet w późniejszych czasach historycznych gmach ów nie runął jeszcze w gruzy. Zwiedził go Pauzaniasz i zganił przy téj sposobności Greków, że cudzoziemskie rzeczy więcéj zawsze podziwiają aniżeli swojskie, że „nawet znakomici pisarze, którzy za obowiązek swój poczytują opisywać piramidy egipskie, ani słówkiem nie wspominają o skarbcu Minyasa, ani o murach tyryneckich, które niemniéj są wspaniałe". Pauzaniasz sam uważał gmach ten za skarbiec, gdyż pisze: „Według pewnych wiadomości, był Minyas pierwszy, który celem przechowania swych skarbów ogromnych, skarbiec wybudował."

Budynek ten kopułowaty, co do głównego zarysu i rozmiarów najwięcéj zbliżony do „skarbca" Atreusza w Mycenach, zapadł się z biegiem wieków aż do połowy. W końcu zeszłego stulecia próbował znany lord Elgin z pomiędzy gruzów odkopać nienaruszone części budynku, lecz dla ogromnych głazów, spoczywających we wnętrzu, odstąpił od swego zamiaru. Podjął się tego zadania Schliemann i znalazł najprzód pod potężnemi ciosami kilka warstw popiołu i innéj spalenizny, grubych na 12 stóp, stanowiących niezawodnie resztki składanych obiat. Na posadzce leżała kupa gruzów z czworograniastych kamieni i gzymsów marmurowych, które do właściwego „skarbca" żadną miarą należéć nie mogły. Schliemann odnosi te szczątki z jakiegoś pomnika czy małéj świątyni do czasów rządów macedońskich, tak samo i marmurowe torso niewiasty, jakie się tam jeszcze znalazło. Prócz tego odkrył podstawę kolumny rzymskiéj z ciemnego marmuru, marmurowe piedestały posągów, żarna z trachytu, kły dzika, przęsłyki i gliniane skorupy z przeróżnych czasów i stylów.

Widoczna więc, że budynku owego w zmiennych kolejach późniejszych czasów starożytnych do najrozmaitszych celów używano.

Gmach sam składa się, jak grobowiec Atreusza, z długiego przedsionka *(dromos)*, z budynku kopułowatego i z wielkiéj izby, przylegającéj do niego z prawéj strony. Cały wybudowany jest z zielonawego kamienia łupkowego, którego łomy odszukano w okolicy beockiego miasta Lebadei. Ganek kryty zniszczył w większéj części w r. 1867 wójt sąsiedniéj wsi Skripu, aby z wydobytych kamieni wystawić kaplicę. Średnica sklepionego budynku wynosi około 14 metrów. Ściany zwężające się ku górze dochowały się nienaruszone aż do ósmego pokładu kamiennego, częściowo zaś sterczą jeszcze aż do dwunastéj warstwy. Od piątego pokładu począwszy ku górze w każdym prawie głazie widać wydrążenia, w których po części tkwią jeszcze gwoździe z bronzu. Na nich były w symetrycznych figurach przytwierdzone rozety bronzowe. W środku posadzki wyżłobiono w żywéj skale dość znaczne miejsce, służące zapewne do wmurowania jakiego pomnika.

Z gmachu kopułowatego prowadzą na 2 metry wysokie, a przeszło jeden metr szerokie drzwi, na słupcach nadzwyczaj bogato bronzem zdobione, do kwadratowéj izby. Zasługuje ona dla osobliwego sposobu konstrukcyi i wspaniałéj ornamentyki na szczególną uwagę. Wysokość jéj i szerokość wynosi półtrzecia metra, długość blisko 4 metry. Zewsząd przeziera żywa skała. Co najdziwniejsza jednak to, że izby téj nie wyrąbano od strony kopułowatego gmachu, lecz na sposób szybu górniczego wykuto od wierzchu skały. Strop izby, złożony z pokładu wielkich głazów, zapadł się według opowiadania miejscowéj ludności dopiéro w r. 1870 pod ciężkiém rumowiskiem. Przy ścianach skalnych postawiono jeszcze osobne mury z wielkich łomów kamiennych i z gliny. Posowę składały grube płyty z zielonkawego łupku, na spodniéj stronie żłobione w udatne wzory z rozet, wijących się ślimaków i z kiści palmowych, w rogach ścian bujnie wyrastających. Mury ścienne wysadzone były nadto marmurowemi płytami, zdobionemi również według tych samych motywów, co strop całéj izby.

Gdyby sama struktura grobowca orchomeńskiego wyraźnie nie stwierdzała pokrewieństwa i najściślejszéj łączności z myceńskiemi gmachami grobowemi, rozstrzygnęłyby wszelką wątpliwość równe ozdoby po ścianach i na stropach. Ten sam gustowny układ symetryczny w rozetach, zwojach ślimakowych, rąbkach ząbkowanych pojawia się na ziemi beockiéj, jak i w grobach myceńskich i na ścianach pałacu w Tyryncie. Praktyczna zmiana w założeniu grobowca w Orchomenos znamionuje znaczny postęp w konstrukcyi przybytków po-

śmiertnych, z wielkim przepychem rozwijając je z grobów szybowych na kopułowate grobowce. W obudwu miejscowościach jest jeden system widocznym. Groby w Mycenach i w Orchomenos są pionowo w skale wykute, wysadzone murem z łomów kamiennych, zamknięte w górnéj części wielkiemi głazami. Zmiana w systemie nastąpiła jedynie o tyle, że okrągłe miejsce dla obiat pogrobowych, w którém w Mycenach czczono zmarłych ponad grobami, przełożono w Orchomenos obok grobów. Z reformy téj, dokonanéj pierwotnie ze względu praktycznego, aby wygodniéj, bez trudu dojść można do grobów, wywiązała się z czasem wspaniała struktura grobowców kopułowatych.

Badania Schliemanna na wyspie Itace przyczyniają się nie tyle do rozszerzenie wiadomości naszych o kulturze greckich czasów bohatérskich i rychlejszych jeszcze wieków, ile do dokładniejszego wyświecenia stosunku pomiędzy opisami Homera a istotnym krajobrazem wyspy, za tło poecie służącym. Nabiérają zatém ogólniejszego znaczenia szczególnie pod względem topograficznym.

Wyspę Itakę zwiedził Schliemann w kwietniu 1868 r. i ogłosił rezultaty podróży w pierwszém swém dziele archeologiczném pod tytułem: *Ithaka, der Peloponnes und Troja.* W dziesięć lat późniéj był raz jeszcze na Itace, a w autobiografii, poprzedzającéj dzieło „Ilios", sprostował pierwsze spostrzeżenia w niejednym szczególe.

Niesiony na skrzydłach rozbujałéj fantazyi, przejęty najgłębszą wiarą w każde słowo Homera, upojony uczuciem, że spełniają się nareszcie pierwsze jego marzenia młodzieńcze i po długich latach nieutulonéj tęsknoty ogląda istotnie ojczyznę „obrotnego w fortele" króla Itaki, z rozrzewnieniem widzi w pierwszych urnach, jakie sam z wierzchu gruzów odkopał, popioły Odysseusza, Penelopy i ich potomków, a w dzikich zaroślach, na rumowisku ku północnemu wschodowi wyrosłych, szuka szczątków pałacu, gdyż na tém właśnie miejscu, jak się domyślał, rosło piękne drzewo oliwne, z którego Odysseusz łoże małżeńskie wyciosał, a wkoło pnia łożnicę wystawił.

„W dziedzińcu stało wielkie tam drzewo oliwne,
Grube jak filar jaki, rozłogie i ciemne;
Jam wkoło oliwnika wzniósł ściany kamienne,
Dach zasklepił, drzwi wprawił z silnych tramów zbite,
I na naszą sypialnię przeznaczył tę klitę.
Potém ściąwszy koronę drzewa gęsto-listą,
Sam pień aż do korzenia ociosałem czysto,

Zrównałem ostrzem miednym gładko i pionowo:
A więc noga do łoża była już gotową —
W któréj świdrem na wylot wykręciwszy dziury
Wyladziłem łożnicę wspaniałéj struktury,
Zdobiąc ją w kość słoniową, toż srebrem i złotem,
Wreszcie kraśnych rzemieni obciągając splotem."

Wszakże późniejsze szczęśliwe odkrycia w zwaliskach myceńskiego, trojańskiego i tyrynckiego grodu otrzeźwiły Schliemanna z pierwotnego rozmarzenia złudnego, a pałac i grób władcy Itaki przedstawić się jemu wtedy musiały w daleko wspanialszych rozmiarach.

Do dzisiaj wskazuje ludność na Itace na Górę Orlą (Aetos), że tam na samym wierzchołku stała rezydencya Odysseusza. Starożytne zwaliska zdają się potwierdzać tradycyę ludową. Cyklopowe mury okalają na samym szczycie małą płaszczyznę, nieco niżéj zaś znajdują się dwa murowiska warowne. Schliemann upatrzył pomiędzy murami cyklopowemi na wierzchołku pałac Odyssejowy, a pomiędzy niższemi murami rozpoznawał blisko dwieście domostw starożytnéj struktury.

Według najnowszych badań okazuje się domysł ten zupełnie mylnym z następujących powodów. Sama fizyognomia góry o bardzo stromych skłonach, spadzistszych o 7 stopni aniżeli przykry czub Wezuwiusza, żywy protest podnosi przeciwko przypuszczeniu, że na miejscu tak niedostępném stać miał pałac królewski, że z niego każdego wieczora natrętni zalotnicy powabnéj Penelopy schodzić mieli do miasta. Daléj płaszczyzna na szczycie zbyt szczupła jest na obszerny pałac Odysseusza, jak go Homer opisuje, nie starczy także miejsce na miasto, któreby zbudowaném było na urwistych stokach Orléj Góry. Dochowane mury należą w głównéj części do czasów starożytnych, lecz do młodszego ich peryodu, a służyły niezawodnie dla mieszkańców Itaki i wysp sąsiednich, jako warowne schronisko podczas zaburzeń wojennych. Taka warownia niedostępna, na tém właśnie miejscu założona, nadawała się najlepiéj do obrony całéj wyspy, gdyż zajmowała dominujące stanowisko nad jedynemi przystaniami Itaki, do których zawijać mogły nieprzyjacielskie okręty, i zagradzała wolne przejście na przesmyku, łączącym północną i południową część wyspy.

Natomiast ślady bardzo staréj osady są widocznie na wyżynie w północnéj części wyspy. Schliemann rozpoznał tam wprawdzie tylko naturalną formacyę żywéj skały, lecz badania w najnowszych czasach przedsięwzięte wykazały, że są to w istocie ruiny murów,

składających się z wielkich, zaledwie z grubszego ociosanych głazów. Od północnéj zatoki morskiéj począwszy, aż pod górę do dzisiejszéj wsi Stavros, rozciągała się znaczna osada. Wiek jéj, według wykopalisk dotychczas tam odkrytych, sięga siódmego stulecia przed Chr. aż do ostatnich lat panowania cesarzów rzymskich. Z drugiéj strony wsi Stavros dochowały się również wielkie rumowiska. Wznosi się dzisiaj na nich wśród drzew oliwnych i winnic cerkiew św. Anastazego. Tuż przy nim wskazują jeszcze rozległe ruiny, że są to resztki budowli z odwiecznych czasów, prawdopodobnie zwaliska z rezydencyi Odysseuszowéj.

Za przewodnictwem Homera daleko łatwiéj odszukać na Itace inne ważniejsze miejscowości, szczególnie zaś port Forkysa z grotą Nimf i zagrodę „boskiego pastucha" Eumajosa ze źródłem Aretuzy.

„Pod Forkysa, morskiego starucha, wezwaniem
Jest tam przystań w Itace: dwie groźne opoki
Sterczą u wnijścia, niby wrota téj zatoki,
Odpierające fale, które burza pędzi
W przystań; więc też u cichéj wybrzeża krawędzi
Niecumowanych łodzi stoi rząd spokojny.
Wyżéj, gdzie brzeg, tam rośnie oliwnik w liść strojny;
Jest i ciemna pieczara oliwnika blisko,
Boginek Najadami zwanych w niéj siedlisko.
Wewnątrz dzbany i garnki dwuuszne tam stoją,
Pszczoły w nich robią miody, jak w ulach się roją;
Są i narzędzia tkackie, kamienne warsztaty,
Boginki purpurowe na nich dzieją szaty,
Środkiem bije zdrój żywy; po bokach dwa wschody,
Jeden północny, ludziom służy do wygody;
Od południa—ten święty; stopa śmiertelnika
Przestąpić go nie może, bogom się odmyka."

Z wszelką pewnością odszukać dzisiaj można bezpieczny ów port w zatoce Molo, zwłaszcza że w jéj południowéj części znajduje się téż obszerna pieczara, którą Homer w poetycznem obrazowaniu opisuje i grotą Nimf zowie. Według bystrych dochodzeń Schliemanna, port Forkysa nosi dzisiaj miano portu Deksya. Grota zaś owa wodnych boginek jest to pieczara stalaktytowa. Zwieszające się z jéj stropu długie fantastyczne formacye kamienne, sprawiają wrażenie porozwieszanéj po ścianach garderoby niewieściéj. Gdzie zaś są szaty, wyroby ręki kobiecéj, tam poetyczna wyobraźnia w niewyczerpanéj twórczości swéj widzi i tkackie warsztaty i krosna. W prześlicznym obrazie porównał poeta zwisłe pilastry i twory kamienne z sterczącemi ku górze przęslami tkackiego warsztatu. Nie trudno w razie takim dopatrzéć się w niższych formacyach skalnych dzbanów kamiennych

i urn, w których jakoby obiaty bogińkom składano. Kto zaś z nazbyt realistycznego stanowiska ognistéj fantazyi poety pragnie wędzidła nałożyć, ten może w owych naczyniach uważać rzeczywiste dary pobożnego ludu, które Homer w przedsionku oglądał i stąd na naczelném miejscu je wspomniał. Że owa grota była starodawném miejscem ofiarném, dowodzi tego dzisiaj jeszcze najlepiéj głaz wielki, zręcznie w postaci ołtarza ociosany, znajdujący się zaraz przy wstępie do świętéj pieczary.

A wreszcie i pastwiska i zagrodę wiernego Eumajosa można z wszelkiém prawdopodobieństwem odnaleść na wyspie Itace za wskazówkami Homera. Wszystkie charakterystyczne szczegóły, jakie poeta wspomina, znachodzą się według spostrzeżeń Schliemanna w południowéj części wyspy. Jest tutaj i obszerna górska równina z rozległym widokiem, tu także tryska cieniste obfite źródło Aretuzy, Perapegadi dzisiaj zwane:

„Naprzód jednak Eumeja masz widziéć pastucha;
On trzody świń tych pasie, człek dobrego ducha,
Przywiązany, o tobie zawsze rad wspomina,
Kocha Penelopeję i twojego syna.
Znajdziesz go, jak tam pasie trzodę świń niemałą
U źródła Aretuzy, pod Koraksu skałą,
Gdzie jest pożywna żołądź i czarne są wody,
Od których porastają w słoninkę te trzody."

Tuż przy źródle sterczy wysoka Skała Krucza, u Homera Koraks zwana, nad groźną przepaścią:

„. . . . jeźli król twój nie ma już powrócić,"

mówi Odysseusz do poczciwego świniopasa,

„Każesz mię swym pastuchom z szczytu skały zrzucić,
Na postrach dla włóczęgów za język ich łżywy."

Otóż i w pobieżnych zarysach topografia homerowéj Itaki, któréj tło główne dzisiaj jeszcze, po upływie trzydziestu wieków, wyraźnie przebija.

Niektórzy sceptycy zarzucali Homerowi, że nie podał dokładniejszego opisu miasta i pałacu głównego bohatéra „Odyssei", kiedy mniéj ważny port Forkysa z grotą Nimf lub pastwiska Eumajosa z źródłem Aretuzy opisał z tak szczególnemi znamionami, jakbyśmy je na własne oczy oglądali. Zarzut podobny, zwłaszcza w dzisiejszych czasach uczyniony, poecie nie uwłacza, lecz chlubę mu raczéj większą przynosi. Homer zna Itakę doskonale, z autopsyi, lecz nie podaje nam charakterystycznych znamion rezydencyi Odysseusza, gdyż ona ich nie

miała. Pocóż miał stolicę na Itace osobno opisywać, gdy wszystkie miasta na Wschodzie, naonczas również jak dzisiaj, są do siebie bardzo podobne, gdy pałace książęce, chociaż daleką przestrzenią rozdzielone, różnią się od siebie jedynie w drobnych, wcale nieznacznych szczegółach?

Prawdy téj dowiodły dzisiaj niezbicie wykopaliska Schliemanna na greckiéj i trojańskiéj ziemi.

Znaczenie wykopalisk Schliemanna dla nauki starożytności.

Kiedy przywieziono do Monachium znane skulptury z wyspy Eginy, uczeni z niedowierzaniem oglądali dzieła, wyrobione w osobliwym, niebywałym stylu artystycznym, i uznać w nich nie chcieli ani jednego rysu charakteru greckiego. Wszakże późniejsze odkrycia rzucały jeden pomost po drugim, rozjaśniały coraz więcéj kwestyę zagadkową, a wysepka pierwotnie osamotniona łączy się już obecnie na rozlicznych miejscach ze stałym lądem. Taż sama scena powtarza się w Atenach, dokąd przywieziono skarby wydobyte z myceńskich grobów pieczarowych. Na widok egzotycznych, obcym duchem tchnących wykopalisk, poważni nawet uczeni podejrzewać poczęli, że są to resztki z bogatych łupów, zdobytych na Persach przez zwycięskich Greków, inni domyślali się, że są to przedmioty pochodzące z czasów europejskich gminoruchów, a więc z V wieku po Chr., inni znowu spisywali długie karty etnograficzne przeróżnych i sławnych i zaledwie z nazwiska znanych narodów starożytnych, które jako importowany towar zwieść miały na ziemię grecką bogate skarby myceńskie.

Zawiła kwestya zbyt świéżego jest pochodzenia, aby ją dzisiaj już można stanowczo rozstrzygnąć. Obecnie jeszcze rozmaite hypotezy ściérają się o lepszą.

Schliemann sam był tego zdania, że w grobach myceńskich odkrył nieznaną dotychczas w rzeczywistości kulturę homerowych Achajów. Że w owych grobach nie znaleziono ż e l a z n y c h narzędzi i broni razem z pomnikami myceńskiego stylu, a ludzie owéj époki mimo rozwiniętéj sztuki w obrabianiu miękkich kruszców drogich narzędzi i broni prawie wyłącznie z bronzu, rzadko tylko z kamienia wyrabianych używali, słusznem się być zdaje, ponieważ poeta epiczny, mimo że zna dobrze żelazo i obrabianie jego, znakomite postaci bohatérów swych w czasy dawno minione przenosi. Natomiast wiele innych z wnętrza ziemi wydobytych szczegółów zgadza się wybornie z charakterystyką homerową. Nieprzebraną myceńskiego grodu ob-

fitość w złoto, sławioną w epopei, dobitnie wykopaliska stwierdzają. Puhar Nestora znalazł swój prototyp w grobach myceńskich. Książęcy pałac tyrynecki zgadza się w zadziwiający sposób z rezydencyami władyków homerowych. I wielkie sale pałacowe i ogniska i ołtarze ofiarne, przysionki „przewiewne" i gładkie dziedzińce, nawet rozkład izb, przeznaczonych dla mężczyzn i niewiast, w tym samym następują szeregu, według tego samego planu odkopano w pałacu tyrynckim, jak je poeta opisuje. Przedewszystkiém zaś w Mycenach, gdzie najbogatszy władzca Achajów panował, dokopał się Schliemann królewskich skarbów, do minionéj epoki należących. Wykopaliska zgodne są najzupełniéj z tradycyą. Według historyi, zgasła rodzina królewska w Mycenach już w przedhomerowych czasach. Gród królewski opustoszał już przed powstaniem epopei. Stąd wniosek wcale słuszny, że Schliemann w istocie starożytny zamek Atrydów odkopał i że legendy homerowe istotnie przypominały czasy owego panowania, w pamięci ludzkiéj jeszcze niewygasłe.

Daléj należy z Schliemannem wnioskować, że kulturę myceńską, stanowiącą typ znany po wybrzeżach i na wyspach wschodniéj części morza Śródziemnego, odnieść trzeba do czasów wojny trojańskiéj, że kulturę tę reprezentują homerowi Achaje. Państwa ich rozpadły się w czasach historystycznych. Na miejsce Achajów wstąpiły inne greckie szczepy. Wtargnięcie szczepu doryckiego z gór północnéj Grecyi do Peloponezu, tak zwaną wędrówkę dorycką, tak rozumiéć należy, że nawpół dzikie, nieokrzesane szczepy górskie zdobyły warowne zamki książęce, przemogły zbyt wykwintnych, rozwiniętą kulturą zniewieściałych Achajów. Taką miarą zrozumiemy także, jeżeli w czasach późniejszych, którym nawskroś grecki charakter przyznać trzeba, odzież i sprzęty wszelkie przybierają formę bardzo prostą, zwyczajną, zacofaną, jeżeli zdolność artystyczna i technika szczególnie w obrabianiu drogich kruszców z początkiem pierwszego tysiącolecia przed Chr. daleko w tyle pozostają za starszą epoką myceńską.

Przypuściwszy zaś, że ludzie owéj epoki i kultury, którą Schliemann odkrył, byli na greckiéj ziemi Grecy, Achajowie, to jednakże przyznać trzeba, że w s c h o d n i e wpływy na ich książęce rezydencye musiały być tak znaczne, iż się zrazu wydaje, jakoby zdali się dobrowolnie na łaskę wszechwładnego gustu wschodniego, jakoby świadomość plemiennéj odrębności jeszcze się nie była u nich ocknęła. Wyobrażenie fenickiéj Astarty zdobi suknię księżniczki myceńskiéj. Złoty kruszec, który w rozrzutnéj obfitości znamionuje właśnie kosztowną szatę osoby z książęcego rodu, żadną miarą z wnętrza greckiéj ziemi pochodzić nie mógł, tylko najprawdopodobniéj z Azyi Mniejszéj.

Barwne szkło, porcelana, piękne ozdoby z bursztynu, odkryte w grobach myceńskich, są to egipskie i fenickie wynalazki lub też importowane z obcych stron towary. Na jednym z kosztownych brzeszczotów myceńskich odkrył grecki uczony Atanazy Kumanudis prześliczną inkrustowaną robotę, przedstawiającą koty, które nad brzegiem rzeki pomiędzy łodygami papyrusowemi czają się na ptastwo wodne. Scenę taką podpatrzył artysta i żywcem wziął z nad brzegów Nilu. Bezustannie się powtarzające motywa, wyobrażające lwy, drzewa palmowe, obosieczne topory, karyjskiemu Zewsowi właściwe, przypominają nie mniéj wyraźnie egipski i azyatycki styl artystyczny.

Słusznie téż, aby wytłómaczyć zależność greckiéj kultury od wpływów wschodnich, wskazuje Schliemann opowieści mityczne, według których najstarsi królowie greccy, jak Kadmos, Danaos, Pelops z Fenicyi, Egiptu i Frygii przywędrować mieli do Grecyi.

Wschodu i Zachodu dzielić więc odtąd nie można, a chlubie greckiego geniuszu w niczém to nie uwłacza, jeżeli uznamy w najstarszych czasach zagraniczne wpływy. Ziemie greckie nie tworzą przecież zasklepionych, bezmyślnych osad ludów wschodnich, lecz przyjmują do siebie twory starszéj i wyższéj cywilizacyi. Przez niezliczone wyspy Archipelagu, łączące dwa różne światy, wiążą się ścisłe stosunki z kulturą stron wschodnich, a greckie wybrzeże zajmuje przednie miejsce w nowym rozwoju.

Początek peryodu kultury myceńskiéj, reprezentowanéj przez homerowych Achajów, przypadałby zatém według téj hypotezy mniéj więcéj na rok 1500, koniec zaś na rok 1000 przed Chr., kiedy szczep dorycki podbija półwysep peloponeski pod swe panowanie i niszczy niemal do szczętu przepyszne siedziby dawniejszych władzców możnych.

Właściwości struktury i znamiona charakterystyczne przemysłu i sztuki myceńskiéj nie ograniczają się wszakże jedynie na Myceny, Tyrynt lub Orchomenos. Dokopano się grobów pieczarowych lub narzędzi i naczyń myceńskiego stylu jeszcze w Attyce, w Tessalii, a więc głównie na wschodniém wybrzeżu ziem greckich, daléj po wielu wyspach Archipelagu, w młodszych pokładach trojańskiego grodu, na całém wybrzeżu Azyi Mniejszéj, a nawet i po za obrębem Egejskiego morza, jak na wyspie Cyprze, przy ujściach Nilu i na wyspie Sycylii. Ogromną przestrzeń taką zajmowały więc ludy potężne, morzowładne, prowadząc handel morski bardzo ożywiony, rozwijając tak wysoki stopień cywilizacyi, jakiego w czasach historycznych owe strony w równéj mierze i na równéj przestrzeni topograficznéj po dziś dzień nie dosięgły. Na tak wielkim obszarze tworzą homerowi Achaje drobny

tylko odłam, jeden szczep, który na greckim gruncie rozwijał kulturę mycceńską. Jako centralne siedlisko owéj wielkiéj potęgi morskiéj, z wszelkiém prawdopodobieństwem przypuścić należy wyspę Kretę, a sławny jéj król Minos, na wpół mytyczna, na wpół historyczna postać, uosabia kulminacyjny punkt w rozwinięciu się kultury mycceńskiéj na morzu Egejskiém i jego wybrzeżach.

A na takiém tle przybiéra i wojna trojańska kształty wyraziste, dotykalne. Główną podstawę pomyślnego rozwoju kultury mycceńskiéj w tak wielkim obrębie stanowią swobodne, bezpieczne stosunki na całym Archipelagu. Rozbójnicy morscy, korsarze, byli najgroźniejszymi wrogami wielkiego państwa morskiego, a wytrzebienie ich doszczętu stało się koniecznością polityczną. Uwiedzenie uroczéj Heleny przez gładkiego Parysa z europejskiego wybrzeża na zamek trojański oznacza w pięknéj, śmiałéj przenośni, nie co innego, jeno zuchwały czyn morskiego rozbójnika. Trojańskie zaś miasto, już przez nader korzystne położenie swe nad dwoma morzami, zajmowało naczelne miejsce na całém wybrzeżu Azyi Mniejszéj, a potęgą swą zagrażało egzystencyi i rozwojowi rywalizującego państwa morskiego pod berłem Minosa. Potrzeba było wtedy skupić około siebie wszystkie siły sprzymierzeńców, aby ukarać i powalić o ziemię zapalczywego wroga nowéj cywilizacyi. Owo stanowcze zwycięstwo, owo zburzenie grodu trojańskiego po uporczywéj walce wydawało się wiekom następnym jako najsławniejszy czyn homerowych Achajów, w barwną szatę greckiéj poezyi odziany.

Takim sposobem, dzięki wykopaliskom Schliemanna, na ziemi europejskiéj i azyatyckiéj wszczęła się na polu naukowém nowa kwestya oryentalna, która nabiéra niezwykle ważnego znaczenia dla najstarszéj historyi greckiéj. Niespożytą badacza niemieckiego zasługę stanowi bowiem, że w szczęśliwych odkryciach swych stawił do rozwiązania wprawdzie trudne zrazu problematy, lecz, skoro je umiejętnie rozwikłać zdołamy, w rzeczy saméj na niecomylne natrafiamy tory, jakiemi grecki duch w przedhomerowych czasach postępował, a może dojdziemy i pewniejszych śladów w owych wiekach, kiedy to po raz pierwszy greckie szczepy na ziemię grecką wstąpiły. Z długiego szeregu wieków, dzielącego nas od zamierzchłéj przeszłości, nie wolno nam przesądzać, jakoby nie znaczyły one wiele dla naszego życia duchowego.

Sporną dotychczas kwestyą, czy rdzeń starodawnych wielkich poematów epicznych stanowią sławne wypadki historyczne, stanowczo rozstrzygnął Schliemann na ziemi helleńskiéj. A chociaż sam początkowo nie pragnął czego innego odszukać jeno fundamentów pryamo-

wéj warowni, nad którą już dzieckiem się rozczulał, widząc w ilustrowanéj książeczce płonące jéj zgliszcza, to z czasem pod jego kilofem wychyliła się z ponurych głębi podziemnych wielka i długa epoka starodawnych dziejów ludzkości. A jak Ryszard Lepsius z napisów hieroglifowych odtworzył dzieje starożytnego państwa egipskiego, tak Schliemann odkrył na nowo wiele wieków historyi rodu ludzkiego na azyatyckiém i europejskiém wybrzeżu morza Śródziemnego. Troja, Tyrynt, Myceny, Orchomenos po długowiecznym śnie na nowo, w pełnéj rzeczywistości światło dzienne ujrzały, a pałace książęce, które Pryam i Atrydzi zamieszkiwali, dzisiaj tak jasno i dostępnie przed nami leżą jak pompejańskie domy na ziemi włoskiéj.

Dla wielkich tłumów publiczności zdawał się być Schliemann czarnoksiężnikiem, który chodził po świecie z czarodziejską różdżką i umiał poodkrywać miejsca, gdzie w ciemnych głębiach ziemi zaklęte skarby złote były ukryte. Świat uczony zawdzięcza jemu jeszcze daleko większą zasługę, a przewyższa ona bardzo materyalną wartość poszczególnych odkryć, gdyż zachodzi w obręb mało znany, w sferę poznania historyi ogólnéj, najstarszych dziejów rodu ludzkiego.

Przyjrzyjmy się tylko wykopaliskom Schliemanna w grodzie trojańskim.

Nie potrzeba być entuzyastycznym wielbicielem Homera, ani nawet iść za przykładem samego Schliemanna i razem z nim w tym albo w owym pokładzie rumowisk dopatrywać ruin świętego Ilionu, a mimo téj wstrzemięźliwości zachwycić się można niezwykłą wartością wykopalisk jego, w których rzeczywiście odkrył, z trudem niezwyczajnym na jaw wydobył to, czego łono ziemi przez wieki całe zawistnie przed ludzkim wzrokiem, przed pamięcią dziejową, a nawet przed jakimkolwiek cieniem domysłu późniejszych pokoleń chroniło. Są to najstarsze ślady pobytu rodu ludzkiego w przedhistorycznych czasach, stanowiące niejako słupy graniczne, chronologiczne, na wieki długie podzielone, w kilku głębokich pokładach na jedném miejscu wbite.

Dojrzysz tam łacno miary rozwoju ducha ludzkiego.

Zdumiewające, a obfite w naukę uczynisz w odkopaném wnętrzu pagóra Hissarliku spostrzeżenie, jak skromnemi środkami człowiek tworzył sobie z lepkiéj gliny wszystko, czego potrzebował za życia i po śmierci. Albowiem począwszy od małego garnuszka, przeznaczonego dla dzieci, aż do urny, która popioły zmarłego kryła, wszystkie naczynia i sprzęty najniezbędniejsze są z gliny ulepione. Zwolna, zaspokoiwszy pierwsze potrzeby życia, postępuje człowiek do zbędniej-

szych, zbytkownych rzeczy, do rozweselenia życia, do sztuki. Najpierw tedy pojawiają się nieudolne próby ornamentacyi, zdobienia w prostych liniach i kolach zwyczajnych, pierwsze niezgrabne zakusy plastyki. Najtrudniéj zaś bylo człowiekowi, odtworzyć to, co jest w nim najbardziéj ludzkiém, co najbliżéj niego się znajduje, odtworzyć z pewném podobieństwem ludzkie oblicze. Długie wieki minęły, zanim nauczył się cokolwiek proporcyi i symetryi nadać w przedstawieniu oczu, nosa, ust, uszu, aż przestał w surowych zarysach owe części twarzy tylko napomykać i począł je rzeczywiście odtwarzać. Dopiéro w pokładzie, znajdującym się ponad spaloném miastem, napotykamy pierwszy raz na ludzką postać, na jednym wazonie prawie zupełnie wykończoną. Opatrzono już postać tę w ramiona i w ręce. Przywykłych zaś już do nieforemnych postaci przedhistorycznego peryodu, przejmuje nas błogie uczucie radosnego zadowolenia, patrzących na udatne przedstawienie bożka słońca Heliosa, kiedy z ognistemi rumakami wybiega „z jeziora promiennéj pościeli na śpiżowy strop nieba". A ileż wieków znowu upłynąć musiało od owego czasu aż do greckich inskrypcyi w nowém Ilion i do świetnych szczątków plastyki greckiéj, które w rozkwicie artyzmu ducha helleńskiego wykonane w zdumienie niewysłowione nas wprawiają!

Przez długie lata zasklepiały się szczególnie nauki archeologiczne w ciasnéj kaście uczonych, dostępnéj tylko specyalistom. Szranki, dzielące zawodowych uczonych od wykształconych klas, lubujących się w nauce i w zawiłych badaniach, przełamał Schliemann, ukazując zdumionemu światu, czego niczém niezłamana energia rozmiłowanego w Homerze amatora dokazać może. Niedawno jeszcze słychać było częste utyskiwania, że gorące zajęcie się starożytnościami klasycznemi, jakie ożywiało cywilizowane narody na schyłku przeszłego i na początku bieżącego wieku, w dzisiejszych czasach całkiem zamarło.

Schliemann wielkiego przełomu i w téj dziedzinie dokonał. Cały świat wykształcony po obu brzegach oceanu z niecierpliwością wielką śledził postępy w jego pracach podziemnych, z gorączką wyczekiwał nowych wiadomości o odkopywanych z pod gruzów czasach odwiecznych.

Tysiączne tłumy, jakoby ważna kwestya polityczna, grożąca zerwaniem pokoju europejskiego, zebrały się przed 15 laty na wielki mityng w Londynie, a roztrząsano na nim sprawę wykopalisk Schliemanna, ponieważ pewien uczony angielski poważył się zaprotestować przeciwko ich autentyczności.

Dzisiaj nie można jeszcze rozstrzygnąć doniosłego pytania, kto

podejmie się dokończenia Schliemannowego dzieła, a szczególnie rozkopania wyżyny w najbliższém sąsiedztwie Hissarliku i odgrzebanie tajemnic, kryjących się w łonie wyspy Krety. Może dokona tego zadania małżonka zgasłego badacza, okazująca wiele zawodowéj znajomości i rzeczywistego umiłowania przedmiotu, i obejmie jego spuściznę także w podziemnych badaniach. W innym razie rządy krajów cywilizowanych winny za obowiązek swój poczytać dopięcie tak poważnego celu, jakim jest wyśledzenie prastarych dziejów najsławniejszego narodu wieków starożytnych.

Waleryan.



PIERWIASTKI CYWILIZACYI
NAD DOLNĄ DŹWINĄ.

I.

Dawne kraje inflanckie stanowiły, jak wiadomo, kolonię zachodniego chrześciaństwa nad Bałtykiem. Zależne od władz, które w owym czasie niemal bezustannie pomiędzy sobą o panowanie walczyły — od papiestwa i rzymsko-niemieckiego cesarstwa [1]) — kraje te i przeszłość ich burzliwa nie dają się pojąć zgoła bez uwzględnienia ówczesnego położenia kościoła w Europie zachodniéj. Zależną zaś była kolonia nadbaltycka od macierzystego Zachodu pod wielu względami: w rozwoju stosunków prawnych, w rozwoju literatury i sztuki. Są to latorośle odnośnych zjawisk na Zachodzie, który wraz ze światłem wiary rzymsko-katolickiéj przeniósł tu także pierwiastki swéj cywilizacyi, odrębniéj zupełnie od wschodniéj.

Ryga doszła wczeście do autonomii t. j. do niezależności od władzy świeckiéj biskupów, którym swe istnienie zawdzięcza. Już w roku 1225 posiadało miasto to własną radę, używało własnych praw, a mianowicie: własnego sądownictwa, administracyi, praw dominialnych, a nawet prawa nakładania podatków i in. Za normę przyjęto w Ry-

---

1) Cesarstwo niemieckie na tych oddalonych wybrzeżach wpływy swoje tylko rzadko odczuwać dawało, papiestwo zaś stale tu dążyło do urzeczywistnienia nowéj, a wielkiéj myśli cywilizacyjnéj.

dze prawo gotlandzkie, t. j. prawo, obowiązujące kolonistów zachodnich, zamieszkujących wyspę Gotlandyę. Jaka była właściwie forma owego prawa, dotąd jeszcze nie zostało docieczone. Na saméj wyspie Gotlandyi nader późno przystąpiono do ustalenia za pomocą pisma miejscowego prawa; w Rydze zaś zostało ono pomnożone niezbędnemi dodatkami. Następnie wprowadziła ryska rada miejska prawo hamburskie, a mianowicie statut hamburski z roku 1270.

Natomiast w Rewlu trzymano się prawa, obowiązującego w Lubece. Prawem tém obdarzył miasto Rewel król duński, Eryk IV-ty, w roku 1245, a dalszą jego używalność potwierdził dla Rewla mistrz inflancki, Goswin Herike.

Zbiór ustaw, uzupełniających prawo miejskie, nazwano *Civiloquium*, a po niemiecku *Bursprake*.

W Estonii ustaliło się z biegiem czasu prawo lenne. Tu zamieszkiwali przeważnie lennicy niemieccy, tu też w r. 1305 wprowadzone zostało przez duńskiego króla, Eryka VI, tak zwane „prawo lenne Waldemara i Eryka". Przystosowywano je dobrowolnie i w wielu innych częściach dawnych Inflant pod nazwą najdawniejszego prawa rycerskiego, wszelako z odmianami. Prawo ozylijskie, obowiązujące także i w prowincyi Wîk na lądzie stałym, tudzież tak zwane „średnie prawo rycerskie" (*Das mittlere Ritterrecht*), są to tylko opracowania znanego powszechnie „zwierciadła saskiego".

Najdawniejszy kadastr, jaki się o tych krajach aż do dni naszych dochował, dotyczy Estonii (*Liber census Daniae de an.* 1240).

W pojedyńczych miastach utrzymywano porządek i urządzano stosunki handlowe wedle statutów zawartych w najrozmaitszych księgach miejskich. Wiele z nich przechowało się aż do dni naszych, jako to: księgi hipoteczne i dotyczące zaciągania pożyczek, księgi dotyczące własności dziedzicznéj i t. p. Badacze dziejów inflanckich czerpią z tych zabytków nietylko bardzo poważny materyał do historyi prawodawstwa, ale i do historyi miejscowéj kultury. Wymieniają one bowiem co chwila imiona miejscowości i osób najrozmaitszych, rzucają niemało światła na przeszłość miast tutejszych i ich mieszkańców, na dawne budownictwo, na mennictwo i t. p.

Obok zapisek historycznych i kronik, tworzą liczne ówczesne dokumenty podstawę do poważniejszego i bezstronnego badania dziejów.

O ile dochowały się one aż do dni naszych w zbiorach jużto publicznych, już prywatnych, starannie zostały nagromadzone i ogłoszone (do roku 1443) w cenném dziele *Liv- Est- und Curländisches Urkundenbuch* (tomy I—VI, wydane przez F. G. Bunge'go, tomy VII—IX, przez H. Hildebranda); regesty zaś, czyli spisy wszelkich dokumentów

inflanckich (od roku 1200—1570) z wynotowaniem ich treści skróconéj, sporządził już w roku 1833 pod tytułem *Index*, zasłużony badacz przeszłości krajów inflanckich C. E. Napiersky, założyciel Towarzystwa historycznego *Gesellschaft für Geschichte und Alterthumskunde der Ostseeprovinzen Russlands*, mającego swe stałe siedlisko w Rydze.

II.

Już w czasie swego tworzenia się znalazła kolonia nadbaltycka własnego dziejopisarza. Jest nim słynny Henryk, błędnie nazywany „Łotyszem", gdyż był tylko kaznodzieją i nauczycielem Łotyszów. Wychowaniec wielkiego biskupa, Alberta I-go, założyciela Rygi, został on tu w kraju kapłanem już w roku 1208. Znał biegle główne języki krajowe, łotewski i estoński; napotykamy go częstokroć przy boku władców tutejszych; to téż o wielu ważnych wypadkach opowiadać nam może, jako świadek naoczny.

Oprócz tego w opowiadaniach swoich zawdzięcza nie mało rozgałęzionym stosunkom, jakie posiadał w różnych sferach społeczeństwa nadbaltyckiego, przytacza każdrazowe źródło (np. pewnego księdza Jana), ma wstęp do archiwum biskupiego, z którego zawsze umiejętnie korzysta.

Rozpoczyna od losów błogosławionego Mejnarda, oraz jego następcy Bertolda i doprowadza swe opowiadanie do roku 1227, a więc nie do saméj śmierci Alberta, która zaszła w dniu 17 stycznia 1229 roku. Bezstronność jego podziwiają nawet protestanci, przyznając mu ją jednozgodnie, pomimo, iż był kapłanem katolickim. Dzieje opowiada poprostu, wcale niezłą łaciną, szeregiem lat panowania biskupa Alberta, opierając się na całkiem pewnych danych chronologicznych. Opisuje sumiennie wiek bohatérski dziejów inflanckich, szkoda tylko, że je już na roku 1227 urywa.

Nie zdołał on zapewne zachować dobrego stosunku względem następcy Alberta, Mikołaja I-go, gdyż ze wstąpieniem jego na katedrę inflancką dzielny dziejopisarz, Henryk, znika całkowicie z widowni. Atoli dokument z roku 1259 dowodzi w sposób niewątpliwy, iż żył on jeszcze w roku wspomnianym i w tym czasie sprawował obowiązki proboszcza wiejskiego w Papenhofie, na pograniczu włości łotewskich z estońskiemi. Człek wtedy bardzo już wiekowy, musiał niebawem potém zejść z tego świata. Oryginał jego cennego dzieła znajduje się w ręku polskim; należy bowiem do rzadkości biblioteki ordynackiéj Zamoyskich w Warszawie.

Z innych całkiem kół pochodził autor najdawniejszéj inflanckiéj kroniki rymowanéj, przypisywanéj niegdyś przez wielu uczonych inflanckich mieszczaninowi rewelskiemu, Ditlepowi Alnpeke, co wszelako (wedle najnowszych studyów, dokonanych przez słynnego badacza kronik inflanckich d-ra Jerzego Berkholca) grubym jest błędem, gdyż ów Alnpeke nie był wcale kronikarzem i przyszedł na świat o kilka wieków późniéj, niż autor powszechnie znanéj kroniki rymowanéj. Lubo nazwisko jego i dotąd jeszcze pozostaje tajemnicą, nie ulega już najmniejszéj wątpliwości, że należy go szukać pomiędzy rycerzami krzyżacko-inflanckiego zakonu, nie zaś wpośród mieszczan rewelskich ani też osób duchownych.

Kronikę swoją, zawiérającą wierszy 12,017, doprowadza ten autor do roku 1290, a rozpoczyna ją od czasów najdawniejszych, w których atoli mąci i plącze niesłychanie, gdyż oczywiście nie zna ówczesnéj pracy Henryka, zwanego „Łotyszem". Pisał swą kronikę rymowaną w narzeczu dolno-niemieckiém wkrótce po roku 1290 i dał dowód niepospolitego talentu rymotwórczego, a nawet poetyckiego, gdyż ściśle chronologicznie ułożone opowiadanie dziejów miejscowych umiał ożywić pięknemi rysami, do swych opisów umiał wciągnąć przyrodę i życie ówczesne. Wojennéj odwadze, szlachetności i waleczności prawdziwéj nawet u nieprzyjaciela oddaje on sprawiedliwość. Od roku 1280 bywał naocznym świadkiem większych części opowiadanych przez siebie wydarzeń dziejowych. Przy opisach wcześniejszych wypadków ucieka się zdolny kronikarz nietylko do rozlicznych podań ustnych, ale także i do źródeł piśmiennych, nazwisko jego pozostało dotąd nieznane.

Rocznikarstwo, a z niém i nekrologia (spisy umarłych) i t. d. prowadzone tu bywały od wieków, lubo do dni naszych przechowały się z nich tylko same urywki; są to przeważnie fragmenty roczników dyamenckich i ryskich.

W wieku XIV-ym znalazła opisana tu przez nas kronika rymowana wiernego naśladowcę w osobie inflancko-krzyżackiego kapłana, Bartłomieja Hoenecke, rodem z Osnabruku, który ją prowadził daléj aż do swoich czasów. Atoli jéj oryginał dotąd jeszcze nie został odnaleziony. Przechowały się z niéj tylko wyciągi, pisane prozą przez Reunera [1]), Hoenecke tworzył swe rymy prawdopodobnie w narzeczu dolno-niemieckiém.

---

[1]) Rękopis oryginalny Reunera nosi tytuł: *Lifl. Historien uegen boker.* Odnalazł go w roku 1870 przypadkiem bibliotekarz J. G. Kohl w Bremie, wydanym zaś został w r. 1876 w Getyndze przez dorpackiego profesora Ryszarda Hausmana,

Kronikę łacińską, piękną prozą pisaną, zawdzięczamy również krzyżacko-inflanckiemu kapłanowi, Hermanowi de Wartberge. Doprowadza ją autor aż do swoich czasów, do roku 1378.

Pomijamy źródła mniéj ważne.

O początkach sztuki dramatycznéj w dawnych krajach inflanckich, znachodzimy niektóre cenne uwagi u tak zwanego „Henryka Łotysza", który pod rokiem 1206 zaznacza, jako w owym roku, w czasie wielkiego postu, dawane były w Rydze ciekawe widowiska, których treść zaczerpniętą była u Proroków i jako wszystkie przedstawiane epizody objaśniał ciekawym widzom tłómacz. A gdy przyszło do przedstawienia boju Gedeona z Filistynami, lud rozpierzchnął się na wszystkie strony, sądził bowiem, że w przedstawianéj walce może z łatwością i widz zostać zabity.

O literaturze tubylców nie może być zgoła mowy w owych czasach, lubo nie ulega wątpliwości, że nie brakło takowéj rozmaitym plemionom zaludniającym wybrzeża nadbaltyckie; tylko żaden z tych płodów nie został nam przekazany. Atoli pieśni gminne, gromadzone tu i owdzie z ust ludu, dowodzą dosadnie, iż niektóre z nich sięgają głębokiéj starożytności, któréj mają wszystkie cechy [1]). Najciekawszą jest epopea ludowa szczepu estońskiego „Kalewipoeg", nosząca na sobie częstokroć piętno dalekiéj starożytności. Cały zakrój zbliża ją do „Kalewali" Finnów, któréj bogata treść powszechnie jest znana. Wiadomo zresztą, że najstarsze tradycye brzmią w pieśniach ludowych w okół Baltyku, rozpościérając się stąd ku Karpatom, Dnieprowi i Dunajowi, i że Północ, kolébka dzisiejszych ludów Europy, posiada dotąd jéj archiwa poetyczne i muzykalne.

III.

O artyzmie tubylców nie może być mowy. Odgrzebywane w miejscowych wykopaliskach sprzęty ówczesne i broń nie są ich wy-

---

tudzież p. K. Höhlbauma. Renner był czynnym notaryuszem w Bremie i Spirze, gdzie się znajdowała izba skarbowa ówczesnego cesarstwa niemieckiego; służył od r. 1556—1560 u wójta krzyżacko-inflanckiego estońskiéj prowincyi Jerwe, następnie był pisarzem czyli sekretarzem u komtura parnawskiego i umarł zaledwie w r. 1584. Układając kronikę, zdołał zużytkować swą znajomość kraju i zawikłanych stosunków ówczesnych. Powyciągał on nie mało ze starszéj kroniki rymowanéj, oraz z nowszéj Hoenekego, ale pisał prozą.

[1]) O tych cechach rozpowiadaliśmy na innem miejscu. Obacz „Listy z nad Baltyku", Kraków, 1885, str. 24—29.

robem, jak to obecnie już najmniejszéj nie ulega wątpliwości. Nawet na najprostszych narzędziach ówczesnych łatwo dziś udowodnić obce ich pochodzenie; o czém przekonywa choćby tylko baczniejsze zwrócenie uwagi na rodzaj kamienia, z którego są wyrobione.

Wały ziemne i nędzne lepianki z gliny, słomy i drzewa — oto wszystko, co stworzyć umieli miejscowi mieszkańcy. To też każda, chociażby najzwyczajniejsza budowa kamienna, wydawała się naszym tuziemcom sztuką nie lada.

Sztuka właściwa wkracza tu dopiéro w XIII-ém stuleciu. Dokument z roku 1211 zawiéra dokładne określenie monety wybijanéj pod rządem biskupa Alberta I. W roku 1253 wykonane zostały w Rydze bogate korony dla króla litewskiego Mendoga i jego małżonki Marty; z roku 1360 istnieje ustawa złotników ryskich, z któréj wnosić należy, iż ta gałąź przemysłu artystycznego już w owym czasie bardzo tu była rozwinięta.

Lecz rozpatrzmy się najprzód w najdawniejszych szczątkach tu pozostałych z zakresu sztuki budowniczéj.

Przedewszystkiém wypadnie zwrócić uwagę na kościół w roku 1185 w Ykskul wzniesiony, którego fundamenta dochowały się do dni naszych i tworzą podłużny czworobok. Kamieniarze i murarze, co tę budowę wznosili, pochodzili z Gotlandyi.

Wielkie znaczenie w historyi budownictwa inflanckiego miało założenie Rygi w roku 1202, a także Dyamentu, którego gmachy w r. 1208 całkowicie ukończone zostały pod dzielném kierownictwem mnichów Cystersów. Rygę opasano niebawem silnemi murami, za któremi wzniesiono kościoły, klasztory, odpowiednie mieszkania dla biskupa i kapituły, tudzież zamek kawalerów mieczowych zwany *Jürgenshof*. Przypuścić należy, iż początkowo w granicach opasanych wałami miejskiemi budowano z drzewa tymczasowe kościoły i budowle, zastąpione późniéj murowanemi.

Szczątki z czasów dawniejszych — jako to: kościoła św. Jerzego, św. Katarzyny i innych — zostały ostatniemi czasy odkryte i przekonywają nas, iż w owym czasie panował tu styl romański, w którym to stylu i tum ryski, ów najdawniejszy pomnik architektury nadbałtyckiéj, pierwotnie był wzniesiony, jak tego dowodzą niewątpliwie: zakończenie presbiteryum o trzech absydach z zasklepieniem w ćwierćkulę i kształtnych pilastrach połową swéj grubości w ścianę wpuszczonych, olbrzymi krużganek, ciągnący się w czworobok i oświetlony otwartemi arkadami od strony wewnętrznego wirydarza, a zdobny w rzeźby cechujące wyraźnie epokę romańską. Był to atoli styl romański przejściowy, czyli tak zwany styl romańsko-gotycki, a ów styl

przejściowy zastąpił tu w kolejach czasu ostrołuk, t. j. gotyk właściwy. To też kraje tutejsze przeżyły wszystkie okresy stylu gotyckiego, a mianowicie wczesną, średnią i późniejszą jego epokę.

Miał tu gotyk do zwalczenia niezwykłe trudności techniczne. On, którego głównym materyałem jest przedewszystkiém piaskowiec krzemionkowy, zastawszy nad Baltykiem sam tylko granit do jego stylu niewiele przydatny, musiał się ograniczać przeważnie na materyale ceglanym i wyrzec się silniejszych profilów, delikatniejszych światłocieni, oraz rzeźbionych zdobin wewnętrznych. Pomimo tak dolegliwego braku, tworzono tu jednak ze skromnych cegiełek liczne ornamentacye zewnętrzne, które u głównéj facyaty kościoła św. Jana w Dorpacie i dotąd znawców w zdumienie wprawiają. Tu i owdzie używano do tych ornamentacyi także sprowadzanego zdala piaskowca.

W Rewlu, dokąd piaskowiec krzemionkowy i kamień wapienny łatwiéj można było dostarczać, zewnętrzne zdobienie dawnych kościołów nierównie jest bogatsze. W przebudowanym tu na początku bieżącego stulecia kościele św. Olawa [1]) widzimy i dotąd na zewnętrznych przyporach w ścianach wschodniéj części gmachu, mnóstwo misternie rzeźbionych baldachów gotyckich z wieku XIII-go, a pod nimi wy stające u ściany niemniéj pięknie z kamienia rzeźbione konsole, czyli podstawki, z czego oczywiście wnosić należy, że niegdyś każdą z tych licznych podstawek zdobić musiał posążek jakiegoś świętego lub świętéj, albo też grupy rozmaitych postaci z historyi biblijnéj, jak je widzimy na wspaniałym ratuszu w Lowanium (Louvain).

Co do Rygi najbardziéj się tu nadbaltyckie budownictwo wysiliło na wzniesienie tumu czyli katedry, rozpoczętéj już w roku 1215, a któréj plan wykazuje niewątpliwie podobieństwo wielkie do katedralnych kościołów w Segebergu, Ratzeburgu i Brunświku.

W tych katedrach, tak jak i w tumie ryskim, dodano nawy poboczne w czasie wszechwładnego panowania ostrołuku. We wspomnianym już wyżéj krużganku tumu ryskiego, pod grubą warstwą narzutki dochowały się szczęśliwie aż do naszych czasów konsole romańskie z pierwszéj połowy XIII stulecia, podpierające łuki sklepienia.

Wspaniały pomnik dawnego ostrołuku (aczkolwiek w wieku XV w wielu częściach przebudowany, a w wieku XVIII-ym nader niekorzystnie przekształcony) przedstawia kościół farny św. Piotra w Ry-

---

[1]) Kościół ten pierwotnie był wzniesiony w roku 1267 i posiadał wieżę wyższą od strasburskiéj. Wysokość jéj dzisiejsza sięga atoli zaledwie 138,3 metrów.

dze. Starano się tu oczywiście zatrzéć pierwotne wrażenie, które ta niegdyś wspaniała świątynia za czasów katolickich wywierać musiała. Atoli w doskonałych proporcyach wnętrza, w wysmukłych filarach — których podżebrza o pięknych profilach, pionowo rozgałęziają u góry i przechodzą w żebra lekkich ostrołukowych sklepień—pozostało i do dni naszych niczém nie dające się zatrzéć arcydzieło dawnego mistrza architektury gotyckiéj.

Budowę głównéj części kościoła św. Jana w Rydze odnieść należy do pierwszéj połowy XIII stulecia. Wprawdzie wieża oraz sklepienia nawy środkowéj w wieku XV znacznéj zmianie uledz musiały, atoli wszystkie inne części starożytnego gmachu i całość jego, noszą na sobie i dotąd jeszcze jawną cechę epoki przejściowéj od romanizmu do gotyku.

Słynna katedra założona w Dorpacie w wieku XIII-ym, lubo obecnie stanowi tylko ruinę, zachwyca dotąd swemi przecudownemi kształty. Układ jéj, przypominający wzory francuskie i system wedle jakiego ją budowano, wskazują niewątpliwie, iż ta wspaniała świątynia później niż w roku 1224 wzniesioną została, pomimo iż badacze miejscowi najczęściéj ten rok jako rok jéj założenia wskazywać zwykli. Wszystkie tu wspomniane kościoły były w swoim czasie prawdziwemi siedliskami sztuki. Znajdowała téż ona schronienie w licznych klasztorach tutejszych, z których po większéj części nie zostało już kamienia na kamieniu.

Nie potrzebujemy powoływać się na dokumenty lub wyciągać wniosków o wewnętrznym przepychu dawnych kościołów i klasztorów nadbaltyckich z zapisów i legatów na nich czynionych i t. p. Przetrwało bowiem w Rewlu aż do dni naszych, niemniéj jak pięć wspaniałych ołtarzy szafiastych, z dwoma pobocznemi skrzydłami, do otwiérania i zamykania części środkowéj. Z liczby tych cennych tryptyków cztery sięgają bezwarunkowo XV stulecia. Każdy z nich stanowi prawdziwe dzieło sztuki ze względu na umieszczone na nim malowidła i zdobiące go rzeźby przepyszne, a najczęściéj łączą się tam w jedną piękną całość malarstwo i rzeźba.

Nawet my, Inflantczycy (a tém mniéj mieszkańcy innych prowincyi i dzielnic), nie zawsześmy o istnieniu tych cennych pomników sztuki katolickiéj coś zasłyszeli, a o mistrzach, którzy je wykonywali, częstokroć nawet i ze słychu nic nie wiemy.

A jednak istnieją pomiędzy temi zabytkami dzieła sztuki, które, jeśliby się znajdowały we Francyi, w Belgii lub Niemczech, ściągałyby z pewnością znawców i zbliska i zdaleka, że tylko wspomnę o wielkim ołtarzu w pobocznéj kaplicy kościoła św. Mikołaja w Rewlu, po-

dziwianym słusznie przez nielicznych artystów, jakich w porze kąpieli morskich los tutaj od czasu do czasu zanosi.

Ołtarz ten szafiasty z dwoma skrzydłami mieści w części środkowéj wspaniałe dzieło średniowiecznéj sztuki rzeźbiarskiéj, złożone z 32 większych i 36 mniejszych postaci świętych ze Starego i Nowego Zakonu. To wnętrze tryptyka przypomina poniekąd wielki ołtarz w kościele Panny Maryi w Krakowie; na taflach zaś jego skrzydel znajduje się 8 malowideł, z których każde stanowi cenne dzieło sztuki z pierwszéj ćwierci XV wieku.

Przed mniejszym ołtarzem w téjże kaplicy kościoła św. Mikołaja, oraz ołtarzem mylnie zwanym św. Brygidy, przechowywanym starannie w domu „Czarnogłowców rewelskich” *(Compagnie der Revaler-Schwarzen-Häupter)*, zatrzymują się z prawdziwym zachwytem nawet i tacy malarze-artyści, którzy zwykli gardzić częstokroć istotnie zbyt konwencyonalnemi formami malarstwa i rzeźbiarstwa owéj epoki gotycyzmu.

I ten ołtarz jest szafiasty. Sklada go aż 11 malowideł, wykonanych na drzewie, z których jedno piękniejsze od drugiego, kilka z nich są malowane na tle złotém. Na zewnętrznéj stronie skrzydeł tego cennego tryptyku przedstawioném jest Zwiastowanie Najświętszéj Panny. Zewnętrzną część skrzydła lewego zajmuje archanioł Gabryel z tradycyjną lilią w dłoni, takąż część prawego — urocza postać Najśw. Panny w postawie klęczącéj.

Po otworzeniu tryptyku, przedstawiają się oczom widza cztery malowidła. Na wewnętrznéj stronie lewego skrzydła uderza powagą postać kobiéca w zielonéj szacie z piersią po części obnażoną. U stóp jéj klęczy 15-tu młodzieńców, zatopionych w gorącéj modlitwie, a wszyscy twarzami są obróceni ku środkowéj części tryptyku, z dwóch innych malowideł złożonéj. Jedno z nich dziwnie idealnie przedstawia mękę Chrystusową, drugie — Trójcę Przenajświętszą. Na wewnętrznéj stronie prawego skrzydła tryptyku— poważna postać męska w szacie z sierści wielbłądziéj, u bioder przepasana pasem skórzanym, trzyma w prawéj ręce księgę, na któréj spoczywa baranek. U stóp téj męskiéj postaci znowu 15 modlących się niemniéj gorliwie młodzieńców, obróconych również ku środkowéj części ołtarza. Mężem tym jest oczywiście św. Jan Chrzciciel, księga jego—to ewangelia, a baranek—to „Baranek Boży”. Kobiéta zaś w zielonéj szacie, o piersi po części obnażonéj, przedstawia symbolicznie Kościół święty, karmiący wiernych mlékiem słowa Bożego. Najbardziéj zachwyca znawców wyraz pobożności świécący ze wszystkich 30 młodzieńczych twarzy, z których wszakże każda inny ma charakter. Są to bezwątpienia po-

dobizny fundatorów wspaniałego tryptyku. Część jego środkowa daje się raz jeszcze otworzyć. Otwarta powtórnie przedstawia dalszych pięć malowideł.

W środku tronuje Bogarodzica z dzieciątkiem Jezus. Z lewéj strony dwa malowidła: 1) św. Franciszek, 2) św. Jerzy. Z prawéj dwa inne: 1) św. Wiktor, 2) św. Brygida.

Tryptyk ten nosił niegdyś nazwę ołtarza N. Panny Maryi *(Marienaltar)* i do roku 1525 zdobił kościół OO. Dominikanów w Rewlu. Najnowsze źródła wykazują, że fundowało go trzydziestu młodych mieszczan rewelskich z możnego stowarzyszenia „Czarnogłowców rewelskich", w którego skarbcu ten utwór artystyczny dotąd się przechowuje.

Liczne charakterystyczne postaci świętych w kościele po-karmelickim w okręgu Karmel na wyspie Ozylii (Oesel), wykonane w roku 1407-ym, a do dni naszych najdoskonaléj przechowane—dowodzą niemniéj dosadnie, jakie skarby średniowiecznéj sztuki rzeźbiarskiéj przepełniały niegdyś wszystkie świątynie nadbaltyckie.

Na wspaniałym tryptyku z dawnego klasztoru Dominikanów w Rewlu, stanowiącym obecnie własność muzeum rewelskiego, zniszczył przed laty piorun wszystkie malowidła, nie uszkodziwszy wszelako na tym cennym zabytku przecudownych rzeźb jego.

Niemniéj miłe wrażenie sprawiają liczne postaci wyrzeźbione w środkowéj części wielkiego tryptyku, przechowanego dotąd w kościele św. Ducha w Rewlu, a pochodzącego z roku 1483 wyraźnie na nim oznaczonego; malowidła zaś tego ołtarza są z roku 1484, gdyż przed dziesięcioma laty odnaleziono w rewelskiém archiwum miejskiém notatę téj treści: *de tafel gemaket tom hylgen güste von Berent Notken 1484 mandages vor Himmelsfahrt.* Berent Notken, jak wiadomo, był jednym z mistrzów słynnéj szkoły van Dycka i on to wykonał do tego szafiastego ołtarza 6 malowideł na drzewie *(tafel)* z życia Chrystusa, św. Anny, św. Elżbiety, św. Olawa i św. Wiktora, umieszczonych na pobocznych skrzydłach wspaniałego tryptyku, którego część środkowa z kunsztownéj rzeźby złożona przedstawia zesłanie Ducha świętego.

Powszechnie jest znanym słynny *Todtentanz* (taniec śmierci), ciekawie oglądany przez wszystkich podróżników w Lubece, w kościele N. P. Maryi. O istnieniu zaś podobnegoż dzieła w Rewlu, w kościele św. Mikołaja, nawet w sąsiednich prowincyach zaledwie rzadko kto cośkolwiek zasłyszał, lubo obecnie nie ulega już wątpliwości, że *Todtentanz* rewelski, niemniéj jest cennym od podziwianego ogólnie w Lubece, a prawdopodobnie téjże saméj, co tamten, sięga epoki.

Przytoczone powyżéj zabytki nadbaltyckie są to dzieła sztuki

w pełném znaczeniu tego wyrazu. Że zaś nie cześć ludzka lub chwalebne usiłowania znawców, lecz sam tylko przypadek uchronił one od fanatyczno-barbarzyńskiego obrazoburstwa, spowodowanego przez smutne nad wszelki wyraz ruchy pseudo-religijne, które niegdyś srożyły się nad Bałtykiem, jako i w dawném cesarstwie niemieckiém [1]) — musimy przypuścić, że i wiele innych dzieł sztuki religijnéj w tym kraju wysoką miało wartość artystyczną.

Nad szczątkami innych zabytków z wieku XIII-go, mianowicie gmachów świeckich (pochodzących przeważnie z wieków późniejszych), niepodobna zastanawiać się w tak krótkim zarysie. Ograniczymy się przeto w następującym rozdziale na dawnych zamkach obronnych, które, jak wiadomo, w dziejach nadbałtyckich posiadały mniéj więcéj doniosłe znaczenie.

IV.

Jakkolwiek sztuka ówczesna była przeważnie religijną, nie ograniczała się jednak wyłącznie na samych tylko kościołach i klasztorach. Przekona nas o tém zastanowienie się nad pytaniem: jak téż wyglądały niegdyś wnętrza licznych zamków tutejszych?

Była pod tym względem zapewne nie mała różnica między zamkami władców inflanckich, a obronnemi siedzibami miejscowego rycerstwa, różnica ta atoli posiadała liczne stopniowania, czego wielu badaczy przeszłości nadbałtyckiéj dotąd jeszcze należycie nie uwzględnia.

Nie należy zapominać, iż wszyskie te zamki i zameczki, które po większéj części bywają dziś oceniane ze szczątków zwalisk po nich pozostałych, — służyły przedewszystkiém ku obronie mieszkańców i że każdy taki zamek ulegał niejednokrotnie zniszczeniu ogniem i mieczém, a nawet zupełnemu zburzeniu. Co się pożarom i napadom wrogów szczęśliwie oprzéć zdołało, to dziś przedstawia po większéj części tylko nagie mury, tylko kształty zewnętrzne pojedyńczych zamków,

---

[1]) O tychto ruchach pseudo-religijnych, w których Bóg był pozorem, interesa ziemskie przyczyną, powiada proroczo Józef Szujski: „Doczeka się i ta reformacya swojego Taine'a, który jéj porachuje wszystkie zrujnowane kościoły, dzieła sztuki i wiedzy ludzkiéj, wszystkie akta barbarzyństwa i orgie rozpusty, które zakrywano dotychczas wygodnym płaszczem postępu" (Józef Szujski. „Odrodzenie i-reformacya", III, 83). Doczekała istotnie niemiecka reformacya swego Taine'a w Janssenie, którego pomnikowe dzieło „Geschichte des deutschen Volks" powszechnie dziś jest znane.

a kształty te nie tyle potrzebowały odpowiadać warunkom estetyki, jak raczéj potrzebom obronnym.

Jeślibyśmy byli zmuszeni wydać sąd o Malborgu, głównéj siedzibie niemiecko-krzyżackiego zakonu — oceniając ten warunek wyłącznie z jego kształtów zewnętrznych, nigdybyśmy przeczuć nie mogli iż wnętrze tego gmachu stanowi dzieło sztuki tak niezwykle wysokiéj wartości, iż najwięksi znawcy [1]) widzą tu „tryumfy", odniesione przez architekturę krzyżacką w dziedzinie sztuki.

I dla czegóż główne zamki tegoż krzyżackiego zakonu w Inflantach, które niegdyś stanowiły najbogatszy z krajów krzyżackich, tak bardzo miałyby się różnić od Malborga?

Sądząc z całego ich ustroju, takie naprzykład zamki inflanckie, jak wendeński i feliński nie wiele musiały ustępować podziwianemu i dotąd powszechnie zamkowi malborskiemu. Z pozostałéj bowiem do dni naszych cząstki zamku wendeńskiego niepodobna powziąć niekorzystnego wyobrażenia o jego wewnętrznéj strukturze, a wykopaliska felińskie, których część znaczną odsłoniły wcale udatne drzeworyty „Kłosów" [2]), przekonywają dosadnie, że potrójny zamek w Felinie już samemi swemi rozmiarami przewyższał o wiele sławiony dziś powszechnie zamek malborski.

Na miejscu dawnego horodyszcza Sakalanów, „Viliendą" zwanego, wzniesiono olbrzymi zamek feliński pomimo trudności, jakie tam przedstawiał zupełny brak ciosowego kamienia, który zdaleka sprowadzać musiano, co wszelako nie przeszkodziło architektom ówczesnym stworzyć w téj budowli ozdoby plastyczne, zdumiéwające swym prawdziwym artyzmem i dzisiaj jeszcze budowniczych nadbaltyckich.

Najbardziéj atoli zachwyca znawców część średnia zamku, zawiérająca aż cztery piętra.

Najniższą kondygnacyą stanowi zamkowa piwnica. Ciężkie, olbrzymich rozmiarów sklepienie, odpowiadające co do podziału osi sklepieniom refektarza (czyli tak zwanego *Remter*), po nad nią się znajdującego, wyrasta nakształt potężnych koszów z kilku ogromnych monolitów. Silne sklepienne żebra o kwadratowym przekroju nadają całości charakter korzeni olbrzymich drzew, których pnie, przechodzące

---

[1]) Obacz Lübke, „Grundriss der Kunstgeschichte", tom II, str. 28.

[2]) Obacz czasopismo warszawski „Kłosy", tom XLI, numera 1054 i 1055 a mianowicie stronice 164—167, str. 180—182 i str. 192.

jako słupy granitowe przez wszystkie piętra, kończą się na najwyższém lekką koroną, pozostałych tu i owdzie palmistych sklepień.

Jeśli w kilkunawowych salach zgromadzeń zakonno-rycerskich *(Remterbau der Ordensschlösser)* rozwiązano po mistrzowsku niełatwe zaiste zadanie połączenia potęgi i mocy z urokiem prawdziwéj lekkości i wdzięku, wiejących z palmistych i siatkowych sklepień, opartych tu i owdzie na wspaniałych monolitach, to dla ożywienia płaszczyzn umiano umiejętnie wyzyskać sztukę malarską i rzeźbiarską. Światła jaskrawsze, których niebo północne odmawia krainom nadbaltyckim, usiłowano zastąpić bogactwem kunsztownych witrażów, sklepienia gotyckie starano się ożywić nietylko przez bogate rozczłonkowanie pojedyńczych podłączy, pasów i żeber, ale i przez uroczą polichromią, a jednostajność płaszczyzn ściennych usuwano umiejętnie, za pomocą dębowych okładzin (boazeryi) i pięknych malowideł. To téż ówczesna sztuka malarska zdobiła oczywiście nietylko kościoły, ale i zamki nadbaltyckie, w których nawet niepoślednią odgrywała ona rolę. Na szczególną baczność zasługuje fakt, że nietylko od epoki odrodzenia, ale jeszcze w czasie najzupełniejszego rozwoju gotycyzmu, rezydencye władców zakonu inflanckiego, posiadały całkowite galerye obrazów, złożone z portretów mistrzów prowincyonalnych, arcybiskupów i biskupów. Nawet w zamku piltyńskim, który stanowił rezydencyę najmniéj potężnego ze wszystkich władców nadbaltyckich, istniała już w wieku XV-ym galerya biskupów kurońskich, jak to dokładnie wykazują archiwa piltyńskie [1]).

Samo wyliczenie głównych nadbaltyckich zamków obronnych, wedle czasu, w jakim wzniesione zostały, przedstawia nam równocześnie obraz postępu w zaborach krain tutejszych przez kolonię zachodnio-chrześciańską i jednym rzutem oka daje nam objąć pojedyńcze fazy tych zaborów.

Pierwszy kamienny zamek obronny wzniósł błogosławiony Mejnard w miejscowości Ykeskola *(Uekskull)* w roku 1185.

Miasto Ryga wcześniéj zostało założone, niż zamek ryski kawalerów mieczowych, która to okoliczność stanowi wyjątek w regule, gdyż miasta i osady inflanckie powstały wszystkie aż do wieku XVI-go u podzamcza siedzib obronnych, które im dawały pożądaną ochronę.

---

1) Obacz w „Bibliotece warszawskiéj“ z r. 1884 (tom 173, str. 169—192 i str. 429—440) studyum nasze p. t.: „Piltyń i archiwum piltyńskie“. Porównaj także tom VII znanego dzieła źródłowego p. t.: *Liv- Est- und Kurländisches Urkundenbuch.*

Zabór kraju wychodził wprost z Rygi; to téż na prawym brzegu Dźwiny i nad rzeką Torejdą (czyli inflancką Aa) wzniesiono niebawem całe szeregi zamków, bądź biskupich, jako to: Kokenhuza, Zelburg, Torejda i t. d., bądź to zakonu rycerskiego, jako to: Zygwald (czyli Segewolde) Aszrada i Kieś (czyli Wenden); ten ostatni wzniósł Winno, pierwszy mistrz inflanckiego zakonu kawalerów mieczowych.

Na miejscu dawnych drewnianych horodyszcz tubylców-pogan wznosili zachodni chrześcianie swoje kamienne domy warowne. Te zachowywały zwykle dawną nazwę pogańską i tylko niekiedy otrzymywały nową. Tak powstały zamki: Felin, Dorpat i Rewel. W Rewlu na górze warownéj, noszącéj obecnie nazwę „Domberg", wznieśli kawalerowie mieczowi swój zamek, nazywany „zamkiem małym" w przeciwstawieniu do całości góry warownéj, uważanéj niegdyś za jedno olbrzymie zamczysko.

Pierwszą siedzibę obronną w Semigalii założono w roku 1232 w pobliżu horodyszcza Mezoten, warownia ta wszakże już w roku 1236 przez pogańskich Semigalów obróconą została w perzynę; następnie w roku 1321 wznieśli tamże inflanccy krzyżacy nowy zamek obronny.

W roku 1240 założono na brzegach Newy zamek obronny „Nu" [1]), w którym osadzono osobnego komtura, zamek ten atoli nie zdołał się utrzymać długo.

Natomiast trwałą obronę zakonu stanowiły założone w dawnéj Kuronii zamki Goldynga (r. 1242), Memel (r. 1252), oraz Mitawa (r. 1328). Z tych zamków jeden tylko Memel w r. 1328 odstąpiony został pruskiéj gałęzi krzyżaków.

W téмże XIII-ém stuleciu wzniesiono w dawnéj Kuronii rycerskie zamki: Ambrten, Kandawę, Doblenę, Durben, Zabeln, Dondangę, Windawę, oraz zamek biskupi Piltyń. Znaczenie wszystkich tych zamków i zameczków upadło dopiero wtedy, gdy w końcu XIII-go wieku potęgę pogańskich Łotyszów raz na zawsze całkowicie złamano. W późniejszych czasach służyły one zarówno, jak kilka innych, późniéj wzniesionych zamków (np. Tukum, Neuenburg) już tylko za tamę przeciw hufcom litewskim, wkraczającym nieraz do Inflant.

Większa część tych zamków obronnych [2]) stanowi dziś już tylko malownicze ruiny, inne, dotąd zamieszkałe (np. Kryżbork w Inflantach polskich, Neuenburg, Dondanga, Windawa, Edwal w Kurlandyi), tylu zmianom w kolei czasów uległy, że trudno o tém powziąć dokładne

---

[1]) Na miejscu tegoż zamczyska założył Piotr I-szy nadnewską stolicę Petersburg.

[2]) Naliczono ich dotąd w dawnych krajach inflanckich aż 159.

wyobrażenie, jak się one właściwie w XIII-ém stuleciu oczom ludzkim przedstawiały?

W północnych częściach krain inflanckich w tymże wieku XIII-ym założone jeszcze zostały zamki: Parnawa, Biały Kamień (czyli *Weissenstein)*, Hapsal, Karkus i Helmet, oraz zameczek Arensburg na wyspie Ozylii, nakoniec na lądzie stałym Oberpalen, Wezenberg, tudzież całe szeregi zamków arcybiskupich, jako to: Kremona, Ronneburg, Torejda, Cruceborch czyli Kryżbork, Marienhauz i t. p.

Najbardziéj na wschód wysuniętym posterunkiem był zamek Wolkimborg na południowym brzegu jeziora Raźna (w późniejszych Inflantach polskich) położony, lecz wkrótce opuszczony, gdyż już w roku 1278 dawną komturyę wolkimborską przeniesiono do starego Dynaburga na brzeg nieopodal płynącéj głównéj arteryi wodnéj kraju—Dźwiny.

W r. 1285 wzniesiono w téjże części Inflant zamek Rzeżycę *(arx Rositensis, Burg Rositen*, a po łotewsku *Rejzekne)* nad bystrą rzeką téjże nazwy, sąsiedni zaś Lucyn *(arx Lucinensis, Burg Ludsen*, po łotewsku *Ludza)* nad jeziorem Łudzą stanął dopiéro o sto kilkadziesiąt lat późniéj.

Silnie obwarowane opactwa miały już w wieku XIII-ym kraje inflanckie w Dyamencie (ustąpionym przez duchowieństwo krzyżakom w r. 1305 i odtąd siedzibę komtura stanowiącym), w Falkenawie, Dorpacie i w Paddis.

Po zniszczeniu w r. 1297 najdawniejszego zamku rycersko-zakonnego w Rydze, mistrz prowincyonalny Eberhard Monheim założył w r. 1330 w témże mieście, ale na innéın miejscu, nad samym brzegiem Dźwiny, nowy zamek i w tymże czasie wzmocnił zamki Mitawę i Doblenę, a późniéj także Terwetę. Za jego następcy, za mistrza Goswina Herike, wzniesiono na wyspie Ozylii zamek rycersko-zakonny Sonneburg, oraz w r. 1342 inflanckie zameczki pograniczne Marienburg i Neuhauzę.

W czasach późniejszych nie wznoszono już nowych zamków obronnych; rozszerzano je tylko i wzmacniano stosownie do potrzeb czasu. W roku 1447 stanął Bowsk na miejscu zburzonego niegdyś zamczyska Mezoten, a w r. 1471 mistrz inflancki, Woltus Herse, zbudował na stromém estońskiém wybrzeżu morskiém zameczek Tolsburg który był powodem do licznych nadużyć wyuzdanego w owym czasie krzyżactwa, zabawiającego się między innemi i korsarstwem.

W r. 1484 zburzyli zagniéwani ryżanie raz jeszcze zamek inflancko-krzyżacki, do murów ich miasta przytykający. Atoli to zburzenie nie było całkowite, gdyż najnowsze poszukiwania miejscowego Towarzy-

stwa starożytności dowiodły jasno, iż wiele dawnych jego części pozostało niemal nietkniętych. Tenże dzisiejszy zamek ryski wykończył ostatecznie w r. 1515 mistrz inflancko-krzyżacki Wolter Plettenberg, a w tym samym mniéj więcéj czasie (w r. 1509) przebudował i odnowił arcybiskup Gaspar Linde zamek maryenhauzki leżący w dzisiejszych Inflantach polskich na pograniczu gubernii pskowskiéj.

Oprócz wspomnianych powyżéj zamków biskupich, arcybiskupich i zakonno-rycerskich, posiadały kraje nadbaltyckie niemało zameczków prywatnych, które zamożniejsze rody rycerskie w rozmaitych częściach kraju dla siebie wznosiły, a których całe szeregi reprodukują wiernie liczne wydawnictwa nad Baltykiem. Najnowszém z tych ostatnich jest olbrzymich rozmiarów księga *Terra Mariana*, ofiarowana przez katolików nadbaltyckich Leonowi XIII-mu na uczczenie jego jubileuszu kapłaństwa. Zmniejszoném wydaniem tego dzieła naszego ma się zająć jedna z większych firm wiedeńskich.

Gustaw Manteuffel.



STOSUNKI ROLNICZE

W ROSSYI.

Głównemi produktami ekonomicznemi Rosyi są płody rolnicze. Zajmują one pierwsze miejsce pomiędzy artykułami wywozu zagranicznego i od rezultatów handlu zagranicznego zbożem, zależy pomyślność klasy ludności najliczniejszéj i najważniejszéj kraju, t. j. ludności rolniczéj. Wystawa powszechna na cześć Kolumba w Chicago 1893 roku spowodowała, że ministerya finansów, dóbr państwa i dróg komunikacyjnych w Petersburgu opracowały sprawozdania bardzo szczegółowe o stanie i położeniu różnych gałęzi pracy narodowéj, pomiędzy któremi sprawozdanie o stanie gospodarstwa wiejskiego i leśnictwa zajmuje pierwsze miejsce, odpowiednio do znaczenia, jakie ma rolnictwo w tym kraju. Poszczególne działy sprawozdania zostały opracowane przez uczonych specyalistów, profesorów wyższych zakładów naukowych rolniczych i przez wyższych urzędników ministeryum dóbr państwa, którym wszystkie źródła urzędowe były dostępne i którzy mogli żądać wszelkich brakujących a niezbędnych wiadomości i wskazówek. Większa część zebranych danych o rolnictwie dotyczy przeważnie 50 gubernii Rosyi europejskiéj, brakuje zatém dużo szczegółów odnoszących się do Królestwa Polskiego i Finlandyi, Kaukazowi i posiadłościom ruskim w Azyi, poświęcono monografie specyalne.

Wiadomości, dotyczące przestrzeni rolniczych, własności ziemskiéj, ludności rolniczéj i poszczególnych zbiorów, odnoszą się do 50 gubernii Rosyi europejskiéj. Dadzą się one streścić, jak następuje:

Przestrzenie rolnicze.

W 50-ciu guberniach Rosyi europejskiéj przestrzenie rolnicze przedstawiają się, jak następuje:

grunta orne zajmują . . .	26.2%	ogólnéj przestrzeni
łąki i wypasy	15.9%	,, ,,
lasy	38.8%	,, ,,
nieużytki	19.1%	,, ,,
	100.	

Poszczególne gubernie różnią się bardzo między sobą pod względem podziału przestrzeni rolniczych. Tak np. grunta orne zajmują w gub. Kurskiéj 75% całéj przestrzeni, w niektórych powiatach nawet 83% i więcéj; kiedy przeciwnie w gub. Wołogodzkiéj grunta orne stanowią tylko 2.3%, a w gub. Archangielskiéj nawet 0.1 powierzchni.

Wogóle, więcéj niż połowę całéj przestrzeni zajmują grunta orne w guberniach mocno zaludnionych: południowo-zachodnich, małorosyjskich i centralnych rolniczych. Od 20 — 40% całéj przestrzeni przypada na grunta orne w guberniach mniéj zaludnionych pasu czarnoziemnego i w bardziéj zaludnionych guberniach pasu pozbawionego czarnoziemia. Północna część Rosyi europ. odznacza się najmniejszym stosunkiem gruntów ornych do całéj przestrzeni.

Lasów znajduje się najwięcéj na saméj północy Rosyi europ. Zajmują one 86% całéj przestrzeni gub. Wołogodzkiéj i 70% gub. Permskiéj, kiedy przeciwnie stanowią tylko 1.9% powierzchni gub. Chersońskiéj i 1.2% gub. Astrachańskiéj. W strefie zachodniéj gub. Mińska posiada jeszcze 38.5% przestrzeni pod lasami, a Wołyńska 32.

Dla zapobieżenia zupełnemu wytępieniu lasów, dla gubernii z małą ich ilością, wydane zostało 4 kwietnia 1888 r. prawo o ochronie lasów, mające zapobiedz zamienianiu przestrzeni leśnych na grunta orne lub wypasy w guberniach z czarnoziemiem i w niektórych guberniach leżących po za pasem téj ziemi.

Własność ziemska.

Za wyłączeniem Finlandyi, Królestwa Polskiego i ziemi wojska Dońskiego, w któréj ostatniéj wszelka posiadłość ziemska należy do wojska kozackiego, przestrzenie rolnicze ze względem na ich właścicieli, dzielą się jak następuje:

Przestrzenie rolnicze należące do włościan lub do gmin włościańskich, stanowią całéj przestrzeni	33.5%
Przestrzenie zostające w zawiadywaniu ministeryum dóbr skarbowych	38.5%
Przestrzenie rolnicze należące do familii cesarskiéj	1.9%

Przestrzenie będące w posiadaniu prywatném	23.8%
Przestrzenie będąc w posiadaniu kościołów, klasztorów, miast i innych instytucyi	2.2%
	100

Największa zatém masa przestrzeni rolniczych jest w posiadaniu skarbu, z pozostałych ilości więcéj niż połowa należy do włościan, a mniéj niż $^1/_4$ część sumy ogólnéj znajduje się w posiadaniu prywatném. Ponieważ obecnie liczą koło 11 milionów osad włościańskich, wypada zatém średnio na jedno gospodarstwo włościańskie 11 dziesięcin ziemi.

Z przestrzeni rolniczych, stanowiących własność prywatną, jeżeli wyłączymy 1,775,325 dzies., będących własnością towarzystw akcyjnych i kompanii, przypada na własność:

szlachecką	79.8%
kupców	10.7%
mieszczan	2.1%
włościan	5.5%
innych stanów	1.9%
	100.

Większa zatém część ziemi pozostała w posiadaniu szlachty, $^1/_{10}$ część przeszła do kupców i $^1/_{20}$ do rąk włościan, którzy, prócz gruntów otrzymanych przy uwolnieniu z poddaństwa, nabyli pewne grunta drogą kupna.

Wypadało średnio na jedną posiadłość:

szlachecką	637.8	dzies.
kupiecką	775.4	„
mieszczańską	32.9	„
włościańską	18.0	„
innych stanów	75.5	„

Największymi właścicielami ziemskimi są kupcy i szlachta, najmniejszymi — mieszczanie i włościanie.

Pod względem przeważającego charakteru własności ziemskiéj, można Rosyę europejską podzielić na 3 okręgi. Pierwszy obejmuje całą część północną i północno-wschodnią; w tych guberniach więcéj niż połowa ziemi należy do skarbu. Drugi okręg stanowią gubernie południowo-wschodnie; w nich więcéj niż połowa ziemi należy do włościan. Nakoniec trzecią grupę stanowią gubernie zachodnie, w których więcéj niż połowa ziemi należy do osób prywatnych. Wyjątek z powyższego stanowią gub. Inflancka, Grodzieńska, Besarabska, Podolska i Kijowska, w któréj przewagę liczebną mają grunta włościańskie, podobnie jak w guberniach południowo-

wschodnich. W gub. Archangielskiéj i Wiackiéj wszystkie prawie grunta należą do skarbu i do włościan, ponieważ przed reformą 1861 roku nie było w tych guberniach włościan należących do osób prywatnych.

W Wielkorosyi ziemie włościańskie nie należą do pojedyńczych gospodarstw lub rodzin włościańskich, ale stanowią własności całéj gminy wieśniaczéj *(miru)*. W Małorosyi, podobnie jak w miejscowościach zamieszkanych przez ludność estońską, łotewską i litewską, ziemie włościańskie są podzielone na pojedyńcze posiadłości niezależne, które nie stanowią często wsi, ni osad zbiorowych. Własności zbiorowéj włościańskiéj nie ma także w guberniach nadbaltyckich, w których włościanie zostali uwolnieni bez ziemi.

Ludność rolnicza.

Zależność poddańcza i przywiązanie włościan do ziemi sięga początków XVII-go wieku, kiedy panujący ówczesny, Borys Godunow, zabronił włościanom opuszczać grunta, na których siedzieli. W czasie następnym Piotr W. zaprowadził podatek pogłówny i nakazał t. zw. rewizye dla obliczenia ile osób ze stanu włościańskiego płci męskiéj, obowiązanych uiszczać pogłówne, znajduje się na gruntach poszczególnych właścicieli. Ponieważ tych ostatnich zrobiono odpowiedzialnymi za wniesienie podatku pogłównego, przeto ich władza nad włościanami coraz się zwiększała. Włościanie utracili prawo swobodnego opuszczenia dawnego właściciela, na gruntach którego byli osiedleni.

Południowe stepy Ukrainy mogły się zaludniać tylko zbiegami, ponieważ nie było swobodnéj kolonizacyi. Szlachta otrzymała prawo kupowania pojedyńczych rodzin i nawet osób stanu włościańskiego, dla osiedlenia ich na gruntach niezajętych. Najcięższą była zależność poddańcza pod koniec XVIII-go wieku. Cesarz Mikołaj zaczął pierwszy przemyśliwać nad ulżeniem zależności poddańczéj i zabronił sprzedawania pojedyńczych członków rodziny i nabywania włościan bez ziemi. Nakoniec 19 lutego 1861 r. nastąpiła wielka reforma, nadająca swobodę osobistą włościanom z pozostawieniem im gruntów, które uprawiali aż do dnia uwolnienia. Przestrzenie tych gruntów włościańskich zostały nawet powiększone w guberniach zachodnich. Włościanie mieli przy pomocy skarbu państwa wykupić swe grunta od właścicieli dóbr, podług cen oznaczonych przez rząd. Umowy pomiędzy włościanami i dziedzicami były początkowo dobrowolne, za wyłączeniem gubernii zachodnich, ale od 1882 r. wykup gruntów włościańskich został przymusowy dla całego Cesarstwa. Podatek pogłówny zniesiono od 1885 r. W r. 1864 w gub. północno-zachodnich i zacho-

dnio-południowych powiększone zostały działy włościańskie z obowiązkowym ich wykupem i ze zmniejszeniem stopy wynagrodzenia obywateli ziemskich. W innych guberniach Cesarstwa mogli obywatele pozostawić włościanom $^1/_4$ część przestrzeni maksymalnéj, oznaczonéj dla danéj miejscowości, bez wszelkiego wynagrodzenia, zabiérając sobie resztę ich gruntów. W majątkach, w których włościanie posiadali zbyt małe przestrzenie gruntów, przyłączono do nich dodatkowo obszary z gruntów dworskich.

Gdzie była dawniéj własność wspólna całéj gromady włościańskiéj, pozostawiono ją i nadal i w tych miejscowościach *mir*, czyli zebranie wiejskie, rozdziela ciężary t. j. opłaty wykupne za ziemię, podatek pogłówny i inne opłaty bezpośrednie, pomiędzy pojedyńczych członków gminy i rozdziela między nich grunta.

W guberniach nadbaltyckich uwolnieni zostali włościanie bez ziemi, ale grunta, będące w ich używalności t. zw. *Bauerland*, nie mogą być przyłączone do gruntów dworskich, ale muszą być koniecznie wydzierżawione gospodarzom z włościan, cena zaś dzierżawna i cena wykupu ziemi są pozostawione umowie dobrowolnéj pomiędzy właścicielem majątku a gospodarzami włościanami.

W 50-ciu guberniach Rosyi europejskiéj w posiadaniu wspólném gromad włościańskich znajduje się 80,159,386 dzies., w posiadaniu zaś pojedyńczych gospodarstw 22,260,308 dzies., czyli w posiadaniu indywidualném jest $^1/_5$ część ogólnéj przestrzeni gruntów włościańskich, a pozostałe $^4/_5$ są w posiadaniu zbiorowém. Ziemie posiadania wspólnego należą do 6,387,289 osad włościańskich czyli gospodarstw; licząc średnio na każdą osadę lub gospodarstwo po 3.6 osób płci męskiéj, wypada na każdą rodzinę lub gospodarstwo po 12.5 dzies.

Ziemie posiadania indywidualnego należą do 1,874,840 osad; licząc po 3.7 osób płci męskiéj na osadę, wypada na jedną osadę 11.9 dzies. ziemi.

Podług ustawy 19 lutego 1861 r. działy włościan obywatelskich oznaczone są w wysokości od $2^1/_2$ do 15 dzies. na jedną duszę rewizyjną męską, ale większa część działów włościańskich nie dosięga *maximum* i niektóre gromady wiejskie otrzymały tylko $^1/_4$ część, czyli działy darmowe. Podług ostatecznego obliczenia, na zasadzie prawa r. 1861 największa część włościan otrzymała działy, wynoszące od 2 do 7 dzies. na duszę rewizyjną.

Poszukiwania statystyczne wykazały, że ludność włościańska najmniéj urosła w miejscowościach, w których otrzymała największe działy gruntowe.

W 50-ciu guberniach grunta orne u włościan stanowią 60.1%

przestrzeni ogólnéj, kiedy u właścicieli prywatnych tylko 31.3%. W pojedyńczych guberniach grunta orne działów włościańskich zajmują od 23.2 do 82.3% całéj przestrzeni. Za to lasów znajduje się w posiadaniu włościan tylko 11.4% całéj przestrzeni nadanych gruntów.

Łąki i wypasy stanowią 24.4%.

Najwięcéj otrzymali włościanie w dobrach skarbowych, średnio na duszę rewizyjną po 7.02 dzies., następnie włościanie dóbr familii cesarkiéj (4.81 dzies.), najmniéj włościanie dóbr prywatnych (3.45), przy średniéj ogólnéj 5.22 dzieś. na 1 duszę rewizyjną męską.

Za wyłączeniem gubernii nadbaltyckich, niektórych zachodnich, Królestwa i Finlandyi, nie istnieją w pozostałych guberniach Rosyi europejskiéj prawie zupełnie robotnicy wiejscy nie posiadający ziemi. Ale przy zwiększonéj ludności działy włościańskie tak zmalały, że trafiają się włościanie zupełnie zubożeli, nie mający ani konia, ani sochy, tak że muszą uprawiać swą cząsteczkę ziemi wynajętym koniem i sochą i nie mogą znaleść zajęcia na gruntach dworskich, na których już pracuje dostateczna liczba ich sąsiadów. Tacy włościanie, pomimo swych działów gruntowych i własnéj chaty, znajdują się często w daleko gorszém położeniu, niż robotnicy bezrolni.

W Rosyi europejskiéj w ciągu długiéj zimy $^3/_4$ ludności rolniczéj, zajętéj latem robotami w polu, pozostaje bez wszelkiego zajęcia i musi szukać dla siebie zajęcia nierolniczego. Stąd po wsiach i małych miasteczkach istnieją przedsiębiorstwa przemysłowe, nie pracujące zupełnie w ciągu lata, lub zatrudniające w tym czasie zaledwie połowę liczby pracujących zimą ludzi. Namiętne trzymanie się ziemi jest przyczyną, że części gruntów otrzymane przy podziale są coraz mniejsze i że coraz trudniéj dostać zajęcia na gruntach dworskich. Wstrzymują te okoliczności szybki rozwój przemysłu przerabiającego i wzrost miast.

Jako odpowiedni stosunek robotników miejscowych do przestrzeni uprawianych przyjmują w Rosyi europ. jednego dorosłego robotnika bez różnicy płci na $2^1/_3$ dzies. roli zasiewanéj, albo $1^1/_2$ dzies. na każdą osobę ludności. Z gubernii bardziéj zaludnionych wielu robotników wychodzi na czasowe zarobki do innych gubernii. Z miejscowości posiadających grunta czarnoziemne wychodzą do gubernii rolniczych południowych i do gubernii południowo-wschodnich Rosyi eur., z gubernii zaś nie mających czarnoziemiu idą na zarobki nierolnicze do miast i ognisk fabrycznych.

Wynajmowanie robotników rolniczych.

Wynajmowanie robotników w rolnictwie przybiéra formy następujące:

1) Mamy najprzód wynajmowanie włościan do pojedyńczych prac około roli: do orki, siejby, bronowania, sprzętu i t. p., albo do zupełnéj uprawy i sprzętu z całych dziesięcin za opłatą pieniężną, albo wzamian za oddanie robotnikowi pojedyńczych dziesięcin na jeden zasiew. Przy oddawaniu gruntów do zupełnéj uprawy następuje umowa bardzo wcześnie, zimą i jeżeli wynagrodzenie jest pieniężne, dają się naprzód znaczne zadatki, a czasami nawet cała umówiona suma. Uprawę zupełną stanowią: orka dwu- lub trzykrotna sochą lub pługiem włościanina i jego koniem, zasianie nasieniem właściciela, zbiór i zwiezienie zboża do stodół. Młocka nie należy do prac obowiązujących. Zwykle wzamian za jedną dziesięcinę, którą włościanin obsiewa swém ziarnem i na swą korzyść, uprawia on dwie dziesięciny i zbiéra z nich dla właściciela.

2) Powtóre, podobną do pierwszego rodzaju, jest umowa za wynagrodzeniem połową lub oznaczoną częścią zbiorów. W tym wypadku włościanin swoim inwentarzem uprawia grunta dworskie, zasiewa ziarnem właściciela, następnie zbiéra i otrzymuje dla siebie połowę lub inną umówioną część zbiorów.

3) Trzeci sposób uprawy gruntów dworskich polega na wydzierżawianiu całych dóbr lub znacznych ich części pojedyńczym gromadom lub gminom włościańskim na terminy dłuższe i puszczaniu pojedyńczych dziesięcin włościanom pod jeden zasiew zboża ozimego lub jarego.

4) Czwartym nakoniec sposobem jest wynajmowanie robotników na rok cały, lub na pewien czas: na lato, na miesiąc i t. p., albo dziennie, z włościan miejscowych lub przybyłych. W tym wypadku wszelka praca dokonywa się zaprzęgiem i narzędziami właściciela. Taki sposób najmu robotników przeważa w miejscowościach, w których nie ma dosyć włościan miejscowych dla uprawy wszystkich gruntów dworskich. Do téj kategoryi należą: pas stepowy z guberniami południowemi i południowo-wschodniemi. Gospodarstwa, zatrudniające wyłącznie robotników stałych, pozostających cały rok na miejscu, znajdują się przeważnie w guberniach nadbałtyckich, zachodnich i w Królestwie, w pozostałych guberniach Cesarstwa, takie gospodarstwa są bardzo rzadkie.

Zbiory rolnicze.

Pomiędzy rodzajami wysiewanego w Rosyi europ. zboża, pierwsze miejsce zajmuje żyto, wysiew jego zajmuje 37% całéj przestrzeni gruntów ornych. Drugie miejsce zajmuje owies (19.9%), trzecie pszenica (16.6%), czwarte jęczmień (7.1%). Kartofle zajmują zaledwie 2.1% przestrzeni ogólnéj wysiewanéj.

Wysiéw żyta zajmuje prawie połowę wszystkich przestrzeni, zasianych w Rosyi środkowéj i północnéj i nawet zajmuje mniéj, niż połowę w gub.: włodzimierskiéj, kazańskiéj i symbirskiéj. Najmniéj wysiéwają żyta na południu i południo-wschodzie, gdzie np. w gub. besarabskiéj zajmuje żyto tylko 5.8%, a w gub. orenburskiéj 11.8% przestrzeni.

Pszenicy wysiéwa się najwięcéj na południu i na południo-wschodzie, gdzie zajmuje ona od $^1/_3$ do $^1/_2$ wszystkich gruntów. Pszenica ozima przeważa na zachodzie Cesarstwa, jara w guberniach wschodnich. Na saméj północy i na północo-zachodzie mniéj, niż 1% gruntów obsiéwają pszenicą, jak również w guberniach centralnych, nie mających czarnéj ziemi. W guberniach bez czarnoziemiu, wyłączając archangielską, zachodnie i nadbaltyckie, a z gubernii z czarnoziemiem w gub.: orłowskiéj, tulskiéj i riazańskiéj, pod owsem znajduje się koło $^1/_3$ i więcéj przestrzeni zasianych.

Wysiéw jęczmienia przedstawia obraz wręcz przeciwny wysiewowi owsa. Najwięcéj przestrzeni pod jęczmionami (10—20%) znajduje się na saméj półocy i na samém południu w guberniach stepowych, jak również w guberniach nadbaltyckich i do nich przyległych. Najmniéj wysiéwa się jęczmienia w gub.: penzeńskiéj i riazańskiéj (mniéj, niż 0.1% przestrzeni), najwięcéj w gub. archangielskiéj, gdzie 54% zajmują wysiewy tego zboża.

Proso uprawiane jest przeważnie w guberniach czarno-ziemnych, najwięcéj w gub. tambowskiéj (11.6% całéj zaoranéj przestrzeni), w gub. astrachańskiéj (10%) i w niektórych gub. na północ od pasa czarnoziemia.

Grykę sieją w tych samych prawie guberniach co i proso: najwięcéj w gub. czernihowskiéj (26.7% przestrzeni), penzeńskiéj i kurskiéj (13.2%). Na Wołyniu pod gryką znajduje się 10.3% przestrzeni zasianych.

Kukurydzę sieją na południu, szczególniéj w gub. besarabskiéj (24.6%), podolskiéj (6.7%).

Orkisz uprawiają na wschodzie, nad Wołgą, Kamą i Białą najwięcéj w gub. ufimskiéj (7.1%), kazańskiéj (5.6%), symbirskiéj i samarskiéj (mniéj, niż 2% przestrzeni zasiéwanych).

Kartofli sadzą najwięcéj w zachodniéj części państwa, w gub. nadbaltyckich i zachodnich. Pierwsze miejsce zajmuje gub estlandzka (14.8%), daléj idą gub.: grodzieńska (8.7%), mińska (7.7%), wileńska (6.5%), moskiewska (6.2%), kurlandzka (6.1%), petersburska (5.9%).

Pod względem wydajności zbiorów, najmniejsze są zbiory na samém południu Rosyi europejskiéj, w pasie stepowym, najlepsze

zbiory wszelkich rodzajów zbóż są w guberniach nadbaltyckich. Po tych guberniach najkorzystniejsze stosunki przedstawiają gub.: kijowska i jarosławska. Wogóle zbiory z gruntów dworskich są lepsze, niż z gruntów włościańskich.

Porównywając zbiory rolnicze Rosyi europejskiéj ze zbiorami w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnéj, różnice wypadają bardzo nieznaczne. Zebrano średnio z jednéj dziesięciny w czetwertiach:

	w Rosyi europ.	w Stan. Zjednocz.
żyta	5.3	5.4
pszenicy ozimėj	5.0	5.4
„ jarėj	4.4	
owsa	7.5	12.1
jęczmienia	5.7	9.9
gryki	3.6	5.8
kukurydzy	5.4	11.0
kartofli	34.2	34.6

Widzimy więc, że zbiory kartofli, żyta i prawdopodobnie pszenicy ozimėj są w obu państwach prawie równe. Wydajność zaś zbóż jarych jest półtora raza i więcéj znaczniejsza w Stanach Zjednoczonych.

Najznaczniejsze różnice pomiędzy zbiorami największemi i najmniejszemi lat pojedyńczych, obliczone w procentach średnich zbiorów wciągu okresu 11-letniego od 1880 do 1891 r., przypadają w guberniach noworosyjskich i stepowych, za wyłączeniem besarabskiéj. Różnica między zbiorem największym i najmniejszym dochodzi w gub. jekaterynosławskiéj do 181% średniego zbioru, w ziemi wojska dońskiego do 162%, czyli przenosi zbiór średni więcéj, niż półtora raza. Za temi guberniami z największemi różnicami w wysokości zbiorów lat pojedyńczych idą niektóre gubernie czarnoziemne i położone nad dolną Wołgą, w których różnica zbiorów lat pojedyńczych przenosi 100%. Na północy i w guberniach nadbaltyckich różnica nie wynosi 50%, *minimum* wahań wysokości rocznych zbiorów przedstawia gub. archangielska (39%).

Zasługuje na uwagę ta okoliczność, że wahania w stronę *maximum* są znaczniejsze od wahań w stronę *minimum*, a wahania w obu kierunkach są daleko większe w guberniach czarnoziemnych, niż w guberniach o gruntach lżejszych. Większość gubernii pierwszéj kategoryi przedstawia wahania w obu kierunkach przenoszące 50%, t. j. połowę zbiorów średnich, kiedy w guberniach kategoryi drugiéj wahania w stronę *maximum*, przenoszące 50%, trafiają się tylko w jednéj gub. mińskiéj, tak znacznych zaś wahań w stronę *minimum* nie spotykamy wcale. Nawet wahania w stronę *minimum*, przenoszące 25%, spotyka-

ją się w małéj ilości gubernii ostatniéj kategoryi. Wypada zatém, że w guberniach czarnoziemnych bywają zbiory albo złe i bardzo złe, albo znowu bardzo obfite, kiedy w innych guberniach nie zdarzają się zbiory złe i bardzo złe, tylko niedostateczne i dobre.

Przyczyny tych różnic szukać należy w warunkach klimatycznych i w ekstensywności gospodarstwa rolnego. W guberniach czarnoziemnych bywają częste i silne susze, które wydarzają się bardzo rzadko w innych guberniach i nie są tak silne. Następnie w tych ostatnich guberniach nawożenie pól jest wszędzie zaprowadzone, kiedy w pasie stepowym, gdzie wahania w wysokości zbiorów są największe, nawożenie pól prawie zupełnie jest nieznane. Wskutek surowości klimatu Rosyi europejskiéj zboża ozime przy braku śniegu zimą, cierpią bardzo od silnych mrozów i od przeplatających je odwilży, prócz tego szkodzą bardzo późne przymrozki na wiosnę i zbyt wczesne jesienią. Jednak małe różnice w wysokości zbiorów na saméj północy Rosyi, a największe na jéj południu wskazują, że głównym czynnikiem, wpływającym na wysokości zbiorów rolniczych, jest ilość opadu atmosferycznego. Wogóle im bardziéj ekstensywném jest gospodarstwo rolne i im klimat jest bardziéj kontynentalny, t. j. im suchszém i gorętszém jest lato, tém są większe różnice w wysokości zbiorów rocznych.

Profesorowie Fortunatow i Grass obliczyli wysokość zbiorów rocznych żyta z pewnéj ilości gospodarstw prywatnych dla okresu od r. 1840 do 1889. Z wykréślonéj przez nich dyagramy wypada, że zbiory żyta stopniowo się zwiększają, a zmniejszają się różnice pomiędzy wysokością zbiorów lat pojedyńczych.

Porównywując zbiory ogólne rolnicze 50 gubernii europejskich ze zbiorami Stanów Zjednoczonych Ameryki północnéj i zamieniając wszystko na buszle, wypada, że zbiory Stanów Zjednoczonych są o półtora raza większe niż Rosyi europejskiéj. Zbiory 50 gubernii wynoszą 1,770, Stanów Zjednoczonych—2,900 milionów buszli.

W Stanach Zjednoczonych pierwsze miejsce pod względem wysokości otrzymanego ziarna zajmuje kukurydza (1,700 mil. buszli), zbiór jéj wynosi mniéj, niż połowę sumy ogólnéj zbiorów. Odpowiednie miejsce zajmuje w Rosyi żyto (669,6 mil. buszli). Wogóle Stany Zjednoczone produkują i wywożą więcéj, niż Rosya, kukurydzy i pszenicy, co do innych zbóż, przewaga jest po stronie Rosyi.

Zbiory rolnicze gubernii bez czarnoziemia są mało znaczne w porównaniu ze zbiorami gubernii czarnoziemnych; wyjątkowe tylko stanowisko pomiędzy pierwszemi zajmują gub.: permska i wiacka. Zbiory gubernii bez ziemi czarnéj nie przenoszą ilości potrzebnych do wyży-

wienia ludności miejscowéj. Najmniejsze ilości zboża otrzymują się na krańcach: na północy, w gub. archangielskiéj i na południu, w gub. astrachańskiéj. Z poszczególnych rodzajów zboża, owies, a po części jęczmień i groch, są uprawiane w równym stosunku w guberniach obu kategoryi. Produkcya żyta w guberniach z czarną ziemią jest prawie dwa razy większa, niż w innych guberniach. Produkcya pszenicy, gryki, prosa, kukurydzy i orkiszu w guberniach bez czarnéj ziemi jest zupełnie nieznaczną w porównaniu z produkcyą tych zbóż w guberniach drugiéj kategoryi.

Ponieważ $^2/_3$ wszystkich przestrzeni rolniczych zasiéwanych należy do włościan, przeto i przestrzeń, zasiana każdym rodzajem zboża jest znaczniejsza u włościan, niż w wielkiéj własności. Wyjątek stanowi pszenica ozima, któréj większa część produkcyi przypada na grunta dworskie.

Ilość spożytego żyta i pszenicy na jednego mieszkańca.

Ministeryum komunikacyi obliczyło, ile średnio na jednego mieszkańca w państwie wypada spożytego żyta i pszenicy, a ile w poszczególnych okręgach. Wogóle wypada prawie 12 pudów (11.97) na mieszkańca podług czteroletniego przecięcia.

Spożycie chleba żytniego i pszennego nie jest jednakowe w pojedyńczych miejscowościach i znaczniejsze jest tam, gdzie produkują najwięcéj zboża, przytém w spożyciu ludności gubernii południowo-zachodnich i w Królestwie grają wielką rolę inne artykuły spożywcze, jak kartofle, groch i inne.

Gubernie		Spożycie na 1 mieszkańca: Chleba żyt. i psz. pud.	Z téj ilości chleba żyt.: pudów	%
Południowe	stepowe	12.62	3.83	30
	niestepowe	14.49	10.37	72
Południowo-wschodnie		16.92	11.51	67
Centralne czarnoziemne		13.60	12.86	95
Południowo-zachodnie		9.25	6.01	65
Królestwa Polskiego		7.27	5.63	77
Północno-wschodnie		11.95	10.27	86
Centralne przemysłowe (z Moskwą)		12.86	11.13	87
Północne		7.96	6.96	87
Północno-zachodnie (z Petersburgiem)		13.05	10.35	80

Jeżeli podzielimy gubernie europejskie na produkujące mniéj, niż potrzeba dla spożycia wewnętrznego i na takie, które nie produkują dostatecznych ilości, to zobaczymy, że gubernie dające przewyżkę po nad zapotrzebowania miejscowe, leżą wszystkie w pasie czarnéj zie-

mi, z wyłączeniem gub. astrachańskiéj, a z innych gubernii doliczyć tu należy gubernie zachodnie, zaczynając od estlandzkiéj, aż do besarabskiéj. Wszystkie pozostałe gubernie potrzebują dla wyżywienia swéj ludności zboża obcego. Z gubernii zachodnich należą do téj kategoryi: mińska, witebska, mohylewska i czernihowska.

Wywóz zboża zagranicę.

O większéj części zbóż, otrzymywanych w Rosyi europejskiéj, utrzymywać można, że produkują przeważnie dla spożycia wewnętrznego i tylko małe ilości, pozostałe po zaspokojeniu miejscowych potrzeb, wysyłane bywają zagranicę. Wyjątek stanowi kukurydza i pszenica; pierwszéj wysyła się zagranicę mniéj, niż połowa zbiorów, pszenicy prawie połowa, po odliczeniu ziarna na zasiéw.

Wywóz zboża zagranicę podlegał mniejszym zmianom co do swéj wysokości, niż zbiory, tak, iż nawet w lata nieurodzaju wywóz był znaczny. W 1891 r. wywieziono z Rosyi więcéj pszenicy, niż jéj zebrano w tym roku, po potrąceniu ilości potrzebnych na zasiéw. Przeciętnie z 11 lat wywieziono w stosunku do zbioru średniego:

żyta	6.6%
pszenicy	37.3%
owsa	10.4%
wszelkiego zboża	13.5%

Wywóz zboża z Rosyi za ostatnie 30 lat ciągle wzrastał, za wyjątkiem okresu od listopada 1891 do lipca 1892 roku, kiedy był zabroniony. Nawet w roku 1891 nadzwyczajnego nieurodzaju, wywieziono zboża prawie tyle, co w 1883 r., w którym wywóz był największy w ciągu całego okresu 5-letniego od 1881 do 1885 r. Obliczając okresami 5-letniemi, od 1856 do 1890 r., wywóz zboża wzrastał ciągle; z lat pojedyńczych najznaczniejszym był wywóz 1888 r., wynoszący około 59 milionów czetwerti. Za ostatnie 10-lecie od 1881—1890 r. wysokość wywozu poszczególnych rodzajów zboża była następująca:

Wywieziono najwięcéj pszenicy, prawie 14 milionów czetw. Następnie wywieziono:

owsa	przeszło 10	mil.	czet.
żyta	7½	„	„
jęczmienia	5	„	„
kukurydzy	prawie 2	„	„

otrąb, grochu i gryki wywieziono mniéj, niż po milionie czetw.

Wywóz średni roczny zboża wszelkiego w tymże okresie wynosił 39 mil. czetw.

Najbardziéj wzrósł wywóz jęczmienia, a następnie pszenicy i owsa. Wywóz żyta od 1875 r. prawie nie powiększył się. Przyczyną tego był upadek cen na to zboże, daleko znaczniejszy od upadku cen na inne rodzaje ziarna.

Ceny ziemi.

Ceny ziemi są bardzo różnéj wysokości w pojedyńczych guberniach. Wartość dziesięciny gruntów przenosi 100 rubli w tych guberniach z czarnoziemem, w których przypada więcéj, niż 40 do 50 mieszkańców na wiorstę kw. Okrąg najwyższych cen na ziemię obejmuje gub. podolską i kijowską, północne części gub. besarabskiéj i chersońskiéj, daléj na północo-wschód gub.: charkowską, woroneską, orłowską, riazańską i tambowską. W gub. kijowskiéj i kurskiéj średnia cena dziesięciny ziemi waha się między 150 i 200 rub.

Na północy od tego okręgu cen najwyższych i na północo-wschód ceny stopniowo się zniżają, wyjątek tylko stanowią gubernie nadbaltyckie, w których przenoszą 70 rub. za dzies.

Najniższe ceny, około 10 rub., mają: część gub. mińskiéj, północna część wołyńskiéj i gub.: mohylewska, nowogrodzka, kostromska, orenburska i części samarskiéj i astrachańskiéj.

Ceny ziemi w ciągu okresu 30-letniego od 1860 do 1889 r. wszędzie się zwiększyły, ale w rozmiarach bardzo różnych. W guberniach południowych stepowych ceny ziemi wzrosły więcéj, niż w czwórnasób, a w gub. taurydzkiéj nawet pięciokrotnie. W guberniach południowo-zachodnich, małorosyjskich, w gub.: ufińskiéj, a z liczby gubernii bez czarnoziemia w gub.: nowogrodzkiéj, pskowskiéj i witebskiéj ceny ziemi potroiły się. Najmniéj urosły ceny w gub. litewskich: kowieńskiéj, wileńskiéj i grodzieńskiéj, w gub.: nadbaltyckich i samarskiéj. W niektórych z tych gubernii ceny ziemi podniosły się na mniéj, niż 50%.

Dzieląc cały okres 30-letni na podokresy, znajdujemy że do 1883 r. ceny ziemi wzrastały dosyć znacznie i równomiernie w guberniach pojedyńczych, od tego zaś roku, aż do 1889 r. zwiększenie było coraz mniejsze wskutek upadku cen na główne rodzaje zboża. W wielu nawet guberniach w ostatnim podokresie nastąpiło zniżenie cen ziemi mianowicie tam, gdzie przeważnie uprawiają żyto i owies.

Najmniejszy wzrost cen ziemi dla całego okresu od 1860 do 1889 był w gub. następujących i wynosił w gub.:

Kowieńskiéj	41%	Kurlandzkiéj	37%
Wileńskiéj	45%	Estlandzkiéj	71%
Grodzieńskiéj	71%	Samarskiéj	89%
Liflandzkiéj	62%		

Największy wzrost cen ziemi wynosił w guberniach:

Taurychiéj	442%	Ufimskiéj	260%
Nowogrodzkiéj	420%	Chersońskiéj	224%
Ekaterynosławskiéj	305%	Besarabskiéj	200%
Pskowskiéj	312%	Kijowskiéj	196%
Smoleńskiéj	254%	Połtawskiéj	203%
Kostromskiéj	275%	Kurskiéj	143%
Wojska dońskiego	260%		

W guberniach czarnoziemnych powiększenie za cały ten okres wynosiło 173%, w guberniach bez czarnoziemia 112%. Razem w 43 guberniach 153%.

Porównywając ceny kupna ziemi z cenami dzierżawnemi, okazuje się, że pierwsze daleko mniéj spadły, niż ceny dzierżawne. Opłata z dziesięciny pod jeden zasiéw zbożem jarem lub ozimem rzadko jest niższa od 5 rubli, a najczęściéj waha się pomiędzy 5 i 10 rublami. Dzierżawy długoterminowe wynoszą zwykle 4 do 6% ceny kupna majątku i wahają się w miejscowościach pojedyńczych pomiędzy 50 kop. do 15 rub. za dziesięcinę. Jednak wydzierżawianie ziemi na czas dłuższy jest daleko rzadszém w Rosyi, niż w państwach zachodnio-europejskich. Wogóle przestrzenie, wydzierżawiane na rok jeden i pod jeden zasiéw, są daleko większe, niż grunta, znajdujące się w dzierżawach długoterminowych.

K o s z t r o c z n e g o r o b o t n i k a.

Robotnik roczny w rolnictwie kosztuje najwięcéj w guberniach południowych stepowych, a następnie w guberniach nadbaltyckich i przemysłowych. Najtańszym zaś jest robotnik roczny w okręgach bez czarnoziemia: w guberniach północno-zachodnich; w pasie zaś czarnoziemnym: w guberniach południowo-zachodnich i centralnych rolniczych. Wogóle w pasie czarnoziemia ceny pracy są najniższe tam, gdzie zaludnienie jest największe, a najwyższe w miejscowościach mniéj zaludnionych.

W guberniach bez czarnoziemia na wysokość wynagrodzenia robotnika wpływa także rozwój zajęć nierolniczych, szczególniéj przemysłu obrabiającego.

W miejscowościach ze zbywającemi ilościami zebranego zboża utrzymanie robotnika rolnego jest tańsze, mianowicie w miejscowościach oddalonych od portów morskich, takiemi są gubernie nad dolném korytem Wołgi, a najdroższém jest utrzymanie robotnika w guberniach południowych stepowych, położonych nad samém morzem Czarném.

Koszt rocznego robotnika rolniczego wynosi n a j m n i é j w gub.:

Wileńskiéj	92 rs.	Witebskiéj	97 rs.
Kowieńskiéj	93 "	Smoleńskiéj	100 "
Grodzieńskiéj	84 "	Kijowskiéj	91 "
Mohylewskiéj	91 "	Podolskiéj	78 "
Mińskiéj	85 "	Wołyńskiéj	70 "

Najwięcéj kosztuje robotnik roczny:

W guberniach nadbałtyckich:		W guberniach południow. stepowych.	
Liflandzkiéj	140 rs.	Besarabskiéj	124 rs.
Kurlandzkiéj	155 "	Chersońskiéj	130 "
Estlandzkiéj	140 "	Taurydzkiéj	163 "
		Ekaterynosławskiéj	128 "
		Ziemi Dońskiéj	130 "

W guberniach przemysłowych:		W guberniach nad jeziorami:	
Włodzimierskiéj	127 rs.	Ołoneckiéj	125 rs.
Moskiewskiéj	130 "	Nowogrodzkiéj	125 "
Kałuskiéj	105 "	Petersburskiéj	167 "
Twerskiéj	120 "	Pskowskiéj	108 "
Jarosławskiéj	118 "		
Kostromskiéj	133 "		

Zarobki dzienne robotnika w rolnictwie.

Władza centralna zbiéra corocznie wiadomości o wysokości płacy dziennéj robotników, na własném wyżywieniu, dla trzech epok gospodarczych roku: na wiosnę w czasie siéwu zbóż jarych, latem w czasie sprzętu siana i jesienią podczas żniw.

Zarobek robotnika z koniem przewyższa zwykle zarobek robotnika pieszego o 1/3, a nawet dwa razy jest większy. O tyle także zarobek robotnika pieszego przenosi zarobek pracującéj kobiéty.

Najniższe są zarobki w czasie siéwu wiosennego i nie bardzo są różne w różnych miejscowościach i w poszczególnych latach. Najniższy jest zarobek w gub. grodzieńskiéj (29 kop.), nawyższy w gub. archangielskiéj (72 kop.); różnica więc tych zarobków wynosi 43 kop. Najniższe są zarobki na wiosnę w guberniach najbardziéj zaludnionych pasa czarnoziemia, jak również w gub.: mińskiéj i grodzieńskiéj.

Podczas zbioru siana zarobki podnoszą się wszędzie dosyć znacznie, o 15 do 20 kop., a w niektórych miejscowościach gubernii południowych stepowych o 40 kop. i więcéj.

Wahania z jednego roku na drugi są także znaczne, dochodzą 20 i 30 kop.

W czasie żniw zarobki dzienne są wyższe od zarobków wiosennych, średnio o 10 kop. Najwyżéj podnoszą się zarobki podczas żniw

na południu. We wszystkich guberniach noworosyjskich, z wyłączeniem besarabskiéj, zarobki przenoszą jednego rubla dziennie. Ku północy obniżają się i dochodzą do *minimum* 40 i 50 kop. w pasie środkowym na granicy z krainą czarnoziemia.

Różnice w wysokości zarobków średnich w ciągu okresu od 1882 do 1891 r., na własném wyżywieniu i podczas żniw, są bardzo znaczne. Po za pasem czarnoziemia różnice roczne najczęściéj nie przenoszą 12 kop., w niewielu guberniach dochodzą do 20 kop., a w petersburskiéj 25 kop. W małéj tylko liczbie gubernii czarnoziemnych różnice roczne w wysokości zarobków podczas żniw, wynoszą tylko 15 do 20 kop., w większéj części miejscowości różnica przewyższa 25 kop., a w guberniach stepowych różnica wynosi od 1 rub. 55 kop. do 2 rub. 20 kop. W większéj części gubernii z czarnoziemiem zarobki dzienne podczas żniw mogą przenosić zwykłe zarobki o połowę, a w niektórych guberniach mogą być dwa, trzy i więcéj razy wyższe.

Dochód z ziemi.

W celu obliczenia dochodu średniego z uprawy różnych roślin zbożowych, ministeryum rozesłało kwestyonaryusz do swych korespondentów rolniczych, żądając od nich wykazania: średniego zbioru danego majątku z ostatnich 3—10 lat i ceny średniéj puda zboża z ostatnich lat 5. Z pomnożenia tych dwóch cyfr obrachowano dochód ogólny (*brutto*) jednéj dziesięciny, nie licząc wartości słomy. Z otrzymanych 1000 z górą odpowiedzi, obliczono wysokość dochodu jednéj dziesięciny w guberniach różnych okręgów.

Do wydatków rolniczych zaliczono:

1) Wywózkę nawozu. 2) Uprawę ziemi pod zasiéw i pracę podczas wzrostu roślin. 3) Wartość wysianego ziarna. 4) Zbiór i przywóz z pola. 5) Młockę i oczyszczenie ziarna. 6) Naprawę, ubezpieczenie i amortyzacyę budowli i inwentarza. 7) Wydatki na administracyę. 8) Opłaty gruntowe.

Prócz wyżéj wymienionych wydatków rolniczych, podano jeszcze rentę albo czynsz dzierżawny jednéj dziesięciny za jeden zasiéw, średnią cenę puda zboża z 4-ch lat 1885—1888 r., wartość ogólną zbiorów, wreszcie otrzymane z porównania tych wielkości zyski (dochód czysty, *netto*).

Ponieważ z dochodu wyłączono wartość słomy, przeto przy wydatkach uwzględniono tylko koszt wywózki nawozu na pole, nie licząc jego wartości.

Ekonomiczne stosunki uprawy poszczególnych gatunków zboża przedstawiają się, jak następuje:

Gubernie	Wydatki ogólne	Renta albo czynsz dzierżawny	Cena średnia pusta	Wartość zbiorów	Zyski
Żyto *(dla jednéj dziesięciny).*					
1. Noworosyjskie	25.16	5.83	0.49	53.90	9.93
2. Południowo-zachod.	29.39	8.77	0.48	44.15	14.78
3. Małorosyjskie	30.75	8.91	0.44	38.—	7.25
4. Central. rolnicze	22.41	11.84	0.43	34.70	12.29
5. Średniéj Wołgi	22.12	9.36	0.41	26.50	4.38
6. Dolnéj Wołgi	19.53	4.20	0.40	20.35	0.82
7. Przemysłowe	38.35	6.45	0.63	46.48	8.13
8. Białoruskie	30.78	6.40	0.70	40.50	8.72
9. Uralskie	35.25	3.30	0.51	37.25	2.—
10. Północne	38.86	—	0.72	53.76	14.—
11. Przy jeziorach	41.48	7.20	0.76	54.—	12.52
12. Litewskie	30.80	6.70	0.59	34.70	3.90
13. Nadbaltyckie	47.14	11.60	0.74	62.07	14.93
14. Królestwo Polskie	43.15	9.25	0.66	48.18	5.03
Pszenica ozima *(dla jednéj dziesięciny).*					
1. Noworosyjskie	32.18	6.81	0.85	61.99	29.81
2. Południowo-zachodnie	45.45	8.93	0.82	73.18	27.73
3. Małorosyjskie	43.41	9.75	0.81	77.45	34.04
4. Central. rolnicze	37.19	13.69	0.87	75.27	38.08
5. Białoruskie	38.41	7.37	0.88	60.86	22.45
6. Litewskie	38.27	6.80	0.90	61.05	22.78
7. Nadbaltyckie	59.70	12.60	0.92	82.80	23.10
8. Królestwo Polskie	59.80	10.40	0.95	85.50	25.70
Pszenica jara *(dla jednéj dziesięciny).*					
1. Noworosyjskie	29.39	6.12	0.85	49.00	19.61
2. Południowo-zachodnie	27.61	7.12	0.70	41.25	13.64
3. Małorosyjskie	29.66	7.36	0.72	52.66	23.—
4. Central. rolnicze	25.84	8.60	0.81	46.61	20.77
5. Średniéj Wołgi	21.80	7.40	0.74	40.36	18.56
6. Dolnéj Wołgi	25.76	6.—	0.79	49.81	24.05
7. Białoruskie	25.07	5.03	0.77	40.11	15.04
8. Uralskie	27.76	2.10	0.73	45.—	17.14
9. Północne	18.30	—	0.87	61.86	43.56
10. Litewskie	29.79	6.—	0.79	49.60	19.81
Owies *(dla jednéj dziesięciny).*					
1. Noworosyjskie	24.07	5.34	0.47	30.55	6.48
2. Południowo-zachodnie	22.49	7.30	0.45	35.92	13.43
3. Małorosyjskie	22.09	7.06	0.42	28.74	6.65

Gubernie	Wydatki ogólne	Renta albo czynsz dzierżawny	Cena średnia pusta	Wartość zbiorów	Zyski
4. Central. rolnicze	18.17	8.90	0.41	27.55	9.38
5. Średniéj Wołgi	16.86	7.40	0.34	20.68	3.82
6. Dolnéj Wołgi	18.51	3.30	0.39	20.80	2.29
7. Przemysłowe	27.70	5.—	0.49	34.46	6.76
8. Białoruskie	23.95	5.34	0.49	29.29	5.34
9. Uralskie	19.30	2.10	0.37	20.38	1.08
10. Nad jeziorami	29.87	5.57	0.58	37.13	7.26
11. Litewskie	22.63	5.30	0.54	27.71	5.08
12. Nadbaltyckie	33.36	8.50	0.71	49.05	15.69
13. Północne	26.30	6.10	0.49	33.07	6.77
14. Królestwo Polskie	31.25	7.—	0.64	40.96	9.71

Jęczmień *(dla jednéj dziesięciny).*

1. Noworosyjskie	23.76	5.34	0.45	31.90	8.14
2. Południowo-zachodnie	24.45	7.30	0.46	38.43	13.98
3. Małorosyjskie	23.44	7.06	0.42	31.57	8.13
4. Dolnéj Wołgi	17.57	3.30	0.46	19.32	1.75
5. Przemysłowe	26.94	5.—	0.63	43.90	16.96
6. Białoruskie	24.16	5.34	0.60	35.63	11.47
7. Uralskie	24.07	2.10	0.53	35.94	11.87
8. Nad jeziorami	28.59	5.57	0.73	46.82	18.23
9. Litewskie	24.35	5.30	0.64	35.21	10.86
10. Nadbaltyckie	33.41	8.50	0.77	61.07	27.66
11. Północne	32.92	6.10	0.76	48.19	15.27
12. Królestwo Polskie	34.25	7.—	0.70	58.80	24.55

Gryka *(dla jednéj dziesięciny).*

1. Południowo-zachodnie	22.24	7.30	0.58	28.02	5.78
2. Małorosyjskie	19.47	7.06	0.54	22.31	2.84
3. Central. rolnicze	18.—	8.90	0.70	27.73	9.73
4. Średniéj Wołgi	14.84	7.40	0.62	20.61	5.77
5. Dolnéj Wołgi	14.37	3.30	0.50	23.05	8.68
6. Przemysłowe	25.18	5.—	0.76	29.96	4.78
7. Białoruskie	20.16	5.34	0.60	22.13	1.97
8. Nad jeziorami	21.90	5.57	0.83	39.97	18.07
9. Litewskie	20.84	5.30	0.60	23.24	2.40

Proso *(dla jednéj dziesięciny).*

1. Noworosyjskie	20.80	5.34	0.51	33.36	12.56
2. Południowo-zachodnie	22.15	7.30	0.51	27.61	6.46
3. Małorosyjskie	21.05	7.06	0.48	27.88	6.83
4. Central. rolnicze	19.17	8.90	0.48	31.55	12.18

Gubernie	Wydatki ogólne	Renta albo czynsz dzierżawny	Cena średnia pusta	Wartość zbiorów	Zyski
5. Średniéj Wołgi	16.46	7.40	0.51	24.52	8.06
6. Dolnéj Wołgi	16.55	3.30	0.53	27.18	10.63

Kartofle *(dla jednéj dziesięciny).*

1. Noworosyjskie	46.83	5.34	0.37	88.33	41.50
2. Południowo-zachodnie	54.63	7.30	0.16	87.50	22.87
3. Małorosyjskie	37.82	7.06	0.15	75.20	37.38
4. Central. rolnicze	33.14	8 90	0.10	66.62	33.48
5. Śred. Wołgi	25.91	7.40	0.15	52.65	26.74
6. Dolnéj Wołgi	29.45	3.30	0.17	69.50	40.05
7. Przemysłowe	44.26	5.—	0.20	110.54	66.28
8. Białoruskie	44.40	5.34	0.16	102.30	57.90
9. Uralskie	26.45	2.10	0.23	74.50	48.05
10. Nad jeziorami	39.15	5.57	0.20	111.54	72.39
11. Litewskie	43.56	5.30	0.17	90.40	45.84
12. Nadbaltyckie	64.98	8.50	0.19	169.75	104.77
13. Królestwo Polskie	65.85	7.—	0.15	113.40	47.55

Z zestawień powyższych okazuje się, że za ostatnie pięć lat stosunkowo dochód najmniejszy, w niektórych okręgach nie przenoszący czynszu gruntowego, dały najważniejsze gatunki zboża: żyto i owies, a najzyskowniejsza była uprawa kartofli, mianowicie w północnéj połowie Rosyi. Na południu największe zyski dawała uprawa pszenicy, mianowicie ozimej i jęczmienia. Stosownie do zmian zapotrzebowania i wysokości ceny za ostatnie 10 lat, można było dostrzedz na przemian, albo rozszerzenie wysiewu żyta kosztem pszenicy, albo wysiewu pszenicy kosztem żyta, szczególniéj w pasie czarnoziemiu. W tym pasie nie ma konieczności powiększania przestrzeni nawożonych i zwiększania ilości bydła w miarę uprawy większych przestrzeni, przeto podczas ostatnich 10 lat dużo było przykładów zbytniéj produkcyi jednego lub drugiego zboża. W okręgu środkowym rolniczym na początku i w środku dziewiątego lat dziesiątka, pod wpływem zwiększonego zapotrzebowania przez gorzelnie, rozszerzyły się przestrzenie znajdujące się pod uprawą kartofli. W pasie bez czarnoziemiu, pod wpływem warunków zbytu, najbardziéj się rozszerzały lub zmniejszały przestrzenie zajęte uprawą lnu. Najmniéj ulegały zmianom wysiewy na ziemiach należących do włościan, ponieważ produkują oni przeważnie na własne spożycie, swoją pracę mało cenią i znaczniejszą część dochodów pieniężnych otrzymują nie z gospodarstwa własnego, ale z zarobków postronnych rolniczych, albo przemysłowych i fabrycznych.

Stan rolnictwa w okręgach pojedyńczych.

Rozwój rolnictwa w okręgach poszczególnych był bardzo rozmaity.

W guberniach noworosyjskich i południowych stepowych na pierwszém miejscu przed niedawnym czasem był chów bydła, mianowicie owiec, szczególniéj w majątkach większych. Ale po wybudowaniu dróg żelaznych, przy zwiększeniu ludności i większym przypływie robotników obcych, uprawa zboża, mianowicie pszenicy jaréj, usunęła na drugi plan chów bydła.

W guberniach południowo-zachodnich największéj jest doniosłości uprawa pszenicy oziméj i buraków, z powodu znacznego rozwoju cukrownictwa w tych guberniach. Chów bydła ma tam znaczenie tylko drugorzędne.

W guberniach środkowych rolniczych stosunek gruntów ornych do przestrzeni ogólnych jest najznaczniejszy. Hodowla bydła mniéj jest rozwinięta z powodu braku łąk. Ze zbóż przeważa uprawa żyta i owsa.

W guberniach nad dolném korytem Wołgi i przy południowym Uralu pszenica jara zajmuje często 80%, a nawet 90% przestrzeni zasiewanych. W gub. Astrachańskiéj rolnictwo ma tylko znaczenie drugorzędne, u Kirgizów i Kałmyków nie istnieje wcale: na pierwszém miejscu jest chów bydła, a nad brzegami Wołgi rybołóstwo.

W okręgu Moskiewskim przemysłowym dla ludności wiejskiéj wielkie znaczenie ma przemysł przerabiający, a w gospodarstwie rolném uprawa lnu na włókno. W gub. Twerskiéj i Jarosławskiéj gospodarstwo mleczne zrobiło znaczne postępy: produkcya masła i séra, oraz sprzedaż świéżego mléka w gospodarstwach włościańskich odegrywają wielką rolę.

W guberniach białoruskich pierwsze miejsce zajmuje gospodarstwo leśne.

Najlepsze ustosunkowanie różnych gałęzi gospodarstwa rolnego spostrzegać się daje w Królestwie Polskiém, oraz w guberniach nadbaltyckich i litewskich. Gubernia Pskowska znana jest ze swéj produkcyi lnu.

W guberniach nad jeziorami północnemi na pierwszym planie stoi dotąd gospodarstwo leśne i lasy dają największe zarobki ludności włościańskiéj.

Z liczby gubernii koło gór Uralskich w gub. Wiackiéj nie ma zupełnie dóbr obywatelskich (większych), a w gub. Permskiéj są tylko bardzo duże dobra, zajęte przeważnie eksploatacyą bogatych kopalni i gospodarstwem leśném, dostarczającém opału zakładom górniczym.

Wogóle zbiory rolnicze zmieniają się bardzo z roku na rok i różnice co do wielkości zbiorów zwiększają się w kierunku od północo-zachodu ku południo-wschodowi. W tymże kierunku powiększają się różnice w wysokości cen na zboże i ceny pracy ludzkiéj, dochodząc do *maximum* na samém południu. Różnice te są daleko znaczniejsze w pasie czarnoziemnym, niż w innych okolicach.

Dochód ogólny (*brutto*) zależy w rolnictwie mianowiaie od dwóch czynników: wielkości zbiorów i ceny na zboże, a wielkość wydatków od ceny robocizny, przeto przy niedostatecznym zbiorze, przy dotkliwym upadku cen zboża i przy znacznéın podwyższeniu płacy robotnika podczas żniw, gospodarstwo rolne może przynieść straty. Dla większych gospodarstw najkorzystniejszemi są lata ze zbiorami prawie średniemi, albo tylko trochę przenoszącemi średnie zbiory. Zbiory złe, t. j. nieurodzaj, przynosi bezwarunkowo straty, zbiory zbyt obfite przy znacznéın podwyższeniu zarobków, mogą być bardziéj niepomyślnemi niż lata nieurodzaju. Tak np. w latach 1887 i 1888 wielkie urodzaje, przy niskich cenach zboża w ziarnie, a znacznéın podskoczeniu płacy robotnika, w niektórych miejscowościach gubernii stepowych, w dobrach większéj własności sprzętu zaniechano całkiem, ponieważ zbiór zboża kosztowałby drożéj niż wynosiła wartość wyprodukowanego ziarna. Dochody otrzymywane przez gospodarzy w pasie czarnoziemiu, a mianowicie w gub. południowych i południowo-wschodnich są bardzo różnéj wielkości i dobra ziemskie w tych okręgach dają często dochód znacznie przenoszący średni, albo naodwrót, przynoszą straty bardzo znaczne. To właśnie zmusza do zaopatrywania się w znaczne kapitały obrotowe i zapasowe i stąd w gub. noworosyjskich, z powodu ryzykowności zasiewania znacznych przestrzeni zbożem, dobra większe są najbardziéj obciążone długami.

Ponieważ większa część wypadków nieurodzaju wynika z braku wilgotności, jest skutkiem suszy, są one zatém zwykle połączone z brakiem paszy dla bydła, stąd téż ceny na bydło w latach nieurodzaju bardzo się zniżają. Z zebranych w ciągu 8 lat wiadomości okazuje się, że ceny bydła na wiosnę, mianowicie koni i krów, są zawsze wyższe niż jesienią. W okręgach, które najwięcéj ucierpiały od nieurodzajów, ceny jesienne wynoszą czasami zaledwie 25 do 30% cen wiosennych. W pasie czarnoziemnym takie różnice w cenach są daleko znaczniejsze, niż w innych guberniach.

U włościan ruskich bydło ma często charakter kapitału zapasowego i szczególniéj w guberniach czarnoziemnych ilość bydła u włościan nie jest w stosunku odpowiednim do potrzeb gospodarskich. Dowodem tego są częste wypadki braku paszy dla bydła, spowodowa-

ne rozszerzaniem pól uprawnych kosztem łąk i wypasów, oraz wypadki potrzeby zapożyczenia w téj części kapitału gospodarstwa włościańskiego, którą przedstawia inwentarz żywy.

Dochody gospodarstw rolnych w Rosyi bywają nadzwyczaj rozmaite. Przyczyny tego szukać należy w znacznych różnicach, zachodzących co do ilości rocznych zbiórów, w wysokości cen na zboże i cen pracy najemnéj.

Dla nadania większéj stałości przemysłowi rolniczemu, szczególniéj w pasie czarnoziemnym, najżyzniejszym i najobficiéj obdarzonym od przyrody, potrzebne są: najprzód ulepszenie techniki rolniczéj, a następnie rozwój przemysłu nierolniczego, w celu otrzymania odpowiedniego stosunku pomiędzy pojedyńczemi gałęziami gospodarstwa. Do gałęzi przemysłu rolniczego, oczekujących znaczniejszego rozwoju, należą: chów bydła, gospodarstwo mleczne, zaprowadzenie upraw specyalnych i t. p.

Witold Załęski.



Co piszą o przyszłych bitwach.

Nigdy jeszcze nie wychodziło tyle dzieł i broszur o sztuce i nauce wojennéj, jak w ostatnich piętnastu latach. Mnóstwo ich posiada literatura niemiecka i francuska. Ruska także ma ich już znaczną liczbę i to cennych. Wszystkie są pisane przez specyalistów wojskowych, bądź wyższe w swych armiach zajmujących stanowiska, bądź tylko oficerów, którzy, pokończywszy akademie wojskowe, od lat kilku zajmują się praktycznemi w swym zawodzie badaniami. Większa część tych prac, nawet obszerniejszych, pisana jest w sposób najzupełniéj przystępny dla cywilnych, którzy nigdy z karabinem czy szablą nie mieli do czynienia, *für die Laien*, jak drukują Niemcy. Dość takim cywilnym czytelnikom posiadać rozwiniętą wogóle inteligencyę, pewną umiejętność czytania i ciekawość, by te broszury, a nawet książki, nietylko z pożytkiem, ale i z zajęciem przeglądać mogli. Takie dzieło, jak *Volk im Waffen* von der Goltza, bardzo gruntownie i systematycznie napisane, obejmujące przeszło 500 stronic, czyta się tak łatwo jak powieść, chociaż nie można go czytać prędko i trzeba pewnéj w czytaniu systematyczności.

Niemcy oprócz kilku dzienników i miesięczników, wyłącznie poświęconych sprawom wojskowym, posiadały już dawniéj takich sztuki wojskowéj popularyzatorów. Major von Wieckede, von Rüstow zwłaszcza, już przed trzydziestu laty byli bardzo czytani. W Rosyi, o ile nam się zdaje, pierwszy na to pole wstąpił generał Fadiejew z swém dziełem „O orężnych siłach Rosyi". Za nimi poszli pisarze krytycznych historyi

dawniejszych wojen, jak generał Puzyrewski o wojnie z 1831 r., lub generał Woyde o wojnie francusko-niemieckiéj (do Sedanu, wydane w Warszawie w języku ruskim). Obie te prace, wyszłe przez parą laty, obok znakomicie wyłożonych wypadków, obejmują sporo bardzo ważnych teoretycznych poglądów, których trafność i głębokość nawet filister ocenić może, byle czytał inteligentnie te, równie zajmująco, jak pracowicie i gruntownie napisane wykłady. Wiele téż mógłby skorzystać z prac generałów: Leera, Krapotkina, Dragomirowa, których u nas nie raz cytowano, mówiąc o sprawach wojskowych, dziś niepodobnych do pominięcia w zajmującém się kwestyami i sprawami ogólnemi jakiém bądź piśmie. Jakże nauczającemi są téż np. osobiste wspomnienia, np. listy generała Todtlebena, albo d-ra Botkina z pod Plewny. Uczeni wojskowi niemieccy jeszcze i dotąd, według nowych źródeł, obrabiają nietylko ostatnie swe zwycięstwa, ale nawet i wojny Fryderyka Wielkiego.

Widocznie, w Niemczech przynajmniéj, ten rodzaj literatury popłaca, bo wydawcy chętnie drukują owe prace, gdyż szybki i szeroki znajdują odbyt. Nic dziwnego. Od czasu zaprowadzenia wszędzie powszechnéj służby wojskowéj, od czasu rozrostu armii do milionowych rozmiarów, pomimo wszelkich zapewnień pokojowych, każda rodzina ciekawie bada, jakie trudy i niebezpieczeństwa czekają, jakie losy spotkać mogą jéj syna lub ojca wrazie wojny, któréj rozmiary, zadania i trudności w co raz nowém co lat kilka, w miarę nowych wynalazków, przedstawiają się świetle. „Zrozumienie urządzeń siły zbrojnéj — pisze niemiecki autor świéżo wydanéj broszury o działaniu dzisiejszych mas wojennych, pojęcie użycia téj siły w wojnie i natury téj wojny, nie w małéj mierze należy także do bojowéj gotowości narodu. Większa część wojen przedstawi współczesnym rzeczy nowe i niespodzianki, wynikające w części z niedostatecznego ocenienia naprzeciw stojących duchowych, moralnych i materyalnych sił, z drugiéj strony może nauczyć, że założenia nie zgadzały się z prawdziwą naturą wojny. Jeżeli starannie przeprowadzany racyonalny rozwój nauki wojennéj w wojsku i w narodzie, z którego wojsko to wychodzi, występuje przeciw tym niespodziankom, dochodzi się do przekonania, że prawidła sztuki wojennéj ciągłe odmienne znajdują zastosowania, że każda epoka ma właściwy sobie sposób prowadzenia wojny. Z drugiéj zaś strony wyrabia się także przekonanie, iż nie podobna przeszkodzić, by nieustanny rozwój środków wojennych, nie rozszerzał przestrzeni niewiadomego, co koniecznie w każdéj wojnie w sferze taktycznéj i psychicznéj wywoływać musi niespodzianki, którym stosunki pokojowe nie mogą bezwarunkowo zapobiédz..."

Trochę ciemne, ale zdrowe to zdanie, potwierdza powszechną opinię, że z powodu nowéj broni, nowych środków, nieznanych w historyi ogromnych mas wojennych, dopiéro nowa wojna ostatecznie nauczy, jakie będą następstwa tych wszystkich przerażających nowości. By zaś następstwa te nie przeraziły zanadto nietylko wojska, ale i narodu, ten powinien się uczyć i z sztuką wojenną, o ile możności, zapoznawać. Taki cel ma np. broszura majora Keima, któréj treść podać zamierzamy. Według jéj autora, piszący wykłady o prowadzeniu wojny, łatwiejsze mają dziś zadanie (chociaż także wcale nie łatwe), a niżeli piszący o n a u c e p r o w a d z e n i a b i t e w—o t a k t y c e. Trudności te powiększa niezgodność z regulaminami wojskowemi. Regulamin jest prawem, czy przepisem niewzruszonym, nauka zaś o prowadzeniu bitew powinna być zupełnie i we wszelkim kierunku niezależną, nie znać żadnych dogmatów, nie powoływać się na żadne powagi, jeno na prawdę i rzeczywistość. Pomimo tego, gdy do zastosowań przychodzi, staje się ona nieraz ociężałą, pedantyczną, zbyt ostrożną. Według Keima, wrogiem rzeczywistości wojennnéj jest plac musztry, przywiązanie do przeszłości tych, co zbawienie widzą tylko w starém, w wypróbowaném, w tém, z czém się sami zżyli. Widocznie major Keim ma na myśli starych generałów. Przyznaje wszakże, iż dzisiejsza nauka prowadzenia bitew jeszcze wcale nie doszła do ostatecznych wniosków, że tu i owdzie posługuje się formułami, nie obiecującemi powodzenia w przyszłéj wojnie.

Nauka ta wielokrotnie z niechęcią wstępowała na nowe tory, na jakie wstąpić musiała z powodu niesłychanych postępów techniki, udoskonalonéj broni i koniecznych stąd potrzeb zmiany sposobu prowadzenia boju. Swojego czasu linearna taktyka także uporczywie trzymała się przeżytych form i zasad, dopóki klęski, te krwawe nauki na polu bitew, nie zmusiły jéj do ustąpienia. I teraz długo trzeba było czekać, zanim zmienione warunki bitew uwzględniono w kształceniu żołnierza. Pruska kompaniowa kolumna, która nawet w epoce małokalibrowego repetierowego karabina żyć może, potrzebowała 60 lat, by ją wszędzie w regulaminach zamieszczono. Pomimo tego i w pruskiéj armii trzymano się długo form dawno przeżytych. Usprawiedliwiano zwłokę powoływaniem się na tradycyę. Tradycya — piękna to rzecz, ale się z nią bitew nie wygrywa, tylko łatwo przegrać je można.

Majorowi Keim wyłącznie chodzi o taktykę bojową piechoty. Wprawdzie, przyznaje on, nauka prowadzenia bitew jest umiejętnością, która się musi opiérać na doświadczeniu, na praktyce wojny; ale z drugiéj strony nie można czekać, aż w przyszłéj wojnie nowe żywioły technicznéj i taktycznéj natury z matematyczną uwydatnią się pewno-

ścią. Czekać na to bez niebezpieczeństw niepodobna. Gdy Prusy zaprowadziły iglicówki, wszyscy, nie posiadający takich karabinów, przepowiadali im najzupełniejsze *fiasco* przy pierwszém poważném starciu. Cyframi niezbicie wykazywano szkody, jakie iglicówki przyniosą. Prusy jednak odważyły się na uzbrojenie armii iglicówkami i na wykształcanie żołnierzy odpowiednie, nie czekając na próbę wielkiéj wojny. Następstwa są wiadome. Sadowa! Gdy przed r. 1806 miano wszędzie zaprowadzić tyralierów i łańcuchy strzelców, uważano to także nie tylko za obrazę tradycyi, nietylko za degradacyę grenadyerów i muszkieterów, ale za rodzaj lekkomyslnéj potworności taktycznéj.

Kto jednak odpycha nowe idee dlatego tylko, że są nowemi, tego z pewnością zjada rdza i pléśń, chociażby krętaniną i nadmiarem roboty usiłował je zaciérać. Ta złowieszcza rdza tak zgubnie oddziaływa w nauce prowadzenia bitew, jak w wielu innych odmiennéj natury sprawach, a jest uparta. Jeszcze i dziś po doświadczeniach wojen z r. 1866 i 1870 przekonać się o tém można, rozpatrując bez przesądu wojenne wypadki dziejowe i tabele strzałowe w szkołach strzelniczych lub poligonowych dla piechoty i artyleryi. Wprawdzie taktyce bojowéj téj wszechwładnéj gałęzi sztuki wojennéj, nie przychodzi łatwo zerwać z zasadami, za nietykalne dotąd uważanemi, ale będzie musiała zdobyć się na tę odwagę, gdy się zajmie prozaiczném wprawdzie, ale praktyczném badaniem działalności ognia w bitwie, nie poprzestając na uczeniu i popiéraniu tego, co w przepisach i regulaminach stoi.

Gdy chodzi o ogień i ognia tego skuteczność, która powinna być początkiem i końcem nauki o bitwach, bo ogarnia sumę bojowéj działalności, należy zaznaczyć to, o czém teorya często jeszcze zapomina: że dopóki poważna część artyleryi nieprzyjacielskiéj jeszcze może strzelać, to dziś, w normalnych stosunkach niesłychanie trudnym jest nawet wstęp do ataku piechoty, nie mówiąc już nic o tego ataku przeprowadzeniu. Większa część dzieł o taktyce jest wprawdzie pisana przez oficerów piechoty, ale badanie rzeczywistości tego, co się już zdarzało na polu bitwy i tego, co się w przyszłości zdarzać m u s i, wykazuje: że przy dzisiejszéj, tak wydoskonalonéj, od lat dwudziestu celności strzałów działowych, nie ma żadnych widoków atak piechoty, zmuszony w głównych swych przejściach wyrabiać się pod ogniem artyleryi. Wprawdzie wypadki wojny z 1870—1871 nie zupełnie się z tém twierdzeniem zgadzają, ale w wojnie téj artylerya niemiecka i pod względem liczby i pod względem techniki i pod względem organizacyi była wyższa od francuskiéj. Z drugiéj strony w każdéj wojnie zachwianie moralne nieprzyjacielskiéj piechoty głównie jest dziełem ar-

tyleryi. Nawet w wojnie z 1870 r., gdy nieprzyjacielska artylerya nie została była dostatecznie rozbitą, gdy jeszcze zdolną była działać, piechota niemiecka często nie mogła samodzielnych zwycięstw odnosić. Zważmy, że od r. 1870 dalekość skutecznych i dobrych strzałów artyleryi, równie jak ich celność, na skutek udoskonaleń technicznych i prochu bezdymnego, bardzo wzrosła, że zwłaszcza pociski szrapnelowe stały się wielce morderczemi. Szrapnel jest to granat zawierający w sobie pewną ilość kul mniejszych, niby dawna puszka kartaczowa, rzuca się na wielką, więcéj niż wiorstową odległość. Szrapnel dotknąwszy ziemi pęka i swemi kartaczami, oraz czerepami zasypuje przestrzeń długą na 300 kroków przeszło, a na 120 szeroką. Jeżeli przyjmiemy, że krok zwyczajny równa się łokciowi, to ów jeden pocisk szrapnelowy sieje śmierć i rany na przestrzeni 36,000 łokci kwadratowych przeszło. W wojnie z r. 1866 artylerya pruska była słabsza od austryackiéj, ale wyższość iglicówek piechoty wynagradzała ten brak; pomimo tego artylerya austryacka nieraz bardzo utrudniała zwycięstwo piechocie pruskiéj.

Powszechnie już dziś uczą, że wstęp do bitew stanowi pojedynek między artyleryami. Keim jest przekonany, że artylerya nietylko w introdukcyi główną rolę odegra w przyszłych bitwach, ale że bitwy te w najważniejszych chwilach przez artyleryę prowadzone będą. Dziś wszystkie armie posiadają prawie równą co do jakości artyleryę i różnic takich jak w r. 1870 już nie będzie. Wówczas zwykle niemieckie działa przedewszystkiém rozbijały baterye francuskie i zmuszały do milczenia. Skutkiem nowego zwrotu wielce utrudnioném będzie dla piechoty występowanie w większych masach na potrzebną odległość (od nieprzyjaciela), chociaż odległość ta musi być dwa razy większą, aniżeli przed laty dwudziestu. Już w bardzo znacznéj odległości piechota musi przyjąć albo bardziéj giętką formacyę swych linii, albo rozsypać się w łańcuchy strzelców. Z powodu artyleryi konieczném się więc stało ograniczenie posuwania naprzód wielkich mas, chociaż to prowadzenie bitwy bardzo ułatwia. Keim się skarży, że tych zmian w warunkach bojowych do téj pory nie uwzględniono należycie.

Tak samo nie uwzględniają jak należy ognia dzisiejszéj piechoty. Wiadomo, iż siła dzisiejszych pocisków karabinowych jest tak wielka, że na znaczną nawet odległość mogą na wylot przewiercić trzech, a nawet czterech ludzi idących jeden za drugim. Wielka stosunkowo płaskość linii przebiegowéj pocisku i prawie zupełny brak dymu ułatwiają celność strzałów atakowanym, zwłaszcza téż artyleryi. Długo bardzo, aż do naszych czasów, bo jeszcze w ostatnich wojnach

uważano śmiałość posuwanie się naprzód za pierwszy warunek powodzenia, lekceważąc ogniową stronę bitwy.

„A jednak już pod Kollinem (za Fryderyka II) piechota pruska przekonała się, co kosztuje próba odnoszenia zwycięstwa samém mechaniczném parciem naprzód, wspieraném przez najwyższe bohatérstwo, przeciw ogniowi artyleryi i piechoty nieprzyjacielskiéj. Jak kolosalna jednak zachodzi różnica pomiędzy ogniem dzisiejszym a ówczesnym. Jeżeli w bitwie pod Kollinem piechota pruska, straciwszy prawie 50 procent swych ludzi, była prawie wytępioną, cóżby się z nią stało dziś. Przypominamy tutaj bohatérski ruch naprzód 38 brygady piechoty pruskiéj w d. 16 sierpnia 1870 r. (bitwa pod Mars la Tour), gdzie rozczarowanie było jeszcze boleśniejsze.”

Toż samo ponowiło się w dwa dni późniéj pod St.-Privat (Gravelotte). Nie zapomnieliśmy o jednym z ówczesnych raportów, według którego pułk gwardyi pruskiéj, zwany, jeżeli nas pamięć nie zawodzi, pułkiem Elżbiety, który z wielką nieustraszonością atakował pozycye francuskie i liczył przed bitwą 2,600 kilkadziesiąt ludzi, nie zdołał dotrzéć do czoła tych pozycyi, straciwszy przez drogę przeszło połowę szeregowych i blisko dwie trzecie swych oficerów. Szaszpoty były wprawdzie bardzo dobremi karabinami, lepszemi od iglicówek pruskich, ale czém-że one są w porównaniu z dzisiejszemi karabinami systemu Mausera, czy Lebela lub Manlichera. Napoleon I-szy dawno powiedział: „Ogień jest wszystkiém, a reszta niczém”. Jednakże, jak z ubolewaniem zaznacza Keim, jeszcze dziś znajdują się generałowie, utrzymujący, że piechota może odnosić tryumfy energiczném posuwaniem się naprzód, bez uwzględniania następstw strzałów, należnego im z praw balistyki. Śmiały ruch naprzód, bez względu na ów ogień, jest istotnie rzeczą bohatérską, ale efektu bojowego nie wywoła, bo zabraknie ludzi do zużytkowania go. Celem bitwy nie jest znoszenie mężne strat i zniszczenia, jeno odniesienie zwycięstwa, co się dziś nie obejdzie bez tak kolosalnych strat, że przyjdzie poświęcać całe pułki, całe dywizye i więcéj, by zdobyć zwycięstwo. Wszyscy o tém wiedzą, każdy dobry żołnierz jest na to przygotowany; ale nauki o prowadzeniu bitew nie może być zadaniem szerzenie fałszywych zapatrywań lub upatrywanie jakiéj zasługi dowództwa w narażaniu wojsk na wielkie straty bez koniecznéj potrzeby.

Wobec tak podniesionéj i spotęgowanéj działalności ognia piechoty i artyleryi, rozumne dowództwo musi się dziś zrzec wszelkich teoryi, dążących do bezpośredniego odrazu natarcia na nieprzyjaciela z odległości, która wystawiałaby atakujących na niezawodne wytępienie, bez zrządzenia nieprzyjacielowi wielkiéj szkody. Jeszcze nie-

dawniéj stawiano żądanie: iż należy bez wystrzału zbliżyć się do nieprzyjaciela o 250 do 300 metrów tylko (około 420 do 500 kroków). Teoryi téj broniono uparcie nawet po wojnie z r. 1870, jakkolwiek ta wojna na każdym kroku wykazywała jéj niedorzeczności. Bronili jéj zaś nietylko teoretycy, ale nawet tak zwani praktycy. Od owéj pory, skuteczność ognia piechoty i artyleryi więcéj jak podwoiła się. Zdaje się więc, iż rozwój bitwy i rozpoczęcie działania piechoty należy podzielić na pasy daleko szersze od dotychczasowych. Dowodzenie, że piechota powinna korzystać ze stosunków terenu i osłon, jakie on przedstawia, by podsunąć się pod nieprzyjaciela na możebnie najbliższą odległość, na wiele się nie przyda. Bo nieprzyjaciel wcześniéj z tych rzeczy skorzysta, by swobodną dla strzału przestrzeń zrobić jak najdalszą. Na wschodzie Europy zresztą gołe płaszczyzny tak przemagają, iż o osłonach w załomach gruntu nie ma co mówić. Już pola bitew w wojnie francusko-niemieckiéj po największéj części przemawiały za tém, że na owe osłony liczyć nie należy, że zatém daleko lepiéj przyjąć za zasadę rozciągnięcie więcéj w tył linii boju i rachować raczéj niekorzyści, aniżeli korzyści, jakie pole bitwy przedstawić może.

W dzisiejszéj taktyce nie ma żadnego usprawiedliwienia dla zasady: że z początku należy się zbliżać do nieprzyjaciela bez bitwy. Nieprzyjaciel atakowany, przy odrobinie zimnéj krwi, wcale się tém nie przestraszy, piechota zaś atakująca przy wzrastających w miarę posuwania się ubytkach, będzie tracić na moralnéj i bojowéj sile. Dziwacznie to zresztą wygląda, że, dając żołnierzowi w ręce tak doskonałą broń jak dzisiejsza, celną i skuteczną na wielkie nawet odległości, nie pozwalamy mu téj broni używać inaczéj, jak na odległości bliskie. Podobne zalecenia mogły mieć sens przy broni mniejszéj wartości. I dziś mogą się zdarzyć wypadki, pozwalające na zbliżenie się znaczne do wroga bez wydania strzału, ale to będą wyjątki. Na wyjątkach nie można budować zasad. Wprawdzie odpowiedzą nam, że czy tak, czy tak, zawsze trzeba będzie zetrzéć się z wrogiem bezpośrednio, bo nieprzyjaciel mężny samym ogniem nie da się wyprzéć z pozycyi. Uwaga słuszna, ale nie ma nic wspólnego z teoryą podchodzenia do nieprzyjaciela bez strzału.

W każdym na seryo podjętym ataku tém prędzéj cel się osiągnie, im wcześniéj rozpocznie się dzieło zachwiania wroga za pomocą ognia. Dlaczego bataliony fizycznie i moralnie osłabione, mają więcéj widoków śpieszniejszego i bliższego podejścia do nieprzyjaciela, aniżeli bataliony posuwające się pod lepszemi taktycznemi i moralnemi warunkami. Cała ta bezstrzałowa logika mogłaby coś znaczyć, gdyby się szło na jakiego mniéj wartego wroga, który i gorzéj strzela i nie posiada

odwagi do wytrzymania bliskiego ataku. Nauka jednak nie może się opiérać na takich przypuszczeniach. Musi ona przyjmować za zasadę, że mamy do czynienia z nieprzyjacielem równym nam wartością. „Nie może téż ona zasięgać rady od pięknie zabarwionych obrazów bitew i od podobnież zabarwionych raportów o bitwach."

Z tego zdaje się wynikać, że dziś taktyczna odporność jest silniejszą formą bitwy, aniżeli zaczepność, bo więcéj sprzyja rozwojowi ognia. Wniosek podobny nie zawsze może być prawdziwy. Już Clausewitz wykazał, że „teoretycznie" obrona jest silniejszą formą walki, ale wiedząc, że sama tylko odporność nie może nigdy osiągnąć wielkich korzyści, zalecał łączenie obu form, czyli tak zwaną obronną zaczepność. Właściwie każda bitwa między dwoma równéj wartości wrogami zawsze nosiła ten charakter, ponieważ, wedle przebiegu i zmiennych kolei boju, następują téż zmiany w formie jego prowadzenia. Zresztą, tak obronność jak zaczepność z jednéj i z drugiéj strony, zostają w ścisłém połączeniu z położeniem strategiczném. Dlatego ową, teoretycznie najskuteczniejszą, odporną zaczepność przeprowadzać zawsze należy, chociaż odporność jest tylko środkiem, by nieprzyjaciela zmusić do takiego rozwoju szyków, którаby go o jak największe przyprawiła straty, by w danéj chwili samemu wystąpić zaczepnie. Kiedy armie zajmowały mniéj przestrzeni w bitwie, a wojska walczące stały bliżéj siebie, łatwiéj i bezpiecznéj było przechodzić z jednéj formy w drugą; dziś jednak, kiedy armie zajmą trzy lub nawet czteromilowe przestrzenie wzdłuż, bardzo trudna stanie się podobna robota, pomimo wszystkich balonów na sznurze uwięzionych i rozmaitych telegrafów polowych.

„Jakkolwiek doświadczenie wykazało, że zaczepność, tak strategiczna jak taktyczna, przedstawia większe rękojmie zwycięstwa, nie uwalnia to jednak nauki bitew od obowiązku, pisze major Keim, wykazania, jak bardzo wzrosły trudności ataku i jak wiele zyskała obrona przez wydoskonalenie środków zniszczenia." By obowiązek swój spełnić, nauka ta musi bitwę poprostu anatomicznie rozebrać, powikłany bardzo związek między przyczyną i skutkiem wykazać. Jeżeli to robi skrzętnie, musi zawsze do tego wracać, że nietylko naukowo, ale i w surowéj rzeczywistości, skuteczność działalności odpornéj stoi dziś bardzo wysoko. Potrzeba, by ci, co pomimo wszystkiego mają przekonanie i wolę trzymania się zasady zaczepności i ataku, jak zresztą być powinno, bez fałszywych iluzyi podejmowali się tego ciężkiego zadania. Wówczas z placu manewrów zniknie mnóstwo rzeczy, które tylko tém sobie wytłómaczyć można, iż do téj pory przez pewną naiwność nie chciano "pojąć," jak niemożebnych rzeczy wymaga od wojska

niedojrzała nauka bitew i na jakie rozczarowanie byłby kraj wystawiony, gdyby tego rodzaju naukę stosowano na polu bitwy.

Najprzód tedy major Keim występuje przeciw taktyce szyków w bitwie (*Treffentaktik*), która jeszcze w nauce pokutuje, a należy do czasów dawno minionych. Już na polach bitew w wojnie siedmioletniéj rzadko się spotykamy z tą *Treffentaktik*. Cokolwiek od owego czasu wymyślono w użyciu pojedyńczych szyków (*Treffen*), w ich przechodzeniu, luzowaniu się, w atakach szykiem eszelonowym i t. p., cokolwiek jeszcze dziś jest w użyciu na placu manewrów, wszystko to jest pedancką zabawką, bez żadnéj wartości w bitwie rzeczywistéj. Był czas, kiedy i jazdy chciano używać wedle taktyki owego potrójnego szyku, biorąc do tego wzory z czasów frydrykowskich. Gdy się jednak lepiéj rozejrzano i przekonano, iż to do niczego mądrego nie prowadzi, nawet pruski regulamin dla jazdy usunął tę przefajnowaną taktykę trzech szyków, czy trzech linii. Przełożono punkt ciężkości na pierwszy szyk czyli linię, nie wiele licząc na stanowczość działania tylnych szyków, przynajmniéj przeciw jeździe.

Otóż dziś i dla piechoty ta *Treffentaktik* nie ma racyi bytu. Przy dzisiejszéj dalekonośnéj broni, kilka oddziałów idących w oznaczonych odstępach jeden za drugim, w myśl owych szyków już dlatego nie ma sensu, że dziś przeważa naturalna dążność do rozwinięcia jak największéj siły ognia. To rozwinięcie może miéć miejsce tylko w przodowéj linii boju. Linia zaś owa już na znaczną odległość takie straty poniesie, że natychmiastowa działalność tylnych oddziałów dla przejścia do właściwego ataku jest wyłączoną. Onego czasu, gdy tylne linie mogły stać blisko za przodową, można było wzmocnić pierwszą przez ich, prawie nie naruszoną, siłę i, bez zbyt wielkich strat, doprowadzić je do owéj pierwszéj. Tylko przez krótkie pasy podogniowe musiały przechodzić tak pierwszy eszelon, jak i następne. Można téż było pod zasłoną pierwszéj linii bojowéj trzymać większe masy, by je poprowadzić do ostatecznego ataku. Dziś jednak pas podogniowy z konieczności będzie tak szeroki, iż tylne linie nie mają wcale widoków dotrzéć do nieprzyjaciela w takim stanie i w takiéj sile, by mogły samodzielnie stanowczy osiągnąć skutek. Tylnych szyków i linii naprawdę nie będzie, gdy rozstrzygająca chwila nastąpi. Przyszłe zapasy piechoty będą długą całe godziny trwającą i nader morderczą walką, ciągle wymagającą ściągania na front tylnych oddziałów, które skutkiem tego zamieniają się po prostu w zbiorniki, przeznaczone do zasilania przodowéj linii bojowéj, do zajmowania miejsca ubytków, i to w takim rozmiarze, że w przesileniowéj chwili rozporządzalnemi będą tylko szczątki pierwiastkowych szyków dla poparcia stanowczego ataku.

Pomysł rozstrzygania bitwy przez atak masami, za pomocą zwartych eszelonów od tyłu posuwanych, musi uledz wielkiemu ograniczeniu. A najprzód mas rozporządzalnych wcale pod ręką nie będzie. Zużyto je z konieczności dla podtrzymania linii ogniowéj. Powtóre, niepodobna będzie takich mas przeprowadzić aż do nieprzyjaciela przez pas ogniowy. Już historya ostatniéj wojny podobne próby potępia. Gdzie tylko próbowano przeprowadzenia ataku w ten sposób, atak ten zawsze się nie udawał, jeżeli nieprzyjaciel posiadał jeszcze jaką taką siłę odporną, a okolica nie przedstawiała wyjątkowo korzystnych dla atakującego warunków. W przyszłych bitwach rozstrzygnięcie tak się przedstawi: piechota właściwéj linii bojowéj, jeżeli szczęśliwym wypadkiem udało się zbić i uciszyć artyleryę nieprzyjacielską, po wielkich stratach, tak wielkich, że stan téj piechoty równać się będzie rozbiciu, może będzie jeszcze posiadać tyle mocy bojowéj, iż z wytężeniem ostatnich sił, ulegając jakiemuś nadzwyczajnemu bodźcowi, okaże się zdolną rzucić się do szturmu. „Wyrazu może, użyłem umyślnie, pisze major Keim, bo mi stawiać będą zarzuty. Cóż zaś mówi historya wojen? Przypomnę tylko bitwę pod St. Privat-Gravelotte, w któréj niemiecka armia co do piechoty, a zwłaszcza co do artyleryi miała znaczną wyższość nad nieprzyjacielem, a pomimo tego na żadnym punkcie linii bojowéj nie udało się przeprowadzić czołowego ataku, w którymby piechota własną siłą osiągnęła wyparcie nieprzyjaciela. Tak samo było w bitwach pod Spicheren i pod Wörth.

Już w r. 1870, pomimo przewagi artyleryi niemieckiéj i męstwa, czołowe ataki piechoty w liniach nie osiągnęły nigdzie stanowczego powodzenia. Dopiéro nacisk na skrzydło, albo wielka liczebna przewaga, albo téż brak opiekuńczéj artyleryi przy piechocie nieprzyjacielskiéj doprowadzały do następstw, które „w opisach bitew" często się przedstawia jako dzieło czołowego ataku. W przyszłości, tak jak dotąd, piechota krwią swoją musi pierwsza torować drogę do zwycięstwa. Za wiele jednak żądanoby od niéj, by, przy doskonałości broni dzisiejszéj, zdobywala stanowczy zwrot boju atakiem czołowym. Równałoby się to poświęcaniem jéj na marne. Tajemnicy zwycięstwa trzeba szukać w innych czynnikach, a nie w tém, prawie mechanicznie zbudowaném, pojęciu o przebiegu piechotnego boju, z którego w ten sposób wyłączają psychologiczne względy, grające jednak rozstrzygającą rolę.

Na równie błędnych zasadach opiéra się dotychczasowa nauka o użyciu rezerw, praktykowana dotąd na manewrach. Powszechnie uczą, że rezerwy służą do tego, by ich użyć na punkcie, na którym

wódz chce bitwę rozstrzygnąć. Rzecz to niby bardzo prosta. Pytanie tylko, czy tu chodzi tylko o wywarcie przez rezerwy nacisku, jak wywierają tylne linie, czy téż rezerwa ma działać samoistnie na jakimś punkcie pola bitwy, zagrażając taktycznie skrzydłu lub tyłom nieprzyjaciela. Otóż pierwszy z tych celów już dziś osiągnąć się nie da, chyba że nieprzyjaciel będzie już tak zupełnie zdemoralizowany, iż musi zrzec się ogniowego oporu. W bitwie pod Gravelotte korpus II niemiecki użyty w tym celu i w téj formie, jako rezerwa naciskająca nieprzyjaciela, który już kilkogodzinną bitwę przechodził, nie osiągnął celu. A jednak Niemcy mieli tu znaczną przewagę tak w piechocie, jak w artyleryi. Jak straszliwe będą następstwa dzisiejszéj broni, świadczy bitwa koło St.-Hubert. Pod koniec udział w bitwie brało 44 kompanii z rozmaitych pułków, większa część tych kompanii tak straciła swoją wojskową spójnię, że to krwawe zwycięstwo wcale nie było warte podobnie wielkich ofiar. Pomimo wszystkich wysileń, atakujący Niemcy nie mogli dotrzéć do głównéj linii bojowéj Francuzów. Podobnych przykładów ostatnia wojna nie mało przedstawia. A jednak o ileż niższemi od dzisiejszych karabinów były iglicówki jednéj i szaspoty drugiéj strony.

Według majora Keim, a zdanie to coraz usilniéj popiérają i rozwijają specyaliści czy to niemieccy czy inni, których czytać mogliśmy, dotychczasowa taktyka bitew, czy to ze względu na działanie tylnych linii, czy téż rezerw, w przyszłych bitwach, nie przedstawia widoków stronie atakującéj. Poświęcenie wojska i największa nawet energia w dowództwie rzeczy nie zmieni. Pod tym względem wielką naukę daje różnica taktycznych powodzeń w wojnach tak bliskich siebie, jak z roku 1866 i 1870. W wojnie z r. 1866 jeszcze nieraz udawały się czołowe ataki, przygotowane przez szybki ogień atakującego (iglicówki pruskie), popiérane przez tylne eszelony lub rezerwy. W r. 1870 rzecz się zmienia. Też same wojska, którym w r. 1866 podobne ataki wielkiemi masami udawały się, w r. 1870 nie mogą ich skutecznie używać przeciw nieprzyjacielowi, rozporządzającemu równą potęgą ognia ze swoich odtylcówek. Co więcéj, w r. 1866 jeszcze się udawały bezpośrednie taktyczne próby okrążania, w r. 1870 już o nie trudno. Taktyczne okrążenie wogóle jest także pozostałością przestarzałéj nauki bojowéj. Skrzydła były dawniéj daleko bardziéj zagrożone, aniżeli są dziś, bo przeciwnik mógł się wówczas zbliżać na taką odległość, że całéj linii bojowéj zagrażał. To przybliżenie się do słabych punktów atakowanego musiało w okrążanym budzić obawy, niekorzystnie oddziaływać pod względem moralnym, kiedy dziś podobne ruchy na tak znaczne odległości mogą być wstrzymywane skutecznym

ogniem okrążanego, iż to wyłącza wszelkie niespodziewane zaskoczenia. Dawniéj w podobnych razach groziło niebezpieczeństwo, że przez pomyślny atak na skrzydło, nieprzyjaciel może całą ściśniętą linią atakowanego zepchnąć w nieładzie na kupę. Dziś, kiedy wojska nie rozstawiają się już w tak ścisłém zetknięciu, niebezpieczeństwo podobne bardzo zostało zmniejszone. Oprócz tego wielka rozległość ostrzeliwanego pola bitwy daje atakowanemu czas do przedsięwzięcia środków zaradczych.

Co do rezerw i skupienia wielkich mas, by w rozstrzygającym punkcie linii bojowéj wykonać ostateczny atak, nauka bojowa zostawia zawsze okolicznościom wybór chwili tego stanowczego ataku, czy na środek, czy na skrzydła. Teorya ta datuje od wojen napoleońskich, w których nieraz takiego rozbijania linii nieprzyjacielskiéj używano. Dziś ta recepta powinna być bezwarunkowo z nauki bojowéj usunięta. Podobny bowiem atak ostatecznie na to wychodzi, że staje się atakiem czołowym wielkiemi siłami wykonywanym. Wyżéj wykazano trudności i małe widoki czołowego ataku. Dziś starać się przedewszystkiém należy o działanie na które ze skrzydeł, o odkrycie słabszego punktu w którém z nich, o zużytkowanie go, by przerwać ogniową linię wroga i zachwiać go moralnie i przez to zyskać rękojmię zwycięstwa.

Dotychczasowa nauka bojowa przywiązuje téż jeszcze wielką wagę do jaknajgłębszego rozstawienia wojsk, czyli do walczenia z głębi. Myśl nie jest zła, opiéra się z jednéj strony na oszczędzaniu sił, z drugiéj na usprawiedliwionéj chęci trzymania, o ile się da, jaknajdłużéj wojsk w garści. Teoretycznie ma to także przeszkadzać rozdrobnieniu wojsk. Jednakże zrobić należy uwagę, że głębokie rozstawianie wojsk zapewnia dziś ogniowi nieprzyjacielskiemu, a zwłaszcza artyleryi, obfite i łatwe żniwo. Artylerya głośno to mówi, że dla niéj najprzyjemniejszemi są głębokie rozstawienia piechoty nieprzyjacielskiéj. Oprócz tego, głębokie rozstawienie nie zgadza się z zasadą jaknajzupełniejszego i całkowitego wyzyskania własnéj siły ognia. Przewagę ogniową w pierwszéj linii można zyskać tylko przez szeroko rozwinięte i, o ile się da, obejmujące nieprzyjaciela linie. Dla odporu tylko może w pewnych razach głębokie rozstawienie być korzystném. Rzecz rozstrzygają warunki miejscowe i czasowe.

Z tych uwag majora Keima widzimy, że dzisiejsze wydoskonalenie działalności ogniowéj w przyszłych bitwach niesłychanie utrudni powodzenia taktyczne ataku, że w ostatecznéj instancyi rzecz rozstrzygnie wyższość w prowadzeniu boju i wykształcenie bojowe, zatém przeważnie pierwiastki duchowe. Te pierwiastki sprawiały, że

zwłaszcza w wojnach z r. 1793 i 1794 wojska republikańskie francuskie odnosiły zwycięstwa nad nieprzyjacielem moralnie wyższym. Dziś żadna armia nie będzie żądała wszystkiego od dowództwa, musi ona także liczyć się z uzdolnieniem wojsk do skutecznego działania. Uczyć się więc trzeba i rozmyślać.

Major Keim zwraca baczność na niektóre punkta ważniejsze, ale zarazem na niektóre błędy w dotychczasowéj nauce. Czuwanie tém tu konieczniejsze, iż rzeczy bardzo często się zmieniają lub zmiany potrzebują i to bardzo prędko. Tak np. p. Keim utrzymuje, że regulamin niemiecki dla piechoty, wydany w r. 1888, już w r. 1890 był przedawniony; w artykułach dotyczących bojowego wykształcenia, tak kolosalne postępy przez owe dwa lata zrobiła technika balistyczna.

Szczególniéj niezmierną wagę przywiązuje on do wynalazku prochu małodymnego (zwykle nazywają go bezdymnym). Regulamin niemiecki przyjmuje za zasadę, że formą bojową dla piechoty jest łańcuch strzelców, oraz że wykształcenie żołnierza ma być zgodne z wymaganiami wojny. Stąd wynika, że podstawą tego wykształcenia winna być przedewszystkiém umiejętność strzelecka, tak kierowana, by żołnierz nietylko ją posiadał dla własnego użytku, ale i umiał ją stosować odpowiednio do ognia nieprzyjacielskiego. Zatém idzie, według Keima, że oficerowie piechoty muszą się bliżéj zapoznać z działalnością ognia artyleryi, muszą więc uczęszczać na ćwiczenia poligonowe, by badać rozrzucenie szrapnelowych pocisków i innych, ażeby w boju odpowiednie rozkazy wydawać żołnierzom.

Onego czasu główną wagę pokładano na wymusztrowanie i wyuczenie żołnierza maszerowania w zwartym szeregu. Wprawdzie od lat wielu już się przekonano, że na polu bitwy dziś rzeczy te nie mają znaczenia. Ale rutyna i tak zwane poszanowanie tradycyi jeszcze bardzo wiele z onych czasów zachowały, kiedy maszerowanie w linii i pod linią, z wysokiém podnoszeniem nóg, o przypuszczalnéj dzielności żołnierza rozstrzygało. Dziś wszyscy teoretycy wojskowi zgadzają się, że początkiem i końcem, celem i przedmiotem wykształcenia żołnierza, jest pojedyńczy bój ogniowy i dobre, to jest celne, użycie karabinów. Za konieczny dodatek do tego wykształcenia Keim uznaje fortyfikacyjne użytkowanie gruntu (osłony i zużytkowanie ich), oraz bitwy nocne, które w przyszłości prawdopodobnie bardzo częstemi będą. Zaniedbanie tych przedmiotów może w wojnie ciężko dać się we znaki czy to przy ataku, czy przy obronie.

Za wielkiego wroga rozumnego wykształcenia żołnierskiego, Keim uważa tradycyjne usiłowanie, by manewra i musztry bojowe przedstawiały estetyczną formę, harmonijną jednostajność rzeczy, niepodobne

do utrzymania w bitwie, zwłaszcza dzisiejszéj albo raczéj przyszłéj, a zatém dające żołnierzowi fałszywe pojęcia o przebiegu bitwy. Porządek i jednostajność można tylko wówczas utrzymywać, gdy nie świszczą kule, zatém w rozprawach wojennych rzeczywistych nie mają one celu. Nietylko żołnierz nabiéra o bitwie fałszywego wyobrażenia, ale i jego najbliżsi dowódzcy nabiérają nawyknień, utrudniających im zadanie. Najprzód wykształcenie żołnierza cierpi na tém, gdy jego przełożeni czas tracą na stare bzdurstwa. Powtóre, ciż sami przełożeni, nie wyrabiając w sobie wyobrażenia o przyszłych bitwach, nie mogą żołnierza kształcić wedle rzeczywistych potrzeb. Każdy dowodzący już w czasie pokoju powinien być dokładnie obznajmiony z trudnościami, jakie bitwy naszych czasów przedstawiać będą, by rozkładowy wpływ i rzeczywistości boju nie zaskoczyły go niespodzianie, by nie stracił głowy. W zamęcie bojowym większa część ludzi nie nabiéra ni rozumu, ni bystrości, owszem — przeciwnie. Nie należy więc liczyć na to, że w boju zyska się rozeznanie i natchnienie co do wyboru najwłaściwszych form i środków. Potrzeba więc całe wykształcenie tak pokierować, by przypuszczalny, rzeczywisty mechanizm bitwy stał się duchową własnością wszystkich udział w niéj biorących.

Jedną z najbardziéj charakterystycznych cech bitew będzie nieporządek na polu bojowém. Rozbicie taktycznych związków, brak dowódców, moralny upadek na duchu wskutek strat kolosalnych, w porównaniu z dawnemi, nagromadzonych w krótkim przeciągu czasu, utrudnią niesłychanie utrzymanie porządku na właściwéj linii bojowéj i związku w mechanicznem znaczeniu. Trudności te będą tak olbrzymie, iż tylko bardzo ciasne umysły mogą się pocieszać gadaniną: że w chwili stanowczéj nie będzie znowu tak źle, byleby tylko w czasie pokoju wdrożono żołnierza do karności i do energicznego posuwania się na przód. Podobna teorya jest najzupełniéj jednostronna. Doprowadzi ona tylko do zawodów przerażających, gdyby ją chciano zastosować w przyszłych bitwach, które Keim nazywa „ognistym piecem”. Odznacza się téż ona naiwnością, a naiwnością, chociażby po rycersku zabarwioną, bitew się nie wygrywa.

Jeżeli dowiedzionem jest, że w przyszłych bitwach niepodobna będzie w właściwéj linii bojowéj utrzymać ani porządku, ani spójni takiéj, którаby pozwalała na spokojne i systematyczne kierownictwo bitwą, to jednocześnie potępiona być musi dążność do popierania form i rozwojów wprawdzie porządnych, ale nie bojowych. Już w pokoju trzeba nazwyczajać oko żołnierza i kształcić je w tym kierunku, że to, co niegdyś uważano za piękne i konieczne, owe proste linie, właściwy

kierunek, baczność na sąsiada i na szereg przodowy, dziś przestało być pięknem, bo się nie zgadza z rozumnem do boju wykształceniem. „Z powodów estetycznych, powiada Keim, trudno się będzie rozstać z temi staremi nałogami i przyjąć nowy kierunek, ale nie ma rady. Owe przedstawienia strojności dziś jeszcze mogą mieć miejsce na placu musztry i dla parady, ale dla wojny czego innego potrzeba... Dobrze wykształconemu żołnierzowi i praktycznemu dowódcy, a tym jest każdy oficer wogóle od najniższéj rangi zaczynając, wojna stawia dziś nieskończenie większe i nieskończenie wyższe, aniżeli kiedykolwiek wymagania. Dawniéj w ocenianiu dowódcy przedewszystkiém kierowano się jego zręcznością na placu musztry wykazaną, dziś trzeba na pierwszém miejscu stawiać jego zdolność w kształceniu żołnierza do bitwy, jego własne osobiste wyrobienie w prowadzeniu powierzonego mu oddziału." W niektórych regulaminach świeżych już ten zwrot występować zaczyna, ale nie we wszystkich. Tu i owdzie pokutują jeszcze wyobrażenia, z owéj daty, gdy można było w zwartych oddziałach posuwać się ku nieprzyjacielowi na 200 lub 300 metrów, chociaż i wówczas za karabinów z przodu nabijanych, już podobna taktyka nieraz zawadzała.

Ten stary nałóg bruździ zwłaszcza w tak zwanych wielkich manewrach, mających być obrazem wojny, a całkiem niepodobnych do tego, czém owa wojna będzie. Zapominają o tém, że przyszłe bitwy walne, w których wielkie masy wojsk brać udział będą, daleko większe zajmą przestrzenie, aniżeli dawniéj, że przestrzenie te jeszcze powiększyć musi nieznana do dni naszych dalekonośność broni. Według teoryi ostatnich wojen, na korpus armii liczono 3,000 do 4,000 metrów wszerz i na manewrach jeszcze się tego obliczenia trzymają, chociaż w bitwie cyfra rzeczywista owych metrów znacznie powiększoną być musi.

Pomijamy dalsze uwagi p. Keima w tym przedmiocie, by podać pewne wnioski autora, który w odpowiedniém wykształceniu żołnierza i oficerów, widzi główny środek podniesienia bojowéj siły *(Gefechtskraft)* narodu. Tu zalicza on nietylko zdolność praktyczną żołnierza, ale także inteligencyę dowództwa, „bo siła w błędnym kierunku użyta, pozostanie bezskuteczną". Jedynie podwyższenie siły bojowéj pozwoli odnosić zwycięstwa pomimo dzisiejszego ognia, dalekonośności, celności i szybkości strzałów tak karabinowych, jak działowych. Tylko ta siła bojowa pozwoli mniejszéj liczbie wojsk przedsiębrać operacye strategiczne, na któréj części teatru wojny, by w stanowczéj chwili módz wystąpić w przeważających masach na punkcie danym. Jedynie wyższość téj siły bojowéj pozwoli w bitwie wyczer-

pać siłę bojową wroga prędzéj od swojéj. Przedewszystkiém ona tylko pozwoli trzymać się zaczepnego systemu działań, pomimo niezaprzeczonéj mechanicznéj wyższości, jaką odporność zapewnia.

Jak się jednak przedstawiają owe bitwy przyszłości, których morderczość i zagadkowe przejawy od lat dziesięciu, a zwłaszcza od lat czterech, to jest od wprowadzenia w użycie małodymnego prochu, tak bardzo zajmują uczonych specyalistów wojskowych, skłaniając ich do dawania rad, domagających się radykalnéj zmiany w systemie fachowego kształcenia zarówno żołnierzy, jak oficerów i dowódzców? Przed dwoma lub trzema miesiącami wyszła w Paryżu broszura p. t.: *La bataille de la Vesles*, napisana przez p. Nigote, b. oficera generalnego sztabu francuskiego, dziś dowódzcy w pułku 119 liniowym. Jest to zbiór, odpowiednio ułożony, artykułów tegoż autora drukowanych w specyalném piśmie wojskowém *Journal de sciences militaires*. Na podstawie danych naukowych autor daje obraz bitwy przyszłości, w którym jasno i dla każdego przystępnie przedstawia przypuszczalny przebieg starcia dwóch armii. Poprzestać musimy na krótkim wyciągu z téj broszury, bardzo zajmująco napisanéj, by usprawiedliwić poprzednie, ściśléj naukowo napisane, a bardzo poważne wywody. P. Nigote nie powiada, że ma na myśli wojnę Francyi z Niemcami, lub jaką inną, chodzi mu tylko o armie bezimienne, jednakowo uzbrojone, równie dzielne i równie dobrze prowadzone, spotykające się nad rzeką, którą nazwał Vesles.

Wojna tedy została wydana — pisze autor. —Jedną z armii dowodzi generał X., „najznakomitszy wojownik swego czasu". Umysł to chłodny, charakter energiczny, doświadczenie wielkie, połączone z głęboką nauką. Nie uwodzą go teorye szkół nowych, a „naukowe środki" nie zdają mu się „receptą pewną na zwycięstwo". X. jest przekonany, że organizacya i uzbrojenie ciągle się zmieniają, ale, że wielkie zasady pozostają niewzruszone i pozostaną, dopóki człowiek będzie człowiekiem. Wierny tradycyi swych wielkich poprzedników, rozkazuje więc swéj jeździe niezależnéj (osobne dywizye) wkroczyć do kraju nieprzyjacielskiego, gdy uruchomienie wojsk zbliżyło się ku końcowi. Szwadrony jego jazdy są doskonale wyćwiczone i dzielne, a przytém liczne. Nie ma wątpliwości, że w starciu z jazdą przeciwnika odniosą zwycięstwo, co jest wstępem koniecznym i obowiązkowym wszelkiéj wojny tegoczesnéj. Dzielna jazda ruszyła, przeszła granicę, w kilka godzin potém wróciła zhasana i zdziesiątkowana. Nie widziała nic, nie dostała języka, jazdy nieprzyjacielskiéj nie spotkała wcale. Zdala tylko dostrzegała placówki, szybko znikające za jéj zbliżeniem. Za to ile razy docierała do lasu, by przebić tę zasłonę, przyjmowano ją

tak morderczym ogniem, że musiała się cofać. Drobne patrole i rekonesanse oficerskie nie były szczęśliwszemi od przedniéj straży. Zaledwie kilku żołnierzy, których konie uniosły naprzód, a których nie zabito, ani nie wzięto w niewolę, donosiło, że nieprzyjaciel w tym punkcie zgromadził tylko nieznaczne oddziały trzech broni, którym słabe plutony jazdy służą za eklererów, za najmniejszą trwogą cofających się za piechotę. Ta piechota prawdopodobnie przyjechała na wozach, usadowiła się w lesie, a strzałami równie szybkiemi jak celnemi, paraliżowała najśmielsze usiłowania przedarcia zasłony.

Zatém miano do roboty z oddziałem wywiadowczym nieprzyjaciela, wziętym w części z mas jazdy, w któréj ma przewagę. Tylko to wywiadywanie i badanie było prowadzone „w sposób racyonalny, konieczny dziś przy nowych karabinach i prawie niewidzialnym ogniem". Niemoc, na jaką w ten sposób skazaną została jego jazda, zdziwiła nieco generała X. Na duchu jednak generał nie upadł. Ponieważ trzeba mu wiedziéć koniecznie, co się dzieje za ową zasłoną lasów, rozkazuje więc rozwinąć się czołom swych kolumn i ruszyć na las... Kolumny wkrótce znalazły się pod ogniem niewidzialnych tyralierów i placówek, popiéranych przez działa, równie ukryte, nie mogą jednak tego łańcucha ani rozerwać, ani się do niego należycie zbliżyć. Korzystając z różnych, na gruncie znalezionych, naturalnych osłon, ów morderczy łańcuch nieprzyjacielski usuwa się ciągle, jak tylko atakujący już są blisko. Bo kolumny atakujące, nie zważając na kolosalne straty, posuwają się naprzód. Na chwilę jednak zdawało się, że nieprzyjaciel stawi opór rzeczywisty, że się zatrzyma, że może nawet do bitwy większéj przyjdzie. Generał X. wysyła większą część swéj artyleryi. Liczne baterye galopem zajmują pozycye na szczycie przepysznych wzgórzy, skąd panują nad całą okolicą. Ale ten śmiały i poważny rozwój sił, tak zgodny z zasadami, spotyka się także z rozczarowaniem i staje się nowym błędem taktycznym.

Granaty zaczynają wymacywać las. Nieprzyjaciel zrazu nie odpowiada. Nagle jego artylerya rozpoczyna ogień, którego następstwa są straszne. Ponieważ baterye generała X. na wzgórzu doskonale się rysowały na horyzoncie, nieprzyjaciel mógł celować na pewno. W kilka minut w bateryach na wzgórzu zamęt, przestrach, bo granaty i szrapnele nieprzyjacielskie, wycelowane z pewnością matematyczną, zabijają obsługę, demontują działa, wysadzają jaszczyki. Ściągają więc przodki, by zaprzęgi wszystkie nie zostały wybitemi; artylerya odjeżdża ze wzgórza prędzéj, aniżeli przybyła. Ale nieprzyjaciel zna rzecz, a zwłaszcza zna odległości. Jego działa stopniowo przedłużają strzały. Ucieczka wówczas zmienia się w popłoch i rozsypkę. Druga porażka

dziwniejsza od pierwszéj i zupełniejsza. Pomimo tego generał X. nie wié naprawdę, gdzie jest nieprzyjaciel, a właściwie, jakie są jego siły, jakie zamiary, słowem, nie wié, jak się do niego wziąć.

Wprawdzie te porażki można naprawić, są one ważne tylko pod względem moralnym. Ale co zrobić, by raz zmierzyć się na dobre z tym niewidzielnym dotąd wrogiem. Generał X. postanawia, że na drugi dzień z brzaskiem nastąpi atak na całéj linii. Wojska przez noc wypoczną. Nieprzyjaciel jednak nie czekał; sam bój rozpoczął. Wśród największych ciemności nocy wykonał on napady na całą linię placówek i straży. Dla pomocy musiały ruszyć rezerwy, wkrótce cała armia była w ruchu. Ale ogień ustaje, nieprzyjaciel się cofa, dopiąwszy swego celu. Bo wojska nie wypoczęły po klęskach i niepokojach dni poprzednich.

Generał X. nie upada jednak na duchu. Nowy atak nakazany, nowe rozkazy wydane. Tylko artylerya nieco się okopie, by przygotować bitwę, któréj cały ciężar na piechotę spadnie. Ta ma karabiny szybkostrzałowe i umié ich użyć, jazda zrobi tylko energiczną dywersyę na lewém skrzydle nieprzyjaciela. Idźmy za piechotą, wstępującą na zarosłe pochyłości wzdłuż rzeki Vesles. Zrazu korzysta ona z licznych osłon, jakie grunt przedstawia, posuwa się bez zbyt wielkiego trudu i strat. Nareszcie dostaje się na szczyt wyniosłości i natychmiast przybiéra formacyę bojową. Dzielne wojsko. Zdawało się, że najtrudniejsze zadanie przebyte, że teraz trzeba tylko ruszyć naprzód energicznie, by stanowczo rzecz rozstrzygnąć. Tu jednak dopiéro zaczyna się biéda, wobec któréj niczém są poprzednie. Tamte były tylko rozprawami przednich straży, trwały krócéj; teraz atakujący mają się spotkać z całą siłą nieprzyjacielską, nietkniętą jeszcze, a zajmującą stanowiska wybrane i urządzone dla odpowiedniego, wyrozumowanego i obrachowanego użycia nowéj broni i bezdymnego prochu.

Zaledwie piesze kolumny generała X. ruszyły naprzód i posunęły się na kilkaset metrów, zaczyna grzmiéć cała artylerya nieprzyjacielska. Łańcuchy tyralierów i rezerwy za niemi zasypane są w jednéj chwili pociskami i ziemią, wyrzucaną przez pękające granaty. Zdaje się, że ziemia kipi. Dowódzcy przyśpieszają krok żołnierzy, by ich wyprowadzić z tego gradu, ale ten ciągle im towarzyszy. A jednak piechota przeciwna jeszcze nie użyła swéj broni przeciw atakującym. Odwrót jest niepodobny, bo śmierć zmiata wszędzie na każdéj drodze. Już teraz nie idą, ale biegną naprzód, w nieładzie, w którym wszelka formacya znika. Żołnierze nie widzą swych dowódzców, ci, co znajdują jaką osłonę po drodze, skupiają się pod nią, nic ich z tego miejsca wyrwać nie może, bo karność straciła swe prawa wobec tego żniwa śmierci.

A tu już salwy karabinowe, nie widzialne a celne, dodają swój deszcz pocisków do snopów szrapneli i pękających granatów. Ziemia zasłana trupami. Pomimo to pchają naprzód rezerwy, które, dzięki dolinie kolistéj podsuwają się na 600 metrów od pozycyi nieprzyjaciela. Na wzgórze rzuca się cała dywizya, sformowana w kolumnę batalionów, dowódzcy na czele, sztandary rozwinięte, dobosze biją, a kapele pułkowe wszystkie grają do ataku. Ten hałas pokrywa jednak zaraz artylerya przeciwna. I ta kolumna ogromna, która, jak huragan, ma wszystko swém przejściem zdruzgotać, sama, tłuczona kartaczami, rozbijana od czoła i od skrzydła ogniem karabinowym, do najwyższéj potęgi podniesionym, zmuszoną jest bieg swój zwolnić. Każden pocisk małego kalibru w téj, coraz bardziéj zbitéj, masie, w miarę posuwania tylnych batalionów, wierci dziurę krwawą i głęboką. Rzeź staje się coraz straszniejszą za każdym krokiem; sztuki mięsa ludzkiéj kupy coraz większe, jak się wyrażają świadkowie naoczni, mówiąc o działaniu nowéj broni w jednéj że świéżych wypraw. Następuje scena najstraszliwsza, jaką oko ludzkie ujrzéć może. Ci, co rzucili wszystkie te wojska w ową gorejącą jamę, uznają, że pod działaniem takiéj burzy wszelki ruch, czy to naprzód czy wtył, stał się odtąd niepodobnym. Ale ta spóźniona boleść nie zbawi ich, muszą patrzéć, bezsilni, na to dzieło zniszczenia.

Wobec téj klęski swego I-ego korpusu piechoty, po klęsce, zadanéj jego jeździe i artyleryi, co zrobi uparty X.? Zrobi to, co powinien był zrobić odrazu, gdyby mniéj pogardzał postępowaniem „naukowém" i sposobami „współczesnemi". O dwanaście kilometrów ztyłu za rzeką Vesles ciągnie się linia wzgórzy lesistych, zapewniających tym pozycyom wartość pierwszorzędną. Tam jest miejsce dla wielkiéj armii, która postanowiła stoczyć bitwę odporną. Tam generał X. cofa swe wojska, by nanowo probować szczęścia. Odwrót poszedł z trudem i biédą, wojska jednak na czas stanęły na miejscu. Wzięto się zaraz do urządzenia nowéj pozycyi, korzystając z wszystkich załomów gruntu; w miejscach odkrytych robiąc silne szańce, łącząc w ten sposób wszystkie punkta, zamienione w rodzaj fortów naturalnych. Tu chcą przyjąć wroga i zapłacić za klęski; zapłacić z lichwą, jeżeli się da. Opis tych przygotowań jest bardzo ciekawy i zajmujący, jak zresztą cała broszura p. Nigote, ale opuścić go musimy. Przez cały czas owych przygotowań, obie armie były z sobą w nieustannėm krwawém zetknięciu, codzień zachodziły spotkania podjazdowe, forpoczt, patroli, wojna partyzantów, czy gerylasów, albo amerykańskich traperów. Nareszcie nieprzyjaciel posunął się całą siłą, wre bitwa regularna i nieu-

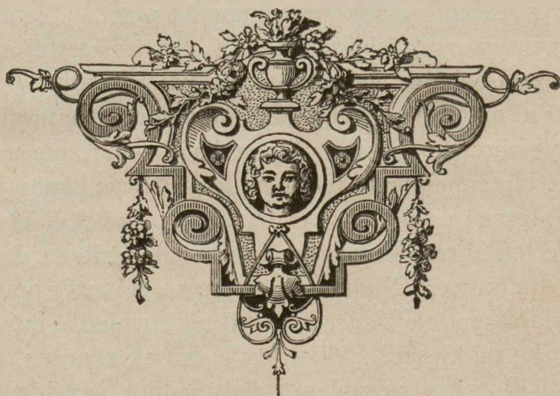
stanna, ale jakże różna od bitew dawniejszych. Ta przyszła bitwa nie stacza się odrazu, ale się składa z całego szeregu mniejszych, cząstkowych, po sobie kolejno następujących bitew, ataków i odporów, z równie wielkiem staraniem prowadzonych pod zasłoną drzew i przekopów, najczęściéj w nocy. Obie strony używają wszelkich sposobów odpornych, więcéj idą ziemnemi aproszami aniżeli się posuwają otwartém polem. Zupełnie jak w wojnie oblężniczéj. Gdy zaś nie można już uniknąć ręcznego starcia, starają się szturm przypuszczać na najkrótszych odległościach, na których siły ich balistyczne rozwinąć się nie mogą, bo im do tego brak przestrzeni potrzebnéj, „a męstwo osobiste odzyskuje nareszcie swe prawa".

Generał X. tym razem broni się dzielnie. Ponieważ jednak nieprzyjaciel wyprzedził go w zerwaniu ze starą tradycyą i w zastosowaniu nowéj taktyki bitew, autor więc pozwala mu jeszcze raz wziąć górę. Powoli więc, krok za krokiem, ów nieprzyjaciel przedziéra się przez linię obronną generała X., jednego dnia w tym, następnego w innym punkcie linię tę przerywając i wbijając w nią kolejno, jakby kliny rozsadzające. Generał X. ustępuje krok za krokiem, a nieprzyjaciel drogo tym razem każdy krok naprzód płaci. Nie chcąc jednak być sforsowanym w ostatnich szańcach, X. nakazuje swéj armii odwrót, który tym razem odbywa się w największym porządku. „Cała armia cofa się na 10 kilometrów w tył, gdzie wspaniałe, naturalne, pokryte lasami pozycye obronne, pozwolą jéj czekać bezpiecznie na posiłki już nadciągające, dla zapełnienia ubytków i sprobowania nowych wysileń. Bitwa pod Vesles ciągnęła się dni piętnaście blisko."

Kończąc ten obraz, fantazyjny wprawdzie, ale na danych naukowych oparty, pułkownik Nigote tak streszcza cel swéj pracy: „Dopóki armia działała zgodnie z zasadami taktyki wojen ostatnich, dopóty spotykała klęskę po klęsce. Jéj straty były tak znaczne, iż całkowite rozbicie było tylko kwestyą godzin. Gdy jednak dowódzca, korzystając z przykładów i nauk, jakie mu codziennie dawał nieprzyjaciel, zmienił system walki, mógł znowu walczyć i, jeżeli nie zwyciężył, przynajmniéj cofnął się w warunkach najzupełniéj honorowych na pozycye niezmiernie silne". Wszystkie swe twierdzenia autor „Bitwy nad Vesles" szczegółowo i naukowo stara się co do każdéj broni udowodnić. Bo te wypadki wojenne są jakby szeregiem naukowych twierdzeń. Nie sam p. Nigote jest zresztą zdania, że przyszłe bitwy będą trwać po kilka, a może nawet po kilkanaście dni, że się rozdzielą na szereg bitew cząstkowych i równoległych, w których fortyfikacya polowa ważną odegra rolę i których ostateczne rozwiązanie będzie się

i opóźniać bardzo i wiele kosztować. Dawniéj już nieco spotykaliśmy się z niém w pracach pisarzy wojskowych niemieckich. Tak np. broszura p. t.: *Wie operiren die heutigen Massenheere?* (Jak działają dzisiejsze wojska tłumowe?), *zur Orientirung auch für Laien*, rzecz, napisana przez kapitana F. R....., wydana w Berlinie 1893 r., również stwierdza, że przyszłe bitwy mogą trwać po kilka dni (str. 27, 29 i t. d.) i przyznaje, że to bardzo wojny utrudni i nowe otwiéra co do ich prowadzenia widoki.

J. Kenig.



PROMIEŃ SŁOŃCA

Długi, ciężki tramwaj wlókł się z trudem po szynach przepełnionych błotem. Mgła coraz gęściejsza opadała i przesłaniała wszystko, co się na ulicy działo, a przenikając przez niedomknięte drzwi tramwaju, przejmowała wilgotném zimnem siedzące wewnątrz osoby.

Konduktor pozapalał zielone lampy. Godzina była wprawdzie jeszcze dosyć wczesna, ale przy końcu listopada, w dzień tak pochmurny, ciemno już było zupełnie.

Tramwaj posuwał się w stronę banku i przeważnie zapełniony był ludźmi, zajmującymi się sprawami pieniężnemi. W przedziale bliższym koni trzech takich ichmościów zasiadło obok siebie. Wszyscy trzéj brodaci i w długich kapotach. Przy wejściu jeden drugiemu skinął głową, — często o jednéj i téj saméj porze jechali w jedną i tą samą stronę, znali się tedy z widzenia. Tacy zwykle prędko zawiązują pomiędzy sobą rozmowę. Bądź to opowiadają sobie o mających odbyć się licytacyach, bądź to radzą coby tu, lub tam, kupić było warto, — przedmiotu do gorących rozpraw nigdy im nie zbraknie. Dziś widocznie zimno i niepogoda oddziaływały na nich jakoś usypiająco, bo tylko od czasu do czasu słychać było podniesiony gwar szwargotu.

Na przeciwległéj ławce usadowiła się gruba, czerwona przekupka z koszykiem. Przy niéj mizerny człowieczyna w zniszczonym, wytartym paltocie—pewnie jakiś kancelista, obarczony długim szeregiem godzin pracy i liczną rodziną. Biédak patrzy bezmyślnie na poruszające się drzwiczki skrzynki, w któréj umocowana jest lampka, niekiedy

tylko obejrzy się nieśmiało na prawo i lewo, jakby chcąc przekonać się, czy aby komu nie zawadza.

W przedziale pierwszym, w kącie, od drzwi wchodowych najbardziéj oddalonym, rozsiadł się wygodnie siwy, poważny człowiek, w dostatniém futrze, z pięknym bobrowym kołnierzem. Kościste ręce złożył, jakby w dziękczynnéj modlitwie, na okazałym brzuchu, oczy zamknął, rzekłbyś — że śpi. Spojrzawszy jednak uważniéj na jego bezustannie poruszające się usta, łatwo było odgadnąć, że coś rachuje. Po chwili ustom dopomagają kościste palce, po chwili i nos długi, zakrzywiony, zdaje się skrzywieniem sprawdzać dokładność rachunku, tylko oczy nie otwiérają się wcale. Prawdziwy obraz człowieka zamkniętego w sobie.

Obok niego siedzi jego brat, czy krewny, rysy bowiem wskazują, że jest swemu sąsiadowi bliski. Ten brat, czy krewny czyta, przy skąpém świetle lampki tramwajowéj, wieczorną gazetę, a właściwie przegląda ostatnie kursa.

A wszyscy, tu i tam siedzący, takie niewesołe, zmęczone mają twarze, wszyscy zdają się myśléć: jakiż ten świat szkaradny, nudny! taki ponury, zamglony, brudny, bez słońca!

Mgła zda się wszystkim do duszy przenikać i rozpościérać wokoło smutek i nudę.

Gwar szwargotu w drugim przedziale przycichł zupełnie. Przekupka ustawiła koszyk na ziemi i znużone opuściła ręce. Kancelista wzdycha ciężko, poprawia się na twardém siedzeniu i znów patrzy na lampkę.

Człowiek w futrze, ta istna maszyna do liczenia, porachował już na dziś wszystko i na wpół odemkniętemi oczyma usiluje przejrzéć zapocone szyby.

— Jesteśmy przy gmachu giełdy—objaśnia sąsiad, który, sprawdziwszy kursa po raz setny, złożył gazetę i także nie wié co począć z resztą czasu.

Tuż przy drzwiach zajęła miejsca para młodych jeszcze ludzi. Znać mąż i żona. Ona w grubéj żałobie. Twarz ma szczupłą, bladą, a oczy zmęczone. Może téj nocy nie spała, może płakała niedawno. Patrzy przed siebie w dal, jak gdyby w téj mgle szaréj widziała jakiś obraz, od którego oderwać się nie może, ale—musi on być bardzo, bardzo smutny, bo oczy młodéj kobiéty mają wyraz bezmiernéj boleści i tęsknoty. Mimowiednie przysunęła się bliżéj do milczącego mężczyzny, jakby chciała przypomnieć sobie, że jest ktoś, o kim myśléć powinna, komu jest może potrzebna i kto jéj rękę poda. On spogląda

na nią co chwila, a prócz serdecznego przywiązania, w spojrzeniu jego przebija się troska i litość głęboka.

Mgła coraz gęściejsza opada.

Naraz tramwaj przystaje, drzwi otwiérają się z trzaskiem i jak odgłos dzwonka rozlega się srebrny śmiéch dziecięcy.

Przez szeroko otworzone drzwi wpadają jedno po drugiém.—Ileż was tam jest? Troje? — Nie, czworo, dwóch chłopców i dwie dziewczynki, za niemi służąca.

— Ależ tu są tylko dwa miejsca—mówi konduktor.

— Już my się pomieścimy — odpowiada rezolutnie starszy chłopczyk—Marysia pójdzie naprzód... taka niepogoda...

Najmłodszy malec sam zamyka drzwi i cieszy się, że jest taki mocny,—o, aż się szyby trzęsą! Ot i pozasiadały już na niezajętych miejscach. Dwoje naprzeciw dwojga. Służąca w drugim przedziale.

Nie wiadomo, doprawdy, które z nich najmilsze, najładniejsze. Czy najstarsza, pewnie już dwunastoletnia dziewczynka, z krótkim noskiem, śmiejącemi się usteczkami i buzią jak wisienka? Czy przed nią siedzący niewiele młodszy blodynek, z tą zuchowatą, a tak pociągającą, chłopięcą miną? Czy ta maleńka, z twarzyczką cheruba i wielkiemi ciemnemi oczyma? czy może to najmłodsze, takie pocieszne bobo?

Ani chwileczki nie usiedzą spokojnie. Całe towarzystwo nic ich nie obchodzi. Wystarczają sobie w zupełności. Co téż bo oni mają sobie do opowiedzenia! Niezmiernie zabawne muszą to być historye, bo co i raz słychać głośny wybuch śmiechu. Zapewne wracają z podwieczorku od babuni lub jakiéj dobréj cioci i cieszą się zawczasu na myśl: jak to do domu wpadną, mamusię uściskają i jedno przez drugie opowiadać zacznie: „jak tam wszystko było”.

I ten ich śmiéch, i te ich figle, i te rozbawione, pełne szczeréj radości twarzyczki, wyraźnie mówią do znudzonych ludzi: „no, wy starzy! nie bądźcież tak zasępieni, spojrzyjcie na nas, — wszak my jesteśmy nadzieją i pięknem, i uśmiechem tego życia! My jesteśmy wiosną, weselem i promieniem słońca!

I jakby jasny promień słońca roztoczył się ponad głowami w ponuréj mgle siedzących.

Promień przecisnął się aż w głąb tramwaju. Gruba przekupka zapomina o koszu, chustką wyciéra zamgloną szybę, przybliża do niéj twarz czerwoną, wreszcie rozsuwa nieco drzwi, żeby lepiéj przyjrzéć się swawolnéj dziatwie i z dumą a rozjaśnioném obliczem, pomrukuje zcicha—ale tak, żeby ją sąsiad mógł doslyszéć, — że i u niéj w domu jest taka sama rozkoszna gromadka.

Promień osiadł na ustach kancelisty, który już nie patrzy bezmyślnie na migocącą lampkę, lecz uśmiécha się przez szparę do uciesznego maleństwa. Nawet giełdziarze z widoczną przyjemnością przyglądają się ślicznym dzieciom, pierwszy raz pewnie myślą dziś o czémś innėm, jak o dodawaniu i odejmowaniu. Zaspany człowiek w futrze otworzył nareszcie oczy, promyk słońca przeniknął i do tego kąta, pod jego wpływem maszyna do rachowania stała się do człowieka podobna.

Smutna kobiéta w żałobie nie odrywa oczu od rozbawionéj gromadki, ale usta jéj nie złożyły się do uśmiechu, tylko bólem ściągnęły. Pobladła bardziéj i bliżéj jeszcze przysunęła się do równie smutnego mężczyzny. Jéj ten jasny promień słońca nie ogrzał, nie rozweselił, dla niéj, biednéj, był zbyt jaskrawy i—oczy jéj łzami zaszły.

Zofia Seidler.



Z TEORYI I FAKTÓW PRZYRODNICZYCH.

Zapasowe siły organizmu. — Kompensacya wad serca. — Jedna nerka zamiast drugiéj.—Organizm, a machina.—Przerost czyli hypertrofia organów.—Energia zapasowa w chorobach.—Bierne i czynne zmiany podczas choroby organów.—Regeneracya tkanek. Samopomoc w stanach zapalnych.—Altruizm komórek.

W warunkach normalnych, przy zwykłéj umiarkowanéj pracy, organizm wyzwala tylko część rozporządzalnéj energii; pozostała zaś reszta siły potencyalnéj pozostaje w nim zapasowo na chwile większego maksymalnego zapotrzebowania. W stosunkowo najwyższym stopniu owe siły zapasowe występują w układzie mięśniowym i nerwowym. Mocno znużony, napozór wyczerpany zupełnie człowiek, w chwili, gdy mu zagrozi niebezpieczeństwo, zdolny jest jeszcze do niepojętych wysiłków. Ludzie, pracujący umysłowo, zniewoleni do wykończenia pracy na określony termin, jakkolwiek upadają pod brzemieniem już dokonanéj roboty, potrafią jednak jeszcze wykrzesać iskry z niby rozstrojonéj swéj machiny nerwowéj i dobijają szczęśliwie do celu. Kiedy organizm znajduje się wobec zadań niezwykłych, przerastających na pierwszy rzut oka jego sprawność normalną, zawsze jednakże, znajdując się jeszcze tylko w granicach fizyologicznych swych funkcyi, zdolny jest bez szkody na razie przystosować się do wybiegających po nad przeciętną miarę zadań. Tę zdolność skupiania

w sobie sił zapasowych na wypadek niespodziéwanéj potrzeby posiada każdy organ naszego ciała, a dowody na to liczne bardzo można czerpać już w codziennném życiu, więcéj zaś jeszcze przy naukowém badaniu tego przedmiotu [1]).

Im doskonalszém jest zróżnicowanie protoplazmy, im wielostronniejszemi jéj czynności, tém większa część złożonéj w niéj energii, pozostaje niespożytą podczas pracy normalnéj, tém znaczniejsza pozostaje w niéj ilość sił zapasowych. Widać to stosunkowo najlepiéj w wysoko uorganizowanych osobnikach zwierzęcych, posiadających wydoskonalony układ nerwowy. Lecz i na prostych tkankach daje się to dobrze obserwować. Nothnagel, Conheim i inni badacze stwierdzili doświadczalnie, iż w wysokim stopniu siłą zapasową rozporządza tkanka mięsna i gruczołowa. Jako przykłady, najlepiéj nadają się tu: serce i nerki. Jeżeli sztucznie sprowadzić u zwierzęcia jakąkolwiek z t. zw. wad sercowych, t. j. jeśli uszkodzić którąkolwiek z zastawek serca pomiędzy przedsionkami, a odpowiedniemi komorami, lub między temi ostatniemi i wielkiemi tętnicami, natychmiast prawie występuje kompensacya w pracy organu i odpowiednia jego część, w tym razie np., kiedy krew nie może już z normalną łatwością przepływać, podejmuje pracę większą, niż w zwykłych warunkach, starając się tym sposobem owo zakłócenie wyrównać. Zapasowa siła serca występuje w tym razie na przedni plan i oddaje podobne usługi, jak i w wypadkach, kiedy np. wzruszenia psychiczne lub wysiłki fizyczne — bieganie, wspinanie się na górę, wzmagają pracę tego organu. Coś podobnego postrzegamy przy wycięciu jednéj nerki, kiedy pozostała druga nerka zmuszona jest podwójną wziąć na siebie pracę. Już podczas pierwszego dnia po operacyi wycięcia nerki, można stwierdzić, że ilość wydalanego moczu bynajmniéj się przez to nie zmniejszyła. Nie możemy sobie tego inaczéj wytłómaczyć, jak tylko przypuszczając, że drzémiące w zwykłych warunkach siły zapasowe nerki zostały zbudzone w chwili, gdy działanie ich okazało się koniecznem. Zupełnie bowiem jest nieprawdopodobne, ażeby w przeciągu kilku godzin powstać mogły nowe grupy komórek gruczołowych, ani też, aby istniejące już poprzednio mogły w krótkim czasie rozrosnąć się i dzięki większéj swéj masie spełniać zwiększoną pracę. Proces rozrastania się, hypertrofii, proliferacyi tkanek wyma-

[1]) Sprawie téj poświęcił profesor W. Podwyssozki ogólny odczyt p. t.: *Die Reservekräfte des Organismus und ihre Bedeutung im Kampfe mit der Krankheit.* Jena, 1894.

ga dłuższego czasu. Gdy przeto serce, nerki lub jakikolwiek inny organ tak szybko, momentalnie niemal, zadosyć czyni nadzwyczajnym i niespodziéwanym wymaganiom, jeżeli organizm nasz zwycięsko stawia czoło nagłym zakłóceniom, wynika to z ukrytych w nim zapasów energii życiowéj, ze skupionych w znacznych ilościach sił, nie występujących na jaw w normalnych warunkach.

Każda machina, każdy przyrząd, używany w mechanice, bywa wypróbowywany na pewną maksymalnę pracę, na określony maksymalny opór, jakkolwiek w zwykłych okolicznościach spożytkowujemy tylko część téj siły. Postępujemy tak z parowemi machinami, kotłami, rurami, łańcuchami i t. d. Tę maksymalną pracę potrafimy w mechanice mierzyć; gdy zaś odejmiemy od niéj wielkość siły, wydawanéj przez machinę w normalnych warunkach, otrzymamy liczbę, wyrażającą energię zapasową. Inaczéj wszakże z organizmem żyjącym. Nie jesteśmy tu w stanie oznaczyć *maximum* sprawności tkanek i organów, nie potrafimy wymierzyć wysokości siły zapasowéj, wyzwalającéj się pod naciskiem pewnych nagłych, nienormalnych warunków. Jakkolwiek fizyologowie dokonali podobnych pomiarów na mięśniach wypreparowanych z ciała, jednakże, pozyskane tą drogą wyniki nie mogą się przenieść na żywe organy, a tém mniéj na organizm cały. Gdyż niezależnie od tego, że wchodzi tu w grę mnóstwo czynników indywidualnych, pamiętać jeszcze trzeba o doniosłym wpływie, wywiéranym przez dopływ krwi do danego organu, przez stopień pobudliwości nerwowéj, przez miarę znużenia i t. d.

Zakłócenia wszakże chwilowe lub dłużéj trwające, a wdziérające się w przebieg procesu życiowego i jakościowo i ilościowo wielce mogą się od siebie różnić. Kiedy uchylenia od normy przejściowe są tylko i mogą być pomieszczone w granicach pojęcia stanu fizyologicznego, lub gdy nawet stają się patologiczne, lecz nie sprowadzają trwałych uszkodzeń, wówczas omawiane tu siły zapasowe organizmu wystarczają wzupełności dla zwalczenia tych nieoczekiwanych zaburzeń. Większy ten wydatek energii nie pociąga za sobą żadnych zmian w funkcyonującéj części ciała, następuje tylko czasowe, prędzéj lub późniéj przemijające znużenie. Po gwałtowniejszém biciu serca, wywołaném przez przypadkową jaką przyczynę, następuje osłabienie czynności sercowéj; silne pobudzenie umysłowe lub przeciążenie mózgowe sprowadza znużenie psychiczne; podobnie po nadmiernie obfitém jedzeniu i zbyt silnéj perystaltyce zachodzi osłabienie siły ruchowéj i trawiennéj żołądka i kiszek.

Natomiast stałe, lub dłuższy czas trwające zboczenia mogą sprowadzić zmiany anatomiczne w organach, i to przedewszystkiém zmiany takie, które zdążają do usunięcia wywołanych szkód. Zapasowe siły mogą już nie wystarczać w tych razach do wyrównania sprowadzonych zakłóceń i okazuje się potrzeba współdziałania sił nowych. Stąd też konieczność powstawania nowéj żywéj materyi, bez któréj pomocy niemożliwém jest wypełnienie luk powstałych skutkiem choroby. I te nowe siły, które śpieszą organizmowi z pomocą w chwilach niebezpieczeństwa, zasługują na nazwę sił zapasowych, choć różnią się istotnie od tych, którym już wyżéj miano to nadaliśmy. Tam mieliśmy do czynienia z rzeczywistém zaoszczędzeniem energii czyli ze zjawiskiem, dla którego znajdujemy analogie w mechanice; tutaj zaś występuje na jaw właściwa tylko żywemu organizmowi zdolność wytwarzania nowéj żywéj substancyi, która oczywiście wyposażoną jest w możność wykonywania pracy.

„W pojedyńczéj jednostce powtarzają się zjawiska, jakie mamy sposobność obserwować w życiu całego narodu. Podobnie jak w kraju zamożnym, przy racyonalném udoskonaleniu wszystkich gałęzi administracyi i publicznego życia politycznego, na wypadek wojny powołane zostają do boju nietylko gotowe zawsze wojska, lecz i kadry zapasowe, tak i zdrowy, nie osłabiony organizm indywidualny reaguje przeciwko chorobie, powołując do pomocy złożony w swych organach zapas sił żywotnych." I podobnie jak w chwilach bardzo wielkich niebezpieczeństw, grożących ze strony nieprzyjaciela, kraj nie zadawalnia się owemi normalnemi siłami zapasowemi, lecz jeszcze zdolny jest do stwarzania zupełnie nowych mas żołnierza, tak też i organizm jednostki, gdy mu nie starczą siły złożone zapasowo podczas normy, w chwilach największéj potrzeby stwarza w odpowiednich organach nową masę komórek, rozrasta się, by módz walczyć i sprostać niezwykle trudnemu zadaniu. Zdolność przystosowywania się do nowych, niecodziennych warunków życia, umiejętność celowego wytwarzania nowych sił, właściwą jest tylko żywéj materyi.

Bodziec słaby, funkcyonowanie normalne, wyrażające się w występowaniu podniet nieznacznych, choćby i długotrwałych — jeżeli nie powoduje tylko wzmożonego dopływu krwi do danego organu — nie prowadzi nigdy do pomnożenia masy czynnego narządu, nie wywołuje sił nowych, biorących początek z nowo powstałych komórek. W tym razie nie mamy przerostu, hypertrofii organów, gdyż na spełnianie funkcyi wystarcza siła zwykła, a w najgorszym razie przybywają z po-

mocą normalne, zaoszczędzone siły zapasowe. Mięśnie poruszające rękę pisarza, malarza, muzyka nie rozrastają się nadmiernie, bo funkcyonują, wprawdzie stale, lecz równomiernie i bez nadzwyczajnych wysiłków. Natomiast w rękach i ramionach ślusarza, kowala i dentysty chińskiego, posługującego się palcami zamiast obcęgów, widzimy znaczny stopień przerostu, gdyż wszyscy oni zmuszeni są pokonywać duże opory fizyczne za pomocą silnych skurczów mięśniowych.

Postarajmy się z kolei zdobyte tu wiadomości zastosować do wypadków niefizyologicznego życia organów, sprobujmy dojrzéć, jakie mają dla nas znaczenie owe siły zapasowe, gdy organizm znajdzie się w stanie chorobliwym. Nie może oczywiście być tu mowy o dokładnym opisie tych licznych zmian, jakie mogą zachodzić w ustroju pod wpływem rozmaitych procesów patologicznych. Chodzi nam raczéj o pozyskanie ogólnego poglądu, do czego na razie wystarczy zrozumienie pewnéj, niezmiernie ważnéj a podstawowéj właściwości protoplazmy, polegającéj na tém, że dąży ona ustawicznie do zachowania takiego ugrupowania atomów w cząsteczkach białka, przy którém białko to zachowuje wszystkie zdolności życiowe. Każda żywa komórka, każda najdrobniejsza cząstka żywéj materyi w mniejszym lub większym stopniu posiada dzielność zachowywania właściwych sobie cech istnienia, trwania w téj formie egzystencyi, jaką zdobyła w drodze rozwoju i wyróżnicowania. Tylko czynniki bardzo silnie działające są w stanie natychmiast przerwać jéj życie, czyli zburzyć te skupienia atomów, które nieodłącznie do życia są przywiązane. Słabsze wpływy szkodliwe mogą na czas pewien wyznaczyć odmienny kierunek funkcyom życiowym protoplazmy, lecz nie sprowadzają śmiertelnego w niéj zakłócenia; a sprowadzane w ten sposób zboczenia są właśnie chorobami.

Badając jakikolwiek proces chorobowy, możemy odróżniać dwie grupy zjawisk: bierne i czynne. Do pierwszych zaliczamy zmiany zachodzące wskutek zwyrodnienia (degeneracyi) komórek, oraz zboczenia powstające wskutek tego w odnośnéj tkance i organie. Do drugiéj zaś grupy należy wymieniony wyżéj popęd organizmu, dążący ku zachowaniu zdobytego raz istnienia. Normalne bowiem, przez chorobę niedotknięte komórki starają się drogą energiczniejszéj pracy wyrównać, skompensować szkody, jakie ponosi ustrój wskutek doznawanych zaburzeń. W tém właśnie wyraża się reakcya lecznicza żywéj protoplazmy i całego ciała, która ma na celu zniesienie, usunięcie nieprzyjaznych wpływów. Zgodnie wszakże z rozwiniętém wyżéj prawem

biologicznem, wytworzenie się zupełnie nowych sił musi iść ręka w rękę, a raczéj poprzedzone być musi przez powstanie nowych ilości żywéj materyi. I istotnie zjawisko to ma sposobność obserwować każdy uważny badacz ciężkich chorobowych zmian w ustroju. Zdrowe komórki i tkanki podnoszą miarę swych materyalnych potrzeb, odzywa się w nich większy głód, rozwija w nich energiczniejsza działalność organizacyjna; stąd tworzą się nowe masy protoplazmy z nowemi sprzyjającemi organizmowi siłami życiowemi. Mamy tu najpiękniejszy przykład organicznéj samopomocy na terytoryum najdrobniejszych istotek—komórek, które w harmonijnéj zgodzie zaprzężone są w usługi całego zbiorowiska — organizmu, dzielnie pracując ku wspólnemu utrzymaniu życia. Gdy wszakże nie każdy chorujący ustrój istotnie zdrowieje, jeżeli nie wszystkie sprowadzone przez choroby defekty zostają wyrównywane, lecz często pociągają za sobą zniekształcenia, przewlekłe stany patologiczne i charłactwo, to wynika to z dwu powodów: albo wyrządzone szkody zbyt są duże, albo też siła organizacyjna protoplazmy bardzo jest nieznaczna w osłabionym osobniku.

Owa grupa zjawisk czynnych, występujących podczas choroby i stanowiących właściwie reakcyę przeciw bodźcowi chorobowemu, składa się głównie z dwu różnych procesów. Mamy tu mianowicie do czynienia albo z czystém zjawiskiem regeneracyi żywéj materyi z hypertrofią (przerostem) komórek i organów, albo z t. zw. reakcyą zapalną.

Prawdziwie zdumiewającemi są często rozmiary, do jakich dojść mogą niektóre organy mięśniowe i gruczołowe, gdy staną wobec zadania wzmożonéj pracy w tych razach, kiedy pracą tą mają usunąć przeszkody stworzone przez chorobę. Obserwowano niejednokrotnie, że w wypadkach wad w swych zastawkach, serce, zamiast normalnego ciężaru 250—300 gramów rozrasta się do wagi 1,200 a nawet do 2,000 gramów. W organach parzystych jeszcze wyraźniéj występuje rozrost protoplazmy, kompensujący funkcyę choréj części i to zwłaszcza w tych wypadkach, kiedy chodzi o funkcyę niezbędną dla życia. Niemożliwém jest istnienie człowieka bez nerek, organu, któremu przypada w udziale zadanie oczyszczania krwi i usuwania z niéj zanieczyszczających produktów rozkładu materyi. I oto widzimy, że choroba lub wycięcie jednéj, prowadzi do powolnego rozrostu drugiéj, która przyjąć może prawdziwie kolosalne rozmiary. Toż samo daje się spostrzegać i w innych organach, zarówno w wypadkach, kiedy część tylko organu zostaje wykluczona z normalnéj czynności, jako też i wów

czas, kiedy rozmaite organy spełniają analogiczne funkcye. Tak np. niedawno temu patolog wrocławski, Ponfick, wykonał nader interesujące doświadczenia, które przekonały, że wycięcie znacznych części wątroby aż do $^2/_3$ tego organu, nie pociąga za sobą bynajmniéj niebezpiecznych następstw, gdyż w krótkim stosunkowo przeciągu czasu taka uszkodzona wątroba znów powinna wrócić do pierwotnych swych rozmiarów, regenerując się w zupełności. Nowsze doświadczenia dowodzą nawet, że można aż $^7/_8$ wątroby wyciąć zwierzęciu, a jednakże pozostała ósma część znów rozrasta się i daje cały organ. Z drugiéj znów strony pospolitém jest bardzo spostrzeżenie następujące: po wycięciu śledziony powstają nowe gruczoły limfatyczne, które spełniają funkcye podobne do śledziony, a istniejące już przedtém gruczoły rozrastają się, starając się zastąpić brakujący organ. Podobnych przykładów przytoczyćby można jeszcze bardzo wiele. A jeżeli pominiemy sam przyrost materyalny organów, zwrócimy zaś uwagę tylko na same czynności, to będziemy mogli też dowieść, że w tych razach, kiedy organ pewien kilka spełnia funkcyi, z których jedna została przypadkiem upośledzona, wówczas inne jego funkcye przez wzmożenie swéj pracy starają się powstałą skutkiem tego przeszkodę usunąć.

Ze wszystkich procesów patologicznych stan ostrego zapalenia najlepiéj może nadaje się do wykazania tych wielkich korzyści, jakie osiąga organizm ze złożonéj w nim sprawności leczniczéj, ze skupionych sił zapasowych, oraz zdolności wytwarzania nowéj materyi, nowych komórek, dzielnie pomagających mu w walce z wrogiemi wpływami. Mamy tu jeden z najjaskrawszych przykładów samopomocy żywéj tkanki. Wywołany wskutek zapalenia wzmożony dopływ krwi, wędrówka białych ciałek krwi w kierunku ku zapalnemu ognisku, „pożeranie" mikrobów, które sprowadziły zapalenie, przez nowe powstałe komórki, usuwanie w ten sposób zarówno bodźców chorobotwórczych, jak i produktów, przez nie wytwarzanych, wreszcie powstawanie nowych komórek tkanki łącznéj, które pokrywają sprowadzone przez stan zapalny, defekty — wszystko to jest wyrazem utajonéj w żywéj materyi energii zapasowéj.

Na polu zjawisk życiowych, rozgrywających się wśród najdrobniejszych jednostek-komórek, spotykamy się z tym samym potężnym objawem, niezbędnym w harmonijném pożyciu skupienia indywiduów, jaki na każdym kroku występuje w życiu społeczeństw. Altruizm komórek, dla którego bodźcem są anomalie, zagrażające bytowi komórek sąsiednich, przybiéra formy nie mniéj wyraźne, niż altruizm osobników społe-

cznych, zasilany u źródła tak zwanych przez nas pobudek moralnych. W pierwszym razie najdrobniejsze żywe elementy podejmują walkę o całość organizmu, w drugim udoskonalone i wysoce rozwinięte organizmy stają do boju o całość społeczeństwa, narodu. Lecz zarówno tu jak i tam ostateczną przyczyną, pierwszym impulsem do działania jest złożona w żywéj materyi zdolność przystosowywania się do wszelkich warunków życia, umiejętność walczenia z nieprzyjaznemi wpływami, niczém przekonać się nie dające pożądanie tego życia, które przyroda tchnęła w materyę. Potrzeba nader gwałtownych, brutalnych, nieludzkich ciosów dla odjęcia możności walczenia o życie.

Maksymilian Flaum.



Zjazdy historyczne

W NIEMCZECH.

„Bericht über die 1. Versammlung deutscher Historiker in München 5.—7. April 1893" (Rieger, München, 1893). — „Bericht über die zweite Versammlung deutscher Historiker 29. März bis 1. April 1894 in Leipzig" (Leipzig, Duncker & Humblot, 1894).

Niechaj wolno będzie zaraz na wstępie położyć wyznanie, że osobiście żadnego zgoła nie mamy nabożeństwa do zjazdów naukowych, o ile w nich o samą chodzi naukę. Niemniéj przecie poczytujemy za rzecz niezbyteczną, zdać w krótkości relacyę z dwóch pierwszych zjazdów historycznych w Niemczech. Że są one pierwszemi dopiéro, że zdawna zostały wyprzedzone nawet przez polskie zjazdy krakowski i lwowski, — jest w nich stroną może najciekawszą. W rzeczy saméj, nie ulega wątpliwości, że od półwieku nauka niemiecka stanęła na czele wiedzy dziejopisarskiéj. Gdzieindziéj w tym okresie mogły pojawić się świetniejsze talenta, mogła Anglia wydać Macaulay'a i Freeman'a, Francya Tocqueville'a i Taine'a: nigdzie tak wszechstronnéj, systematycznéj a gruntownéj pracy nie dokonano na niwie historycznéj, jak w ojczyźnie Ranke'go, Waitza, Mommsena. Z drugiéj strony, instynkt korporacyjny nigdzie w ostatnich czasach nie objawił się z większą żywością, jak w odnowionych Niemczech; i tutaj bez liku posypało się wszelkiego gatunku kongresów i zjazdów

będących wypływem solidarności zawodowéj. — Z tém wszystkiém, w Niemczech, gdzie historyków zawodowych jest dziś najwięcéj, a gdzie krawcy i cyrulicy zwołują kongresy, nie zdobyto się dotychczas na kongres dziejopisów. Czemu się tak stało? Pewnie trocha dlatego, że historycy, *genus irritabile* niemniéj od wierszokletów, niełatwo między sobą się godzą; zaś najtrudniéj bodaj niemieccy, którzy zawsze objawiali temperament wojowniczy, jak świadczą aż nazbyt często gwałtowne starcia na szpaltach *Historische Zeitschrift* i innych placach boju. Może głównie dlatego, że dziejopisarstwo, choć w teoryi winno być tylko nauką, w rzeczywistości ciągle jest bronią i dźwignią polityczną; zaś ów tkwiący w niém żywioł polityczny, najdobitniéj ujawniając się w Niemczech, mocno jeszcze zróżniczkowanych politycznie, staje na przeszkodzie pokojowemu zogniskowaniu umysłów.

Tak czy owak, zjazdów historycznych dotychczas w Niemczech nie bywało. Dopiéro latem 1892 r. ukazała się odezwa, podpisana przez czterdziestu uczonych niemieckich, austryackich, szwajcarskich, zwołująca pierwszy kongres do Monachium. Pobudkę bezpośrednią, jak wzmiankowała odezwa, dał nieprzewidziany zamach na wykład dziejów w szkole i wszechnicy, zamach témbardziéj niepokojący, iż wychodził od głowy państwa. Cesarz Wilhelm II-gi, w głośném onego czasu przemówieniem publiczném, oświadczył się za zmianą radykalną dotychczasowego sposobu nauczania historyi; i w myśl jego skazówek natychmiast w „Przepisach dla gimnazyów pruskich" z r. 1892, zabrano się do „reformy", obcinając wykład dziejów klasycznych, na pierwszy plan wysuwając nowożytne, ze szczególném uwzględnieniem epok i wypadków, zdolnych podniecać ducha patryotycznego w młodzieży, a więc wojen o niepodległość 1814—1815 r., ostatniéj wojny francuskiéj 1870 roku. Znaleźli się nawet usłużniejsi „uczeni", co daléj jeszcze poszli, i w rozwinięciu przygodnych uwag monarchy zbudowali cały system osobliwych inowacyi: każą oni historykowi wspak się cofać, od wzięcia Paryża rejterować się do wzięcia Troi, do góry nogami obróciwszy wykład dziejów powszechnych. Tutaj wydało się stosowném zbiorowe wystąpienie i zbiorowy protest historyków. W takiéj też myśli umieścili inicyatorowie zjazdu monachijskiego na czele swojéj odezwy dwa pytania zasadnicze: 1) „W jakiéj mierze wykład historyi winien przygotowywać do uczestniczenia w zagadnieniach, jakie nowożytne życie publiczne stawia każdemu osobnikowi ukształconemu?" i 2) „W jaki sposób zatém winna być wykładaną nauka historyi?" — Obok tego miał się téż zaprzątać zjazd sprawą urządzenia seminaryów historycznych przy uniwersytetach,

oraz zabrać głos w przedmiocie ułatwienia poszukiwań archiwalnych.

Zjechano się w czasie feryi wielkanocnych r. z. w Monachium. Liczba uczestników tego najpierwszego zjazdu nie była zbyt wielka, jak na połączone Niemcy, Austryę, Szwajcaryę nadzwyczaj szczupła— około stu osób, śród których jakie dwadzieścia nazwisk profesorskich, kilka głośnych, parę interesujących, — reszta szary tłum nauczycieli szkół średnich albo dyletantów. Północne Niemcy, Prusy, świeciły nieobecnością; Berlin przysłał siedmiu przedstawicieli i ani jednego uczonego. Prezydowali pp. Huber z Wiednia i Heigel z Monachium.

Obrady rozpoczęły się burzliwie. Referentem dla pierwszych dwóch głównych a drażliwych pytań, przedłożonych zjazdowi, był dyrektor gimnazyum w Elblągu, Martens, dobrze znany jako działacz biurokratyczny, lecz o którego zasługach historyka nic nie umielibyśmy donieść. Ten pan, w odpowiedzi na owe pytania, ofiarował do zatwierdzenia przez zjazd szereg tez, gdzie wyłuszczył: jako nauka historyi ma za główne zadanie spotęgować w jednostce „świadomość państwową” *(Staatsbewusstsein)*, „zmysł polityczny”; jako, dotknąwszy jedynie „typiki ustawodawstwa” w świecie starożytnym i średniowiecznym, winna śpiesznie przejść do „wyczerpującego przedstawienia dziejów najnowszych, w szczególności niemieckich”, z bacznem uwzględnieniem zdrowéj publicystyki spółczesnéj; jako tym sposobem wypełni właściwe swe przeznaczenie, a mianowicie „wskaże drogi i środki ku zwalczeniu demokracyi socyalnéj”. Przepomniał dodać referent, ażali, zastępując zgryźliwego Tacyta przez „Nową pruską gazetę krzyżową”, nie wypadałoby odrazu wykład tak pojętéj „historyi” powierzyć niższym organom władzy policyjnéj. Na szczęście, pomysły elbląskiego luminarza niezwłocznie otrzymały zasłużoną odprawę z ust korrefenta, prof. Dove'go z Monachium. P. Dove, — autor doskonałych monografii do dziejów włosko-niemieckich w XIII-ym wieku, urwanéj niestety na pierwszym tomie interesującéj historyi Fryderyka W., świetnych życiorysów ludzi spółczesnych w „Powszechnéj biografii niemieckiéj”, — śród swych kolegów z katedry wyróżnia się zarazem i mniejszą liczbą pisanych przez siebie woluminów, i większą wszechstronnością i lotnością umysłu. Naprzeciw pierwszéj tezy Martens'owskiéj wystawił on swoję, w słowach prostych a dorzecznych: „Wykład dziejów już tém samém dostatecznie służy życiu publicznemu, że, w myśl istotnego swego powołania, daje podstawę do ukształcenia historycznego jednostki.” Odpowiadając na drugie postawione pytanie, wyraźnie p. Dove zastrzegł dla nauki historycznéj „przedmiotowość zupełną, wolną od

wszelkiéj tendencyi". — Drugi korreferent, prof. Kaufmann z Wrocławia, znany ze swych prac do dziejów przed-karolińskich, przyłączył się w zupełności do wniosków p. Dove'go, formułując je tylko w sposób nieco łagodniejszy. Dodatkowo proponował wreszcie prof. Stieve uchwałę środkującą, która miała pogodzić sprzeczność jaskrawą w tezach referenta a korreferentów. P. Martens po tym złotym moście śpieszny wykonał odwrót, zrzekając się swoich tez pierwotnych dla wniosku p. Stieve'go. Głosowano więc ostatecznie nad tezami pp. Dove'go i Kaufmanna i uchwalono te ostatnie większością 27 głosów przeciw 25; pierwszą połowę tezy p. Stieve'go przyjęto jednogłośnie; drugą, „patryotyczną", odrzucono większością 38 wotów przeciw 29 [1]).

Po tych gorących a ciekawych, lecz dość bezpłodnych dyskusyach i uchwałach, przystąpiono nazajutrz do rozpraw w przedmiocie seminaryów uniwersyteckich. Seminarya, jak wiadomo, powstały z ćwiczeń historycznych, odbywających się pod okiem profesora w kółku zamkniętém dobranych słuchaczów, przeważnie w zakresie

---

[1]) Oto tekst główniejszych, przyjętych przez zjazd, uchwał: 1. Nauka historyi służy przysposobieniu jednostki do życia publicznego najlepiéj tém samém, że wywiązuje się z naczelnego swego zadania, dając podstawę do ukształcenia historycznego młodzieży... 2. Należy w wykładzie dziejów wystrzegać się wszelkiego zamiaru wyrobienia w młodzieży pewnych określonych poglądów na sprawy i stronnictwa polityczne, kościelne albo społeczne. 3. Niezbędny warunek dla prawidłowego biegu nauki historyi stanowi zupełna niezależność nauczyciela od jakiegokolwiek nacisku ze strony władz państwowych lub kościelnych... 4. W szczególności należy zastrzedz: *a*) wykład historyi nie powinien być w zależności od żadnych względów lub celów konfesyjnych, a zatém dla tego wykładu nie winien być stosowany podział uczniów podług wyznań; *b*) znajdujące się jeszcze w stanie przejściowym procesy dziejowe wewnątrz narodu niemieckiego, a mianowicie walka kościelna (*Kulturkampf*) i zjawiska ją poprzedzające, oraz walki socyalne ostatnich dziesięcioleci nie mogą stanowić przedmiotu dla nauki historyi, lecz jedynie, w miarę potrzeby, mogą być przedstawiane i objaśniane same odnoszące się tutaj wypadki... 5. Główne zadanie wykładu stanowi nie zgromadzenie nadmiaru wiadomości egzaminacyjnych, lecz wyrobienie zmysłu historycznego. Takie wyrobienie wymaga dokładnéj znajomości pewnéj sumy faktów (z doświadczenia zaleca się około 150 dat z dziejów starożytnych i nieco więcéj nad liczbę podwójną z dziejów średniowiecznych i nowożytnych). 6. Co się tyczy wyboru przedmiotu: *a*) winna historya świata klasycznego... zachować naczelne stanowisko wychowawcze... zaś ograniczenie nauki dziejów starożytnych w pruskich planach gimnazyalnych z r. 1892 należy uznać za niewłaściwe; *b*) w historyi średniowiecznéj i nowożytnéj,—która z coraz większemi szczegółami winna być wykładana aż do wypadków r. 1871, lecz, z wyjątkiem krótkiéj wzmianki o pojedyńczych faktach, po za rok 1871-szy nie powinna wykraczać, — punkt ciężkości stanowić powinna historya niemiecka.

dziejów średniowiecznych. Wprowadził je pierwszy Ranke w czwartym lat dziesiątku, a miał wtedy śród uczniów ludzi takich, jak Waitz, Roepell, Sybel, Giesebrecht i inni. Rzecz prosta, że w takiém gronie ćwiczenia z wielkim odbywały się porządkiem; nie ograniczano się na czytaniu i analizie tekstów, na rozbiéraniu drobniejszych kwestyi spornych, lecz z owych skromnych ćwiczeń wyszło mnóstwo cennych prac naukowych, a nawet tutaj wzięło początek pomnikowe wydawnictwo „Roczników cesarstwa niemieckiego". Z biegiem czasu znaczne zaprowadzono udogodnienia: zamiast, jak dawniéj, sposobem czysto prywatnym, w mieszkaniu profesora, odbywają się dziś ćwiczenia w pomieszczeniach specyalnych, które daje uniwersytet, w „seminaryach", zaopatrzonych w stosowną bibliotekę podręczną; zajęcia seminaryjne, zazwyczaj bezpłatne, mają asygnowany dla siebie odpowiedni fundusz, figurują na urzędowym planie wykładów, obejmują zazwyczaj przedmiot, z góry zapowiadany na okres jednego semestru (półrocza). Wszakże nie można powiedzieć, aby udoskonalonéj reglementacyi odpowiadał wzrost produkcyjności naukowéj seminaryów. Jestto metoda nauczania trochę dziś w Niemczech nadużywana. Każdy szanujący się profesor prowadzi seminaryum na własną rękę, co nie jest rzeczą łatwą dla dwóch względów: naprzód niełatwo dobrać stosowne grono uczestników, powtóre, niełatwo dobrać przedmiot stosowny zajęć. Przytém umiejętne kierownictwo seminaryum jest rzeczą nieladajaką: profesor musi być doskonale obznajmiony z danym przedmiotem, odpowiadać na wszystkie najtrudniejsze, a nawet najelementarniejsze, pytania, trzymać w garści dyskusyę, śród niedoświadczonych uczestników co chwila gotową rozstrzelić się na wszystkie strony, nie spuszczać z oka linii wytycznéj danego roztrząsania, baczyć, aby się ono posuwało naprzód i aby wszyscy „seminarzyści" pospołu do niego przyłożyli ręki. W rzeczywistości tak się najczęściéj dzieje, że profesor-kierownik obiéra, jako przedmiot ćwiczeń, taką kwestyę naukową, jaka wkracza w zakres własnych jego w danéj chwili poszukiwań specyalnych, a która albo nuży, albo nawet przechodzi siły uczących się. Z drugiéj strony, do zbyt licznych, równolegle funkcyonujących przy jednéj wszechnicy seminaryów niepodobna rekrutować same lepsze głowy; wybór jest ścieśniony, a młodych Waitz'ów czy Giesebrecht'ów niełacno znaléść w audytoryum. Rezultat bywa taki, że jeden, drugi, ze studentów sporo skorzysta, reszta poprostu czas traci, profesor-kierownik wyczerpuje się bez potrzeby. Jeden z najwytrawniejszych takich kierowników z żywością opisywał nam męki, jakie przechodził, kiedy razu jednego, jako temat do zajęć seminaryjnych, ogło-

sił dość zawiłą sprawę zdrady Wallensteina, a natrafił na grono tępych seminarzystów, z którymi niepodobna było trafić do ładu. Żalów w tym rodzaju dało się słyszéć wiele na zjeździe monachijskim i jakkolwiek w téj materyi żadnéj nie powzięto uchwały, zdaje się jednak, że metoda nauczania seminaryjnego będzie nadal stosowaną z większą niż dotychczas oględnością i umiarkowaniem.

Ostatnie posiedzenie zjazdu monachijskiego, choć na niém najmniéj było oratorstwa, było w gruncie rzeczy najciekawszém: roztrząsano żywotną sprawę „ułatwienia dostępu do archiwów i zbiorów rękopiśmiennych”. Obrany referentem prof. Heigel, przedstawił zjazdowi do zatwierdzenia siedm tez w tym przedmiocie, które w interesującym odczycie starał się uzasadnić [1]). Niepodobna zaprzeczyć, że w przeciągu ostatnich lat dwudziestu wiele uczyniono dla ułatwienia poszukiwań archiwalnych. W archiwach wiedeńskich, zamurowanych dawniéj dla badacza, nową erę liberalną otworzył zacny v. Arneth i pomnik, trwalszy od spiżu, wystawił sobie w sercach poszukiwaczy ineditów; w jego ślady wstąpili dyrektorowie archiwów rządowych innych krajów, i dzisiaj otwarty jest Watykan, pracować można w Petersburgu i Moskwie. Wszelako, cokolwiek już uczyniono, wiele jeszcze pozostaje do zrobienia. Zachowane zostały liczne a uciążliwe formalności i ograniczenia przy poszukiwaniach archiwalnych: a więc w wielu wypadkach odwoływać się trzeba do drogi dyplomatycznéj (jestto reguła dla cudzoziemców, którzy obowiązani są zwracać się uprzednio przez swego ambasadora do ministeryum spraw zagranicznych po pozwolenie wstępu do archiwów rządowych); w wielu archiwach, np. w tajném berlińskiém, wzbroniony jest dostęp do repertoryów i t. p. P. Heigel wskazywał te niedogodności, domagając się ich usunięcia. Uznał w zasadzie słuszność tych zarzutów w swéj odpowiedzi p. Wiegand, dyrektor archiwum strasburskiego; przyznał nawet, że w kilku wypadkach zupełnie zamknięto dla uczonych francuskich archiwa niemieckie, dla pobudek natury politycznéj. Jeśli się nie mylimy, taki rygor stosowany bywał nietylko względem Francuzów: upewniano nas, że p. Philippsohn swoją „Historyę państwa pruskiego” zmuszony był przerwać na drugim tomie dla tego samego powodu. Z humorem wziął obronę zarządów archiwalnych gen. v. Wetzer, dyrektor wiedeńskiego archiwum wojny, który, chętnie ofiarując gościnność dla

[1]) Ten odczyt p. t.: *Über Benützung von Bibliotheken und Archiven zu wissenschaftlichen Zwecken*, ogł. w Dodatku do „Monachijskiéj gazety powszechnéj” 14 i 15 kwietnia 1893 r.

uczonych prawdziwych, gorzkie wywodził żale nad plagą archiwistów, „badaczami genealogicznymi", oraz „*gourmand*'ami archiwalnymi", szukającymi w archiwach albo swoich przodków albo efektownych felietonów. Zresztą p. v. Wetzer zupełnie przyłączył się do wniosków p. Heigela, z tym jedynie wyjątkiem, że proponowany przez tego ostatniego obowiązkowy druk repertoryów, uznał—jak mniemamy, zupełnie zasadnie—za rzecz niepraktyczną, w wielu wypadkach zgoła niewykonalną. Z tym téż wyjątkiem tezy Heigel'owskie jednomyślnie zostały uchwalone, na czém zjazd zamknięto [1].

Na zjazd następny do Lipska w kwietniu r. b. zgromadziło się dużo już liczniejsze grono, do trzystu kilkudziesięciu uczestników, śród których atoli znaczna, niestety, przewaga figurantów, zaś postaci wybitniejszych niewiele więcéj, niż roku zeszłego w Monachium. Prezydował prof. Lamprecht z Lipska. Godzi się zaznaczyć w ogólności, że tym razem zjazd, z sympatycznéj stolicy bawarskiéj przesunięty daléj na północ, inny już miał charakter, utracił nastrój swobodny, jaki wszystkich ludzi, nawet mężów kongresowych, ogarnia nad wesołą Izarą, przyoblekł się natomiast w pewną dygnitarską powagę. Już pierwszego dnia w przemowie wstępnéj prezydującego znalazły się urzędowe wiwaty na cześć rozmaitych ministrów i radców tajnych; a ks. Bismarckowi posłano powinszowanie gremialne z okazyi urodzin (1 kwiet.), posłano telegramy hołdownicze do kilku ministrów, jednego rzeczywistego księcia i jednego radcy tajnego, jako łaskawych mecenasów nauki historycznéj. Taki nastrój zjazdu uczonych, zachęcił jednego z najmniéj powołanych uczestników, p. Horst Kohla, znanego publicystę od wydawnictw bismarckowskich do wystąpienia z osobliwszym wnioskiem. P. Kohl oświadczył, że zamierza od 1895 r. wydawać „Rocznik ks. Bismarcka", mający zawiérać źródła do dziejów byłego kanclerza, do dziejów jego rodziny, przyczynki do ikonografii bismarckowskiéj *(sic: „Beiträge zur Bismarck-Ikonographie")* i inne piękne rzeczy; owóż żądał on ni mniéj, ni więcéj, jeno, aby uczony zjazd historyków urzędownie się zsolidaryzował z tém jego przedsiębiorstwem. Sprawiedli-

[1] Oto główniejsze z tez uchwalonych: 2) Upoważnienie do korzystania z archiwum ma być wydawane samodzielnie przez dyrektora tegoż archiwum, bez udziału władzy rządowéj. 3) Dozwolony ma być przystęp do archiwaliów, dotyczących wypadków do r. 1847 włącznie. 4) Zarządom archiwalnym przysługiwać ma prawo okazywania pracującym repertoryów i katalogów kartkowych. 7) Kopie dokumentów mają być sporządzane na życzenie osób prywatnych przez urzędników archiwalnych podług stałéj taksy.

wość nakazuje stwierdzić, że zjazd, mimo wstawiennictwa prof. Lamprechta, pozostał głuchym na tę propozycyę. Również stwierdzić należy, że wiwaty i telegramy polityczne w imieniu zjazdu, nie wszystkim uczestnikom przypadły do smaku. Jeden z nich, prof. Quidde, monachijczyk, człowiek razem nauki i dowcipu, odparu lat założyciel i wydawca doskonałéj *Zeitschrift für Geschichtswissenschaft*, nie omieszka w wolnomyślnéj „Gazecie frankfurckiéj" z werwą ochłostać niestosowności zjazdu lipskiego.

Po za tą stroną śmieszną, była wszakże w obradach zjazdu strona poważna i użyteczna. Nawiązując przerwany tok obrad monachijskich, zajęto się przedewszystkiém sprawą „Stanowiska historyi starożytnéj w nauczaniu szkolném". Nie będziemy wdawali się w szczegółowsze wyłuszczenie przydługich nieco tez trzech referentów, z których jeden, p. Hannack z Wiednia, wstępując w ślady p. Martensa, znowuż domagał się, aby zawczasu „przygotowywać i zbroić młodzież do walki z dążeniami socyalistycznemi", i dopatrywał się w tym względzie ratunku przez „obszerne traktowanie dziejów Egiptu. oraz państw mezopotamskich". Po dyskusyi, dosyć zresztą czczéj i nieporządnéj, zjazd wymówił się od zwalczania demokracyi socyalnéj mozolną drogą przez Mezopotamię, energicznie natomiast zalecił gruntowny wykład dziejów klasycznych w związku z porządną lekturą źródeł. Można téj uchwale tylko przyklasnąć, a zarazem żałować, że w naszych zakładach wychowawczych średnich nauka historyi starożytnéj, zupełnie odłączona od nauki języków, nie wyciąga z niéj żadnego absolutnie pożytku; uczniowie, jeśli cytują Ksenofonta i Liwiusza, zachowują z nich tylko słówka, nie treść dziejową, zaś takich pisarzów, jak Tucydyd albo Tacyt, najczęściéj wcale nie dostają do ręki w oryginale.

Wielce zajmujące były prowadzone w dalszym ciągu rozprawy nad „Stanowiskiem i znaczeniem poszukiwań lokalno-historycznych". Ten rodzaj badań w ostatnich czasach znakomicie rozwinął się w Niemczech, tak dalece, że dzisiaj w ogromie źródłowych wydawnictw oddzielnych krajów, prowincyi, a nawet zakątków, wprost trudno się zoryentować. Dzieje się tak zresztą nietylko w Niemczech; niemniejszą obfitość i urozmaicenie przedstawia pod tym względem spółczesna historyografia francuska; zaś piśmiennictwo historyczne włoskie prawdę rzekłszy, nie jest podziśdzień niczém innéni, jak zbiorowiskiem nader cennych, nader gruntownych, lecz też nadmiernie rozstrzelonych badań w zakresie monograficzno-lokalnym. Zjazd lipski wystąpił z rozumną inicyatywą skupienia tych nadto rozstrzelonych poszukiwań w dziedzinie historyi niemieckiéj, których w końcu i najwprawniejsze oko niezdolne jest ogarnąć. Na początek grono spra-

wozdawców z różnych stron Niemiec zdawało treściwie relacyę z miejscowych prac i wydawnictw. Wyjmujemy z tych sprawozdań więcéj tu obchodzące dane, odnoszące się do Szląska oraz Prus wschodnich. P. Markgraf z Wrocławia przemawiał w imieniu Stowarzyszenia do dziejów i starożytności Szląska, założonego 1846 r. przez Stenzela. Stowarzyszenie szląskie liczy obecnie do 600 członków, opłata roczna wynosi 6 marek, dodatkowo asygnowane są wsparcia na rzecz wydawnictw Stowarzyszenia przez sejm prowincyonalny, Wrocław, oraz pomniejsze miasta. Tym sposobem można było ogłosić kilkanaście tomów *Scriptores rer. Siles.*, cennego wydawnictwa, podjętego przed kilkudziesięciu laty na własną rękę przez niezmordowanego Stenzel'a. Obok tego wydawany jest *Codex dipl. Silesiae*, zawierający dotychczas w kilkunastu woluminach regesty szląskie oraz przyczynki źródłowe do stosunków kościelnych, sądowych, miejskich i t. p. Od 1855 r. wychodzi nieprzerwanie przy Towarzystwie czasopismo peryodyczne. Pomyślny rozwój swéj działalności zawdzięcza Towarzystwo w znacznéj mierze znakomitym następcom Stenzel'a, Roepell'owi, oraz pp. Wattenbach i Grünhagen.—Prof. Prutz zdawał sprawę z wydawnictw Towarzystwa do dziejów Prus wschodnich i zachodnich, ufundowanego 1873 r. przez zmarłego niedawno Maurenbrecher'a. Liczy ono obecnie nie więcéj nad 150 uczestników, rozporządza szczupłym budżetem paru tysięcy marek rocznie, lecz względnie do środków tak ograniczonych niezwykłą objawia ruchliwość. A więc w związku ze znaném wydawnictwem dawniejszém *Scriptores rer. pruss.* ogłosiło pięć tomów dyaryuszów sejmowych pruskich do r. 1525 włącznie, tyleż tomów *Ss.* pruskich XVI i XVII w., rachunki handlowe Zakonu i t. d. Uzupełnia te wydawnictwa z jednéj strony ruchliwa praca edytorska Towarzystwa historycznego dla Prus Zachodnich, istniejącego w Gdańsku od 1879 r., które między innemi przystąpiło do ogłoszenia akt sejmikowych województw pruskich od 1466 r., oraz z drugiéj strony publikacye Towarzystwa dla historyi Warmii, — któremu dostał się od p. Prutza zarzut stronniczości katolicko-konfesyjnéj o tyle niewłaściwie, że analogiczny zarzut uprzedzeń protestanckich możnaby z większą bodaj słusznością uczynić niektórym wydawcom z obozu Towarzystwa królewieckiego i gdańskiego.

Kwestyę niepozorną, lecz niemałéj doniosłości praktycznéj wzięto pod rozwagę na ostatniém posiedzeniu zjazdu. P. Stieve przedstawił szereg sformułowanych przez siebie „zasad edytorskich przy ogłaszaniu dokumentów do dziejów nowożytnych”. Takich dokumentów dzisiaj pojawia się w druku najwięcéj, wydawane są najdowolniéj, bądź z przesadną drobiazgowością, przez co tworzą się dziesiątki zbytecz-

nych woluminów, w których literalnie się ginie — przypominamy np. Zbiór petersburskiego Towarzystwa historycznego, którego sto wielkich tomów możnaby doskonale zmieścić w dwudziestu,—bądź ze zbytnią swobodą wplatane do rozumowanego wykładu, przez co powstają nieraz luki—jak to zbyt często się dzieje w nowszych, skądinąd ciekawych, bo źródłowych, monografiach francuskich, zwłaszcza do XVIII wieku. Ujednostajnienie metody edytorskiéj jest tutaj wielce pożąném. P. Stieve proponuje, aby ogłaszano dosłownie i w całości tylko dokumenty najważniejsze, a więc z zasady listy własnoręczne i dzienniki osobistości wybitniejszych, o ile zawierają treść godną uwagi; mniéj ważne rzeczy winny być drukowane w dosłownych wyciągach; do streszczenia nadają się jedynie przyczynki najmniejszéj doniosłości. Pisownia ma być w miarę możności uproszczona i do dzisiejszéj zbliżona, interpunkcya stosowana zupełnie ustalonym obecnie sposobem, w ogólności archaizm przesadny unikany, o ile stanowi szkopuł w czytaniu; tytuły, zwroty kancelaryjne, komplementy w korespondencyi i t. p., bądź podawane w ustalonych skrótach, bądź zgoła opuszczane; format zachowany dużéj ósemki, gotyk stale zastępowany drukiem łacińskim, indeksy imienne obowiązkowo umieszczane na końcu każdego tomu. Są to wszystko rzeczy oddawna praktykowane; chodzi o to, aby im zapewnić powszechne a jednostajne zastosowanie. Zjazd lipski dla braku czasu zmuszony był uchwały w téj mierze odłożyć do zjazdu następnego [1]).

Ten zjazd następny odbyć się ma znowu w kwietniu roku przyszłego. Na to się zgodzono odrazu; lecz poczęto się spierać, kiedy chodziło z kolei o wyznaczenie nowego miejsca zebrania. W Monachium, kiedy się żegnano w roku zeszłym, jeden z uczestników wyraził życzenie, aby „Lipsk został pośrednikiem pomiędzy Północą a Południem”, zaś kto inny wyraził nadzieję, że „droga z Monachium na Lipsk prowadzić będzie do Berlina”. Ta nadzieja się nie ziściła. Nie zgodzono się na Berlin, choć stolica Niemiec dzisiejszych wy-

[1]) Główne uchwały lipskie: I. Ponieważ istotna lektura źródeł możliwą jest w szkole jedynie w dziedzinie świata starożytnego, winna tedy nauka historyi starożytnéj stanowić podstawę całego dalszego historycznego ukształcenia. Dzieje ludów starożytnego wschodu winny być uwzględniane jedynie w ścisłym związku z historyą grecką, oraz w miarę jak tłómaczą powstanie państwa perskiego. II. Jest rzeczą nader do życzenia, ażeby łącznie z przyszłemi zjazdami historycznemi odbywały się narady przedstawicieli miejscowych instytucyi wydawniczych, w celu porozumienia się w sprawach ogólniejszego znaczenia. IV. Zjazd zaleca poparcie naukowe przy nowém opracowaniu atlasu Sprunera-Menke'go (nową edycyę tego doskonałego atlasu historycznego przygotowuje firma wydawnicza Perthes'a w Gotha).

dačby się mogła najstosowniejszym punktem zbornym dla uczonych, piastujących przeszłość Niemiec. Czyżby Niemcy dawniejsze nie dawały się do dzisiejszych dostroić? Proponowano Hanower, zdecydowano się na Marburg, jako miasto uniwersyteckie i bądź co bądź pruskie. Może istotnie tą drogą trafi jeszcze kiedyś zjazd do Berlina; w każdym razie, zdaje się, że zjazdy historyczne w Niemczech przyjęły się i będą nie bez pożytku funkcyonowały nadal. Że *tantae molis erat* przywołać je do życia i przy życiu utrzymywać, — pozostanie jednakże objawem ciekawym i pouczającym.

Szymon Askenazy.



OSTATNI UTWÓR
JERZEGO BRANDESA.

Prezentując czytelnikowi nowy tom Jerzego Brandesa, możemy śmiało opuścić szereg tytułów, jaki używanym bywa zazwyczaj w innych, podobnych wypadkach: krytyk duński umiał sobie wyrobić mimo to ogólno-europejskie nazwisko, a pisząc po niemiecku równie dobrze, jak w ojczystym języku—w literaturze germańskiéj zajął miejsce istotnie dla szerokości (niekoniecznie głębokości) poglądów wybitne i przedewszystkiém specyalne. Kiedy zmuszony opuścić ojczyznę, na obczyźnie rozbił namiot czasowy,—z wygnańca urósł na człowieka niezwykłéj miary, i fale zachodnich zachwytów odbić się i u nas musiały echem sympatycznego uznania. Późniéj poznano się bliżéj—no i, jak często bywa w życiu, zamiast węzeł uczuć przyjaznych zadzierzgnąć silniéj, osłabiono go: snać przeceniono go, na ślepo sądząc. Dzisiaj objawia się znowu silniejsze zajęcie dla prac krytycznych Duńczyka, tłómaczą jego „Umysły współczesne" — może nie będzie więc zbyteczném, jeżeli kilka słów poświęcimy najnowszéj jego, dla Europy przeznaczonéj pracy.

„Ludzie i dzieła" (*Menschen und Werke. Essays von Georg Brandes*, 1894, str. V, 533) — szesnaście szkiców literackich, jako całość łączą się organicznie z wydanym przed laty dwunastu zbiorem, wychodzącym u nas obecnie w przekładzie, i obejmują w momentach wybitnych literatury północną (sześć szkiców), niemiecką (cztery szkice), francuską (trzy portrety) i ruską (4 prace). Nie będziemy oczywi-

ście opowiadali treści wszystkich zebranych tutaj, po większéj części drukowanych już dawniéj po miesięcznikach i dziennikach nawet—niemieckich (*Deutsche Rundschau*, *N. Freie Presse*), krytyk literackich; to, co istotnie jest w nich wartościowego, należałoby włączyć do wydawanego już dzisiaj zbioru; mówiąc „istotnie wartościowego" — mamy na myśli kilka szkiców, w których krytyk omawia albo portretuje pisarzy swoich, których zna i rozumie najlepiéj, lepiéj w każdym razie niż pisarzy obcych, mówiąc o których, znać nie może—i, co więcéj, odczuwać, tła historycznego i warunków, w jakich się rodzili, wpływów, pod jakiemi dojrzéwali: tylko z opisu, albo ze słownéj opowieści znać może atmosferę cieplarnianą, w jakiéj powstała „Sonata Kreutzera" Tołstoja, albo wstrząsające tragedye Dostojewskiego, albo „Tkacze" Hauptmann'a. Są tutaj rzeczy ciekawe, jak historya Oehlenschläger'a o „Alladynie i jego cudownéj lampie" (o ile sobie przypominam — rzecz tę opowiedział nam w Warszawie, za pierwszą bytnością 1885 r.) — rzecz i dla nas nie bez wartości, albo szkic o nieznanym u nas zupełnie Krystyanie Elsterze, o Kiellandzie", o Strundbergu, o niedocenianym Jakobsenie. Jestto właściwie wszystko, co — według mego skromnego zapatrywania—tłómacz wydobyć może dla nas wartościowego. Reszta albo już przetłómaczoną została (Zola, Holberg, Guy de Maupassant, Nietzsche) albo pominiętą być może bez wyrzutów sumienia. Najsłabszym jest szkic zatytułowany *Goethe und Dänemark*, zdaje się, drukowany w jednym z tomów *Goethe Jahrbuch*'u: rzecz dziwna, szkic ten pochodzi z czasów najlepszych w życiu literackiém Brandesa.

Zwolniliśmy się od obowiązku opowiadania treści wykładu autora — ale niesprawiedliwością byłoby, gdybyśmy w milczeniu przeszli nad tym pięknym, welinowym i ogromnym tomem. Zanotujemy kilka ustępów, które pomódz mogą czytelnikowi przy formułowaniu charakterystyki pisarza duńskiego. Uszeregujemy wpierw cytaty—wnioski już będzie łatwo wysnuć *ex post*.

Kiedy mówi o wyjątkowém znaczeniu Ludwika Holberga dla literatur północy, wyrywa mu się następujące znamienne zdanie: „Był bowiem zupełnie innym, niż inni ludzie współcześni na północy, między którymi nikt nie był do niego podobnym; nie przypominał nawet nikogo z przeszłości... Jedno bowiem istnieje niebezpieczeństwo, które grozi zawsze nowoczesnym społeczeństwom, jedna zaraza ducha, która szerzy się coraz silniéj—ta mianowicie, że wszyscy stają się podobni do siebie, że wszyscy, stanowiący jakiekolwiek koło, kraj, kastę—rozumieją tylko siebie i stają się tuzinkowemi istotami o rysach wspólnych, tych samych pojęciach i przesądach, cnotach i grzéchach — małych wadach, groszo-

wych cnotach, ogromnéj mierności... Do wielkich dobroczyńców ludzkości liczą się ci, którzy skutecznie starali się płynąć przeciwko prądowi — Holberg jest właśnie takim kamieniem, który łaskawy los Danii rzucił na środek prądu — i stał się dla prądu tego groblą (str. 62—63).

W innym, bardzo charakterystycznym ustępie pracy o Nitzsche'm na str. 209 mówi: „Filozofowie fachowi ostrzegają nas przed Nitzsche'm. Obawy utworzenia się w Niemczech szkoły nitzscheanistów podzielać nie mogę, nie będąc Niemcem; wyznaję jednak, że obchodzi mnie to bardzo mało. Są ludzie, którzy, gdy czytają cokolwiek, pytają się przedewszystkiém: czy to dobre i słuszne, albo złe i nieprawdziwe? Są inni znowu, u których pytanie takie powstaje wtórnie dopiéro a którzy pytają siebie przedewszystkiém: Czy człowiek, który to napisał jest zajmującym, wybitnym, wartym poznania — albo nie? Jeżeli tak, to prawdziwość jego poglądów, jakkolwiek ważna, posiada drugorzędne znaczenie. Dojrzalsi czytelnicy nie będą przecież studyowali Nitzsche'go z zamiarem przejmowania się jego poglądami albo, co więcéj, szerzenia propagandy dla nich; jest nawet dla nich obojętném, czy większą albo mniejszą ilość zdań należy uważać za mylną. Czują zadowolenie z tego, że spotkali pierwotnie-oryginalną, potężną jednostkę. Czy Nitzsche jest reakcyonistą? Cóż z tego! J. de Maistre był jeszcze bardziéj reakcyjnym, a jednak jest człowiekiem znaczenia (*werthvoll*), jakkolwiek daleko mniejszego, niż Nitzsche. Czy jest cynicznym? Cóż to szkodzi! Cynizm może bardzo dobroczynnie oddziaływać, a my wszak niekoniecznie chcemy nieświadomie powtarzać za nim to, co mówi. Że jest dyletantem w wiedzy ścisłéj. Bardzo możliwie. Są atoli dyletanci, którzy więcéj poruszyli w nas myśli, niż najgruntowniejsi specyaliści. Że jest więcéj artystą, niż myślicielem! Nie zaprzeczamy — nie umiemy jednak oddzielić artysty od myśliciela i przyjemność znajdujemy w obu, nie najmniejszą wtedy, kiedy artysta myśli, a filozof śni. My nie jesteśmy dziećmi, którym trzeba nauki, ale sceptykami, którzy szukają ludzi, i cieszymy się, kiedy znajdujemy człowieka—coś, co się spotyka najrzadziéj.

Nie boimy się, kiedy filozof nazywa podziwianego przez Nitzsche'go Beyle'a „osławionym wskutek niespętanéj rozwiązłości cynikiem Stendhal'em". Oddajemy dwudziestu grzecznych i cnotliwych pisarzów za jednego Beyle'a. I jeżeli zapewniają nas, że Stendhal „uchodził za przerafinowanego lubieżnika i lekkomyślnego cynika swego czasu", to filozof nie przypuszcza wcale, jak mało ci właśnie czytelnicy, jakich życzył sobie Nitzsche, dbają o to, za co się u c h o d z i w oczach czytającego świata, czytającego tłumu ludzkiego. Mężczy-

zni i kobiéty, którzy czczą Nitzsche'go i Beyle'a, nie patrzą na tych pisarzy ze stanowiska ojców rodziny albo przezornych ciotek..."

Przepisaliśmy pół stronicy — i otrzymaliśmy dokument, prawdziwy literacki dokument. Wiemy oczywiście, z kim mówimy, widzimy, kto stoi przed nami. Śród różnobarwnéj ciżby ludzkiéj, albo właściwie, śród umysłów literackich (ponieważ dzisiaj jeszcze w Europie mówić można o narodach analfabetycznych), można wybitnie, matematycznie odróżnić dwa odmienne typy o kulturach tak silnie oryginalnych, tak ostrych, jak portrety Cezarów na monetach rzymskich — są to dwa typy, które w czasach najnowszych potrafią istnieć obok siebie, jakkolwiek są sobie wrogie, przeciwne, biegunowo odmienne. Bywały epoki, jak odrodzenie albo reformacya, kiedy typy takie (za każdym razem jeden) krystalizowały w sobie wszystkie pragnienia epoki, albo dziedziny myśli, albo życia indywidualnego. Hellen był, po nim następował typ, który mierzył wszystko, i naukę, i sztukę, i religię miarą obowiązku — w stuleciu naszém jednak obok Heinego nauczyliśmy się liczyć z Ludwikiem Börnem, liczyć—i cenić. Ten „hellenizm" Brandesa jeszcze lepiéj zobaczymy w jednym jeszcze ustępie. „Moralista Tolstoj— czytamy w szkicu „Zwierzę w człowieku", str. 385—*(Sonata Kreutzera)* i światowiec Maupassant" *(Un cas de divorce)* z jednakową niechęcią rozpatrują pra-stosunek obojga płci, który im się wydaje obrazą godności człowieczéj — paryskiemu pisarzowi zdaje się być poniżającym, rudymentem niezwyciężonéj natury pierwotnéj, ruskiemu natomiast — rezultatem przeholowanéj, zmysłowéj, nienaturalnéj cywilizacyi. Zola wreszcie *(La bête humaine)* jest nawskroś przekonanym deterministą, u którego zwierzę ludzkie, myśl ludzka, wola ludzka muszą rozwijać się według pewnych praw i który wzamian nadto znajduje fantastyczne zadośćuczynienie w nadawaniu cech życia przedmiotom nieżyjącym. Ludzką, prawdziwie ludzką jest tylko maszyna — tak zdaje się mówić. Ludzką, prawdziwie ludzką jest tylko cywiliyacya — zdaje się mówić Maupassant *(La beauté inutile)*, gdzie kruszy kopię potępienia nad wszystkiém, co jest naturą. Ludzkiém, szlachetnie ludzkiém, boskiém jest skupienie duszy w nabożném uczuciu i modlitwie — mówi Bourget. Ludzką nie jest ani kultura, ani cywilizacya—mówi Tolstoj — ale jest nim ten rodzaj życia, który nie przeciwdziała złemu, nie karze niesprawiedliwości, nie dba o dobro materyalne i prowadzi mężczyznę i kobiétę do tego punktu, gdzie patrzą na siebie oczyma brata i siostry. Oto, jak mówią ci, którzy uznani są za mędrców (?) naszych czasów, przemawiają do największéj i najbardziéj wybranéj publiczności. Gdyby tak — kończy Brandes — stary Hellen z doby klasycznéj dziejów grec-

kich mógł powstać z prochów swych i usłyszał takie sądy—załamałby ze zdziwienia nad nimi ręce nad piękną swą głową"...

Jest ogromna różnica pomiędzy tém, co Brandes pisał dawniéj i tomem, który dał nam dzisiaj, niczém niezabrukowana, pusta przepaść wieku. Czuć już w niéj powiewy jesienne, chłód rozwagi, pesymizm doświadczeń życiowych, rezygnacyą dla przesądów ludzkich, dla bezsilności ludzkiéj, dla tchórzostwa, dla głupoty ludzkiéj. Gdzie podziały się owe płomienie, przy których grzał się ongi nietylko duński czytelnik „Głównych prądów", albo biografii Lassalle'a? *Dahin, dahin!* Proszę posłuchać! „...Przeznaczeniem naszych pomysłów (str. 464—5) jest, ażeby chybiły celu, naszéj broni, ażeby nie dały strzału, naszéj odwagi, ażeby zelżała, naszéj woli, ażeby strzaskaną została niby szkło, naszych planów wreszcie, ażeby płodziły skutki przedwcześnie albo, jeżeli w czasie właściwym—płodziły trupa. Żywioły czynią z nas zabawkę dla siebie. Pożeramy bowiem siebie, kiedy naszych pragnień nie gasimy, pożądaniem, a ugasiwszy je pożeramy siebie—rozczarowaniem, które następuje po spełnionym fakcie. Rozczarowanie stwarza nowe pragnienie, a ostatnie znowu budzi świéże rozczarowanie. Myśli nasze dręczą nas, kiedy je zachowujemy dla siebie, a świat umęcza nas, kiedy je wypowiadamy; myśl była przytém tylko w połowie prawdziwą, a że była taką tylko, boli nas to. Nie znosimy cierpliwie stanu, kiedy jesteśmy samotni, a mimo to skazani jesteśmy na ciągłą samotność. Nie ten kto śpi, albo ten kto umiéra, jest bardziéj samotnym od tego, kto szuka innych, pożąda ich towarzystwa i pragnie usilnie, ażeby go rozumiano. Nikt bowiem go nie rozumié. Giniemy każdy dla siebie w pustyni. A jednak, jakkolwiek nie rozumiemy, musimy kochać i bywamy kochani, jakkolwiek nas nie rozumieją, a jeżeli kochamy i bywamy kochani, musimy tracić to, co kochamy. Rozstanie i śmierć — oto są zawsze ostatnie słowa, aż wreszcie, jak inni, dostępujemy końca dni naszych."

Moglibyśmy cytat takich przytoczyć więcéj, ale i to wystarczy. Zmęczony jest już dzisiaj szermierz postępu, wyczerpany i wypisany. Walka polityczna i literacka, która stanowi treść jego życia, podcięła skrzydła téj energii, pewnéj zwycięstwa, świadoméj doby i celów, z jaką poraz pierwszy około r. 1870 stawał młody dr. Brandes na katedrze uniwersyteckiéj. Mówiliśmy: wypisał się — jestto dosłownie wiernem. Nie czytałem jego utworów oryginalnych, w ojczystym pisanych języku, ale z własnych słów jego powtórzyć można, pisząc 24 tomy (wyraźnie dwadzieścia cztery) krytyki literackiéj — można się wypisać. Krytyka tu, mimo to, posiada pewne, chociaż niezbyt wy-

bitne (właściwiéj niezbyt monumentalne) cechy charakterystyczne. Brandes nie jest Taine'm nietylko dlatego, że, jako myśliciel stoi od niego o wiele stopni niżéj, nie jest wcale głębokim filozofem, płytkim raczéj po powierzchni ciekawych zagadnień filozoficznych (psychologicznych) prześlizgującym się, blyskotliwym umysłem estetycznym (*bel esprit*); ale nie jest podobnym do znakomitego autora „Historyi literatury angielskiéj" i „Portretu Balzaka"—wymieniliśmy nie bez celu dwa te genialne utwory—gdyż stanowisko jego względem utworów sztuki jest inne zupełnie, niż u Taine'a. Ostatni bada warunki, w jakich dany utwór powstał niezależnie od artysty, który go stworzyl, a który dla Taine'a jest także tylko przedmiotem — nie podmiotem. Brandes zaś uważa warunki zewnętrzne—*le milieu* — za rzecz jeżeli nie drugorzędną, to w każdym razie mniéj przy ocenie utworu ważną, niż zrozumieniu procesów, przy pomocy których z jednakowych być może fizyologiczne mózgów powstały rysy „Mojżesza" w genialnym marmurze Michała Anioła, albo poematy Byrona, albo obrazy Matejki. „Krytyka, jak sam powiedział kiedyś, nie sądzi—rozumie tylko." Możeby lepiéj było powiedzieć—odczuwa. I w istocie saméj, rzadko napotkać można śród „sądownictwa" literackiego duszę tak podatną na bodźce zewnętrznych autorskich wpływów, serce tak czułe na wszystkie stany, przeżyte przez portretowanego pisarza. Mimoza — rzekłbyś. Zdaje się, że z tego właśnie stanowiska oceniać go, sądzić, tylko należy. I rzecz dziwna. We Francyi, która skocentrowała dzisiaj, nawet po śmierci Taine'a, u siebie najlepsze siły krytyczne, przeciwko doktrynom Taine'a opozycya powstała nader silna. Już najmłodszy, tak młodo zmarły E. Hennequin ostrzegał wymownie i przekonywająco przed niebezpieczeństwem, jakiém grozi nadużywanie formuły „*du milieu*" (*La critique scientifique*); dał kilka portretów według swéj metody pisanych (*Ecrivains francisés*); Guyau szuka ideału w duszy artysty, Lemaître zaś głosi otwarcie ewangelię duńskiego krytyka. Jestto dogmat oczywiście niezupełny, jednostronny i całkowitéj treści, jaką zawiera pojęcie „krytyki literackiéj", będącéj nauką i sztuką zarazem, psychologią i poezyą, a nadewszystko miłością—nie wyczerpuje. Nie stanowi ten zarzut atoli jeszcze o wyłączeniu autora „prądów" od stołu sędziowskiego, przy jakim zasiada na Zachodzie już oddawna (p. Mahrburg, „Taine", 1890, i Kozłowski, „Dekadentyzm", 1893). Jeszcze jedno. Nie należy zapominać także wszystkiego, co uczynił dla Danii, która ostatnią epokę swego rozwoju umysłowego jego chrzci imieniem (por. Hanssona, „Młoda Skandynawia"): kiedy w roku zeszłym obchodzono jego jubileusz literacki, cały naród brał wtedy

w nim udział serdeczny i słuchał natchnionych słów krytyka o „Ogniu” (apostrofa do pochodu z pochodniami, w którym uczestniczyło 10,000 osób). Wreszcie — *last not least* — jest nam bardzo życzliwym. Wywiózł od nas wspomnienia jaknajlepsze, których ślady zostawił poważne w literaturze skandynawskiéj. Niedawno pisał w liście, z którego pozwolono mi korzystać: *Sie wissen, wie ich Polen und die Polen liebe* — byłoby więc stanowczą obrazą naczelnego dogmatu naszego narodowego katechizmu — naszéj gościnności, gdybyśmy byli conajmniéj za tę sympatyę niewdzięczni.

Sp.



Nieznane dzieło filozoficzne Vitelliona.

Oprócz cenionéj bardzo w swoim czasie „Optyki", oraz traktatu „O perspektywie" Vitellion (mylnie nazywany Ciołkiem) napisał, jak świadczą znajdujące się w tych dwóch dziełach jego wzmianki, kilka innych treści astronomicznéj, przyrodniczéj i filozoficznéj [1]). Pomiędzy temi ostatniemi znajduje się traktat „O porządku istnień", o którym kilka razy wspomina Vitellion w dedykacyi optyki i innych miejscach. P. Rubczyński [2]) odszukał w Laurencyanie florenckiéj rękopis pod tytułem *De intelligentia*, przypisywany Alanusowi, a zbadawszy go bliżéj, oraz określiwszy charakter pisma, przekonał się, że należy nie do XIII-go, lecz do XIV-go stulecia, a treścią swoją odpo-

[1]) Przytaczam tu w tłómaczeniu dosłownem wyliczający te dzieła ustęp z przedmowy Risnera do Bazylejskiego wydania optyki 1572 r. którego egzemplarz znajduje się w bibliotece uniwersytetu warszawskiego:

„Zaprawdę był Vitellion sarmatą, żył w czasie nie bardzo przychylnym dla umiejętności, a zwłaszcza tak oderwanych: biblioteki włoskie znalazł okryte kurzem, a w nich pogrzebane optyki: co i jak zdziałał jednak siłą geniuszu, najpiękniejszym tego pomnikiem oraz wieczystém świadectwém będą nietylko *physiologicae*, wymienione w księdze V-téj teoremacie 18 i w ks. X teor. 80 (optyki); w księgach *de ordine entium* 8, *de elementatis conclusionibus*, o których wspomina w przedmowie, oraz w teor. 28 księi I-éj; w dziele *de scientia motuum coelestium*, o których wzmianka znajduje się w 10-éj teor. 53, lecz przedewszystkiém w dziesięciu księgach optyki." Traktat o porządku istnień wymienia się tu nietylko jako projektowany (ob. W. Rubczyński l. c. (str. 4), lecz jako już napisany.

[2]) Witold Rubczyński: „Traktat o porządku istnień i umysłów i jego domniemywany autor Vitellion". wyd. Akademii Umiejętności w Krakowie, 1891.

wiada tytułowi nieznanego dotąd dzieła Vitelliona „O porządku istnień", niemniéj, jak i wypowiedzianemi tu poglądami zbliża się do niektórych myśli, rzuconych w „perspektywie" tegoż autora. Na podstawie tego podobieństwa a niezgodności z poglądami Alanusa [1]), przypuszcza p. Rubczyński, że rękopis ten jest częścią zamierzonéj na większą skalę przez Vitelliona rozprawy, fragmentem z niewykonanego w całości programu. Jeśli przypuszczenie to, które wydaje się bardzo prawdopodobném, zostanie stwierdzone, przybędzie jeden wybitny przedstawiciel do szczupłéj gromadki naszych filozofów średniowiecznych, traktat bowiem wspomniany stanowi znaczny postęp w stosunku do filozofii XIII-go wieku, a nawet zatrąca pewnemi myślami zupełnie nowożytnemi, okazując zarazem w autorze przyrodnika raczéj, niż fachowego filozofa scholastyka [2]). Zasadniczą myślą, zbliżającą ten traktat przedmowy do perspektywy Vitelliona jest ta, że światło stanowi istotę wszechrzeczy.

Aby wytómaczyć znaczenie tytułu dzieła, powinniśmy przyjrzéć się poglądom, na których tle ono powstało. Myśl o stopniowaniu istot jest nowoplatońska i tak doskonale zlała się z chrześciańskiemi poglądami na hierarchię duchów, że przez szereg wieków cieszyła się uznaniem powszechném. Wiązała się też ona z odwieczném zagadnieniem teoryi poznania, mianowicie: czy przy poznaniu otaczającéj nas rzeczywistości zachowujemy się zupełnie biernie (tak, jak biały papier, na którym wytłaczają się litery druku), czyli też wspólnie z przedmiotem zewnętrznym przyczyniamy się do urobienia pojęć i wyobrażeń; a jeśli tak, to jaki zachodzi stosunek między podmiotowemi a przedmiotowemi składnikami wyobrażeń?

Przyjęta przez Arystotelesa bierna recepcya form z zewnątrz zostawała w sprzeczności z uznawaną przez tegoż czynną i organizacyjną naturą umysłu. Neoplatonizm usiluje rozwiązać tę sprzeczność następującém rozumowaniem: „Jeżeli prawdziwy przedmiot poznania jest natury duchowej, t. j. takiéj saméj, jak duch poznający, a zarazem ten ostatni jest czémś z natury swéj czynném, to poznanie doskonałe i prawda czysta nie mogą z sobą iść w parze w umyśle ludzkim, ale tylko

---

1) Które szczegółowo wykazane są w 2-im dodatku do wyżéj wymienionéj pracy.

2) Myśl tę oprócz bezimienności rękopisu stwierdza następujący ustęp: „Zamiarem naszym jest zebrać w krótkości trudniejsze z pomiędzy zagadnień przyrodzonych, aby je i łatwiéj wdrożyć w pamięć i późniejszym badaczom tych nauk się przysłużyć. Niech więc zdala się trzyma wszelka zawiść, by owoc trudów nie stracił na wartości w oczach czytelnika, gdy pozna autora" (Rubczyński, l. c, str. 23).

w tym, który przez samą myśl zarazem tworzy, gdzie rzeczywistość przedmiotu nie uwłacza czynnéj postawie podmiotu wobec niego, t. j. w umyśle Bożym. Myśl ta, przejęta od Plotina przez św. Augustyna, prowadzi do przypuszczenia rozmaitych stopni istot poznających, oraz rozmaitych sposobów poznania. Tylko wiedza Boża, która tworzy swój przedmiot, ogarnia go w całości; wszelka inna musi być mniéj lub więcéj bierną, mniéj lub więcéj niedoskonałą, a poznanie każdéj istoty, która prawdy nie tworzy zasadza się na rozwinięciu jéj dążności skupiającéj.

Na tle tych myśli powstał traktat, o którym mowa, przedstawiający pierwsze zarysy nowożytnego idealizmu. Całość dzieli się na trzy części. W pierwszéj autor dowodzi, że musimy przyjąć pierwszą przyczynę wszechrzeczy i do jéj pojęcia dołączyć pewne określenia. Oryginalném tu jest podciągnięcie Boga pod kategoryę substancyi. Takie rozszerzenie pojęcia substancyi, uprzedzające myśl Spinozy, nie jest właściwe ani scholastykom, ani nowoplatonikom średniowiecznym. Osobliwą jest również następująca argumentacya: „Dwa są rodzaje przyczyn —powiada autor— czynnych w świecie przez się, t. j. z istoty swéj: umysł i natura. Ale umysł czynny jest tylko wtedy, gdy ma materyę, działaniu swemu poddaną; kształtuje, ale nie stwarza. Natura zaś w poruszeniach swoich stosuje się do norm, których sama sobie nie nadaje i jest wobec nich bierną. Natomiast jéj przemiany odbywają się na niéj i dla niéj i nie przechodzą na dalszy zewnętrzny podkład tak, jak z umysłu w naturę. Po nad temi jednostronnemi, ograniczonemi w swych siłach przyczynami musi być potęga, która nietylko kształtuje, ale stwarza sama sobie podkład dla swych kształtowań."

W drugiéj części usiłuje autor wykazać, że skutki i własności światła widzialnego odpowiadają swym określeniom przyczyny wszechrzeczy. Pisarze średniowieczni (św. Tomasza, Dante) niejednokrotnie odwoływali się do analogii pomiędzy szerzeniem się i działaniem światła na ciała, a oddziaływaniem wyobrażenia na umysły; autor traktatu, o którym mówimy, robi z téj analogii podstawę swego systematu. Światło jest istotą wszechrzeczy, obejmuje i przenika wszystkie jestestwa materyalne, a od ilości zawartego światła zależy ich większa lub mniejsza „szlachetność", ich stanowisko w szeregu istnień. Dostrzega też autor bliskość pomiędzy światłem a ciepłem, które uważa za ruch drobnych cząstek. Pogląd ten na ciepło był, jak wiadomo, późniéj wypowiedziany przez Bakona, którego trudno posądzać o nieznajomość dzieł Vitelliona, optyka bowiem tego ostatniego była do XVII-go wieku powszechnie używanym podręcznikiem. Nie należy widzieć w tym poglądzie, jak to czynią niektórzy, antycypacyi współczesnéj mechani-

cznéj teoryi ciepła: istota téj teoryi, jak i wszelkiéj teoryi naukowéj, polega na ilościowém określeniu zjawiska; kamieniem jéj węgielnym— mechaniczny równoważnik ciepła, mniejsza o to, za pomocą jakich wyobrażeń jakościowych formułuje się owo ilościowe określenie. Cykl Carnota, stanowiący podstawę mechanicznéj teoryi ciepła, wysnuty był przy pomocy wyobrażenia o cieple, jako o płynie nieważkim.

Trzecia część traktatu, od którego odbiegliśmy na chwilę, rozwija daléj założenie, do którego doszła druga, że czysta światłość duchowa ma pełnię życia i zadowolenia, dzięki wiecznéj, doskonałéj jedności pierwowzoru z energią myśli, która w samém ogarnieniu siebie, niezależna od niczego po za sobą, wié i tworzy wszystko. Na niższych stopniach poznania—u ludzi i duchów czystych nie może być téj zupełnéj jedności i niezależności. „Autor, wierzący niewzruszenie w skalę istot doskonalszych i mniéj doskonałych, stara się poprzéć, uwydatniając przejścia od doskonałych, prostych i niezależnych ku coraz bardziéj złożonym i zależnym sposobem poznania". Odróżniwszy już poprzednio w naturze każdego światła siłę czynną i zdolność do tworzenia odbić *(virtus activa et virtus exemplaris)*, unaocznia tu, jak w miarę zstępowania w dół po skali istnień, owa siła czynna słabnie, a odbicia stają się w końcu czysto zewnętrznemi (na zwierciadłach, u ciał nieorganicznych). Im poznanie doskonalsze, tém bardziéj czynne wobec przedmiotu swego, tém więcéj go opanowywa: zwierciadło odbija przedmiot takim, jakim jest; dusza zwierzęcia skupia już w sobie skutki światła w stanie nieprzestrzennym, ale zachowuje się biernie wobec nich, nie wznosi się do sądu porównawczego, stanowiącego przywilej duszy ludzkiéj.

Wł. M. Kozłowski.



ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

„Źródła dziejowe", t. XX i XXI: „Ukraina" (Kijów i Bracław), opisana przez Aleksandra Jabłonowskiego. Warsz., 1894, 8-vo, str. II + 89 + 185 + nlb. 2 + XXVI, — i str. II + 3 + 654 + 2 + LI.

Poważne to treścią i rozmiarami wydawnictwo, począwszy od tomu XII-go podaje nam opis geograficzno-statystyczny ziem, składających Rzeczpospolitą w XVI wieku. Województwa zachodnie opisał prof. A. Pawiński, opracowanie zaś ziem południowo-wschodnich wziął na siebie p. A. Jabłonowski. Wywiązując się z tego zadania, ogłosił już dawniéj w tomie XIX opis Wołynia i Podola w XVI-ém stuleciu, a obecnie w dwóch następnych tomach zajmuje się Ukrainą, któréj poświęci jeszcze i tom XXII. Według przyjętego dla wydawnictwa planu, obok urzędowych materyałów, dotyczących téj lub owéj prowincyi, znajdujemy zawsze rozprawę, która przedstawia obraz krainy, na podstawie owych materyałów skreślony. Pod tym względem tom XX-ty nie różni się od poprzednich, w rodzaju jednak ogłoszonych tu materyałów zachodzi znaczna różnica. Dla województw zachodnich materyału dostarczały rejestra poborowe, opis Wołynia i Podola nie przekraczał „prawie" zakresu wykazów ksiąg skarbowych. Na Ukrainie—inaczéj. Burze wewnętrzne zniszczyły wielką ilość aktów urzędowych, trzeba więc było uciekać się do źródeł mniéj jednorodnych, braki wykazów poborowych uzupełniać innym materyałem; trzeba go było skupiać z okresu, przeszło lat 100 obejmującego, poczynając od popisu straży pogranicznéj z r. 1529 i sięgnąć w wiek XVII-ty aż po za pierwszą ćwierć jego. Mamy tu więc inwentarze zamków, rejestry poborów, lustracye, taryfy podymnego, rozgraniczenie powiatów, reje-

stra szlachty, ludzi branych na wojnę, kozaków niżowych, sumaryusze dokumentów i t. d. Ponieważ jednak to wszystko jeszcze nie starczyło na stworzenie statystycznego obrazu Ukrainy, p. Jabłonowski pomieścił wyciągi z summaryuszów aktów trybunalskich od r. 1590 do 1624 (któremi zapełniony jest cały ogromny tom XXII) i dodał wykaz osad z XVI i XVII wieku w województwie kijowskiém i bracławskiém, wzmiankowanych w wydawnictwach komisyi archeologicznéj kijowskiéj. Ta różnorodność, różnoczesność i ułomkowość materyału wpłynąć musiała z konieczności na rozmiar pracy autora, która urosła do tego stopnia, że już się w ramach wstępnéj rozprawy zmieścić nie mogła. Wypadło ją tedy rozbić na dwa działy. W tomie XX-ym podano treściwie wyrażone wyniki poszukiwań i zestawień; obszerniejsze zaś rozwinięcie przedmiotu, uzasadnienie wniosków, kwestye obronności kraju, jego kolonizacyi, kozactwa, stanu własności ziemskiéj — odłożono do tomu XXII.

Wytłómaczywszy pochodzenie nazwy „Ukraina”, przechodzi autor do ukształtowania i rozległości województw i powiatów. Co krok tu niepewności; wieki przeszłe nie dają granicom konturów wyrażnych. Na zachodzie może granicę stanowiło koryto Słuczy, na północy puszcza poleska, wschód i południe nie mają żadnych granic, posuwają się tam one w stepy i dzikie pola tak daleko, jak pozwala groza sąsiedztwa z hordą tatarską; cofają się, gdy najazd uprzątnie ludność i zapędzi ją w niewolę. Z granicami powiatów podobna chwiejność, z początku sam wyraz „powiat” jest czémś nieokreśloném, ich liczba zmienia się, obszar powiatów wielce niejednostajny. Taki powiat kijowski obejmuje urzędownie tyle ziemi, że badacz musi go krajać na mniejsze obwody, odpowiednie dawniejszym z epoki litewskiéj powiatom i zaznacza aż dziewięć takich obwodów. Na krańcach województwa kijowskiego leży głośny Niż, po za Bracławszczyzną ciągną się „pola oczakowskie”, „jedysańskie”.—Przy obliczaniu powierzchni powiatów autor nasz posługiwał się tąż samą metodą, któréj używał przedtém w opisie Wołynia i Podola; dla sprawdzenia rachunku swego, zestawiał swój rezultat z cyframi otrzymanemi na podstawie obliczeń Strelbickiego, które wypadały bardzo zbliżone; przytacza nadto liczby mil kwadr., podane dla końca XVIII wieku przez Friedericha, a ich wielkie różnice tłómaczy słusznie inaczéj przyjmowanemi liniami granic powiatowych. Ze zsumowania otrzymywanéj w ten sposób powierzchni wypadło, że województwo kijowskie w końcu XVI stul. zawierało po obu brzegach Dniepru 2,534 mil kw. geogr., a Niż rozlegał się na przestrzeni 1,069 mil z górą; województwo zaś bracławskie miał powierzchni 628 mil kw., nie licząc w to pól oczakowskich z dorzeczem

Inhułu, które obejmują 470 mil kw. Łatwo nam tu było wypisać od p. Jabłonowskiego w kilku wierszach te ostateczne wyniki jego rachunku, trochę trudniéj atoli uprzytomnić sobie cały ogrom mozolnéj pracy, włożonéj przez autora w ten obrachunek.

W następnym rozdziale jest obliczenie szczegółowe ludności, mieszkającéj na wyż oznaczonym obszarze. Tu łamać się trzeba było ze stokroć większemi trudnościami. Ziemia jest, pomimo wszelkich zmian politycznych i ekonomicznych, czémś stałém i na dzisiejszéj mapie dość ściśle wymierzyć się daje; ale liczba mieszkańców jest wielkością mniéj ujętną. Przeszłość nie znała ogólnych popisów ludności, wykazy skarbowe dbały (i to nie bardzo ściśle), jeno o wysokość poborów. Gdybyż się choć w całości te wykazy dochowały! Wiemy już jednak, że tylko ze szczupłych ocalonych ułomków korzystać można. Oblicza więc autor najprzód osady wiejskie i stosunek ich do powierzchni: przed unią lubelską znajduje tylko 393 osad, którą to cyfrę wątpliwością otacza. Późniéj, na rok 1581, w saméj północnéj kijowszczyznie (do rz. Rosi) jest wsi około 290 i to tylko prywatnych; ale i ta liczba nie zasługuje na zupełną wiarę, bo inne źródła przekonywają dowodnie, jak wiele tu osad źródło urzędowe opuściło. Roztrząsnąwszy krytycznie wszelkie możliwe dane, autor ustanawia dla całéj Ukrainy około 1625 roku liczbę wsi na 1400, czyli po jednéj wsi na 2 mile kwadratowe. Daléj przeprowadza rachunek w oddzielnych kategoryach własności królewskiéj, przeważającéj w połaci południowéj województwa kijowskiego, duchownéj, która wynosi przeszło $^1/_5$ część osad północnéj tegoż województwa połaci, wreszcie własności prywatnéj, rozrastającéj się do $^9/_{10}$ części osad w województwie bracławskiém.

W podobny sposób obliczono osady miejskie (przeszło 320) i poszczególne ich kategorye ze względu na wielkość, na rozmieszczenie po powiatach i na rodzaj właściciela gruntu.

Żeby dojść liczby zaludnienia, wypadało wprzódy znaleść cyfrę dymów, co nie wszędzie z jednakową ścisłością wykonać się dawało. Po wielce żmudnych zabiegach wypadła autorowi na r. 1625 liczba dymów 33,470, a liczba mieszkańców wiejskich 200,000 z górą. Cyfry te, poddane rozważnéj krytyce, okazują się stanowczo za niskie. Autor, uwzględniając rozmaite okoliczności, ustanawia zaludnienie Ukrainy na wsiach i po miastach w końcu pierwszéj ćwierci XVII wieku na 545,000 głów. Uzasadnienie szczegółowe tego ostatecznego wyniku znajdziemy w tomie XXII-im.

Taka jest treść starannéj pracy p. Jabłonowskiego, za którą i historycy i ekonomiści wdzięczni mu będą. Z materyałów, które ogło-

sił, korzystać będą i ci, co zajmują się historyą poszczególnych rodzin lub okolic, i ci, którzy badają dzieje postępów kultury. Historya polityczna nieraz znajdzie tu dla siebie dane wielkiéj doniosłości.

Kończąc tę notatkę, wyrazić musimy życzenie, aby jak najprędzéj ukazala się mapa, którąby dane zawarte w „Źródłach dziejowych" unaoczniła, ułatwiając korzystanie z nich, dając pole do ciekawych spostrzeżeń i nowych kombinacyi. — Trzeba też pragnąć jak największego rozpowszechnienia tego wydawnictwa wśród czytelników lubiących poważną lekturę.

St. Ł.



NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

— **Lectures littéraires**. Pages choisies des Grands Ecrivains. George Sand par *S. Rocheblanc*. Paris, Collin-Lévy, 1894. — *Arvède Barine*. **Bourgeois et Gens de Peu**. Paris, Hachete, 1894.—*René Doumic*. **Écrivains d'aujourdhui**. Paris, Perrin et C., 1894. — Żaden naród może nie ceni tak swoich pisarzy znakomitych, o żadnym innym nie można w takim stopniu powiedzićć, że się wychowuje na swojéj własnéj literaturze, jak o francuskim. Do licznych form, ułatwiających poznanie koryfeuszów literatury francuskiéj, przybywa nowa—wyciągi z ich dzieł, dające możność zmieścić w zakresie jednego tomu najpiękniejsze stronice, rozrzucone w licznych dziełach tych pisarzy. Naturalnie, że takie „zbiéranie śmietanki" nie może zastąpić studyów nad pismami dla każdego, kto chce dokładniéj poznać ideową stronę autora; służy ono jednak za zachętę i wstępne obeznanie się ze stylem i formą, oraz za pomoc przy wykładzie literatury. — Z całego szeregu wydanych w ten sposób „wypisów" (w liczbie ich znajdują się Rousseau, Renan, Musset, Chateaubriand, Balzac i in.), wyszedł obecnie tom poświęcony George Sand, najwięcéj może ze wszystkich nadającéj się do czytania. Znajdujemy tu prócz licznych ustępów z autobiografii, rozmaite urywki z powieści, opisy przyrody oraz charakterystyki współczesnych jéj pisarzy (Balzac, pani Dorval, Delacroix, Lammenais). Wszystko poprzedzone jest wstępem (I — XXXI), obejmującym życiorys i charakterystykę literacką znakomitéj pisarki. — Książka p. Barine jest zbiorem życiorysów anegdotycznie napisanych (między innemi Göthego p. t. *Un bourgeois d'autrefois* (!), Will. Lawrence'a p. t. *Une ame simple* i t. d.) i polujących na niewielkie efekta; nie bylibyśmy téż o niéj wspominali, gdyby nie naczelny szkic bliżéj nas obchodzący p. t. *Un juif polonais*, zawierający życiorys Sa-

lomona Maimona. Życie znanego i cenionego przez współczesnych filozofa opowiedziane tu z pewném zaznaczeniem jaskrawości. — Zupełnie innéj treści jest dziełko Doumic'a. Zawiera ono krótkie, ale trafne i ładnie napisane charakterystyki pisarzy współczesnych francuskich, jak Bourget, Maupassant, Loti, Lemaitre, Brunetière, Faguet, Lavisse. Jako przykład przytoczę tu wstęp dotyczący Bourget'a i zakresu jego oddziaływania. Wystawmy sobie, powiada autor, przeciętną kobiétę z mieszczańskiéj sfery. ...„Oto siedzi w jednym z zakątków swego salonu, któremu dzięki tanim sklepom potrafiła nadać pozory nawpół-zbytkowne: fałszywe obicia, meble naśladowcze, drobiazgi nie autentyczne — wszystkie rzeczy zdradzające we właścicielce potrzebę wytworzenia sobie złudzenia stanu wyższego nad swój. Jest popołudnie, czas przeznaczony wyłącznie dla siebie, po zwolnieniu się od obowiązków domowych, przed chwilą przyjęcia lub oddania kilku wizyt... Jakże często spędzała tę godzinę w nieokreślonych marzeniach, oddana niejasnym pragnieniom. Ze smutkiem myślała o swojém przeznaczeniu, które wydaje się jéj tak niezadawalniającém, o pierwszych chwilach po zamążpójściu i o późniejszych latach. Wyszła za człowieka uczciwego, pracowitego, którego szanuje i jak jéj się zdawało— kochała. Jestto nieszczęściem małżeństw mieszczańskich, że prawie zawsze żona jest istotą natury subtelniejszéj i wyższéj kultury od męża. Wytworzyła się niezgodność trudna do sformułowania, dla któréj niepodobna znaleść określonéj przyczyny... Książka, którą trzyma w téj chwili—to *Crime d'amour* lub *Mensonge*. Ręce jéj drżą nieco i z gorączkowym pośpiechem przerzucają kartki. Gdyż odradzano jéj czytanie téj książki, lecz ciekawość wzięła górę. W dodatku ma przeświadczenie, że źle nie robi; wié, że pełni sumiennie swoje obowiązki, potępia bez wahania wszelki błąd; wmawia w siebie, że należy do tych, które mogą wszystko czytać... Znajduje w tych książkach przedewszystkiém owo otoczenie eleganckie, do którego wzdychała tylokrotnie; poddaje się urokowi, wywieranemu przez bogactwo na tych, którzy go pragną; przyznaje, że otoczenie takie harmonizuje z etyką trochę odmienną, z obyczajnością mniéj surową, niż ta, która panuje w jéj mizernym światku. Kobiéty, o których czyta, mają ten urok wyższy, co wszystko przebaczać im każe, a nadto wdzięk, słodycz i melancholię. Czytelniczka nasza nie dziwi się już, że przestała nienawidzićć swoje występne siostry; instynktem kobiécym nawet sympatyzuje z niemi. A dlaczegóżby nie miała zostać jedną z nich? wszak nie brak jéj ani rozumu, ani piękności. Doznała cierpień w najgłębszych zakątkach swojéj istoty, dokuczają jéj chore nerwy, wzburzona jest w głębiach swojéj nadczułości zmysłowéj wytworu temperamentu

anemicznego i sztucznego życia, jak u większości paryżanek. Nic zresztą nie ostrzega jéj i nie niszczy uroku. Nic bowiem nie razi tam jéj delikatnych instynktów. Słowa odstraszają najwięcéj; a nigdy nie opisywano rzeczy tak dokładnie, w stylu tak pozbawionym brutalności. Nawet w tych opowiadaniach o ciele rozpowszechniony jest pewien rodzaj spirytualizmu, unosi się jakaś woń chrześciaństwa i przez nie oddziaływa tém łatwiéj na jéj chrześciańską duszę... Kobiéty nie są zdolne do czytania bezinteresownego; odnoszą wszystko do siebie i przeżywają w myśli na swojéj osobie przygody, które wymarzył powieściopisarz. Ta, o któréj mowa, w chwili gdy zamknie książkę, wykonała już w myśli doświadczenie, które ułatwi znakomicie inne..." W tych kilkunastu wierszach znajdujemy świetną charakterystykę pisarza z punktu widzenia najpoważniejszego, z jakiego tylko można oceniać dzieło literackie — ze stanowiska oddziaływania wychowawczego na masy.

Wł. M. K.

— *Ch. Letourneau.* **Evolution littéraire dans les diverses races humaines** (tom 5 „Biblioteki antropologicznéj"). Paryż. — Karol Letourneau wydał nowy tom swoich poszukiwań socyologicznych, poświęcony rozwojowi tego, co można nazwać literaturą w szerokiém znaczeniu słowa. Książka jest napisana według tego samego szablonu, jaki widzimy w poprzednich a licznych „Ewolucyach" francuskiego uczonego. Materyał faktyczny został rozmieszczony w rubrykach, ułożonych na podstawie rasowości: najprzód rozczytujemy się w faktach, wziętych z pośród czarnych grup rodu ludzkiego, potém autor zatrzymuje się nad żółtoskóremi odłamami i wreszcie przechodzi do szczepów białych. Jestto najniewdzięczniejszy chyba szablon opracowywania pewnéj kwestyi socyologicznéj, bo materyał rozczłonkowano pomiędzy sztuczne przegródki i zerwano nić ciągłości rozwojowéj. Wszak sam Letourneau usiłuje dowieść, że objawy, właściwe rozwojowi literackiemu, w najmniejszym nie znajdują się związku z rasowością, ale jedynie z ukształtowaniem każdorazowych stosunków społecznych. Trzymając się jednak téj metody zestawiania faktów, Letourneau oddziela od siebie objawy współrzędne lub wysnuwające się nawzajem z siebie. Nić przewodnia bywa wciąż targana i bezustannie nawiązywana na nowo. I książka zgoła nie przynosi nauce socyologicznéj czegoś nowego. W swoich zasadniczych twierdzeniach Letourneau jedynie powtarza to, co już dawniéj powiedział Macaulay-Posnett. Jedynie dodał wstęp, traktujący o fizyologii artyzmu, bardzo słaby, i mnóstwo faktów, mających sobą potwierdzić założenia ogólne, a zaczerpniętych z pośród najrozmaitszych szczepów. Rozwój litera-

tury odbywa się w zależności od rozwoju stosunków społecznych. Pierwotne jéj objawy są odzwierciedleniem solidarności klanowéj, która stanowi podstawę pierwszych okresów pożycia społecznego. Klan przedstawia drobną gromadę, w któréj czyny indywidualne są podporządkowane interesom ogółu, własność jest mniéj lub więcéj zbiorową, stosunki małżeńskie poddane zasadom, które w naszych oczach wyglądają dość dziwnie. Otóż w takich warunkach nie ma zgoła miejsca na literaturę z odcieniem indywidualności, utwory odpowiednie przybierają formę, zgodną z nawyknieniami gromadzkiemi: widowisk zbiorowych. W tych chóralnych operach-baletach muzyka odgrywa rolę niepokaźną i służy przedewszystkiém do wybijania taktu. Do téj czynności wystarcza uderzenie pałką o ziemię, na nieco zaś wyższym poziomie o bęben. W przedstawianych obrazach i scenach myśliwskich, wojennych i t. d. jednostka zaciéra się najzupełniéj w tłumie chóralnym. Ale rozwój społeczny powoli wyzwala się z powijaków klanu: solidarność rozluźnia się, powstają antagonizmy społeczne. Gwałty, dokonywane w drobném społeczeństwie przez jednych, krzywdy, których ofiarą padają inni, zradzają nowéj natury uczucia, zbyt indywidualne, ażeby zdołały znaleść swój wyraz w ramkach widowiska zbiorowego. W miarę ograniczenia pierwotnéj swobody stosunków płciowych powstają uczucia miłosne większego napięcia i nawskroś indywidualne namiętności. A zatém, w miarę upadku klanowego komunizmu, zjawia się na świat liryka. Wraz z nią ukazuje się potrzeba nowych instrumentów, któreby zdołały oddać najdelikatniejsze odcienia namiętności; starodawne a hałaśliwe bębny bowiem są zbyt grubiańskiemi narzędziami dla odmalowania złożonéj gamy stanów uczuciowych, które zjawiły się w następstwie rozkładu klanu. Widowisko chóralne przekształca się na dramat z zarysowanemi charakterami indywidualnemi. Indywidualizm wkracza ze wszystkich stron do estetyki, stwarza indywidualne pieśni liryczne, malujące stan pojedyńczéj duszy, ody i hymny, oraz dramat bohatérski. A w miarę tego jak tryb życia zostaje coraz bardziéj zróżniczkowany i zamiast kolektywnych wypraw wojennych i zajęć rolnych, zjawi się różnobarwna praca zarobkowa, naówczas powstaną utwory, jeszcze bardziéj napiętnowane indywidualizmem. Słowem, rozwój społeczny rządzi wszechwładnie objawami rozwoju literackiego, który swoim biegiem odźwierciedla bieg tamtego. Taką jest zasadnicza nić wywodów Letourneau, zresztą wypowiedziana już dawniéj, jakeśmy to zaznaczyli, przez Macaulay Posnetta. *L. K.*

— *Kazimierz Ehrenberg.* **Świat felietonowy.** Kraków, r. 1894. Piśmiennictwu naszemu przybywa nowa beletrystyczna siła. Młody literat krakowski, p. Kazimierz Ehrenberg, wydał przed kilku tygodniami pierwszą, o ile nam wiadomo, większą pracę swoją, trzymającą środek pomiędzy felietonem a powieścią, niesłychanie ciekawą zarówno pomysłem, jak i opracowaniem. Oryginalność polega przedewszystkiem na sposobie pisania wykwintnym, a jednak cokolwiek niedbałym, niejako niedokończonym, jak gdyby autor, na równi ze swoim bohatérem-literatem Sielnickim, był także—znużoną duszą, która ucieka w jakieś nieznane krainy od kłopotów, drobnostek i nużącéj gorączkowości „Świata felietonowego", jak nazywa, całą gromadkę dziennikarzy, aferzystów i wogóle indywiduów, żyjących bez planu, z dnia na dzień, dla przyjemności i użycia. Temat również niemniéj jest ciekawy i niezwykły, nietyle w głównych zarysach fabuły, wogóle na drugi plan zepchniętéj, ile raczéj w sposobie traktowania osób, uczuć i sytuacyi. Literat i felienitonista Paweł Sielnicki, człowiek wykształcony, zdolny, ceniony i lubiony, młody i zdrów, a jednak pełen zniechęcenia, znużenia i nieokréślonéj goryczy względem otaczającego świata i ludzi, to doskonały typ dekadenta *fin de siécle*, jakich przerafinowana cywilizacya ostatnich czasów, zbyteczny wysiłek umysłowy, a wreszcie brak równowagi duchowéj, wytwarza, niestety, już i w szeregach naszego społeczeństwa. Dla chwilowego kaprysu porzuca on redakcyę, miasto, przyjaciół, jak mu się zdaje, na wieki, i w towarzystwie tylko jakiéjś kelnerki Kitty, która mu się nawet nie podoba, osiada w głębi leśnéj i wiejskiéj głuszy. W dzisiejszych atoli czasach przeludnienia, rola pustelnika staje się trudną, to téż i w tym zapadłym kącie znajduje się piękna córka miejscowego doktora, któréj głębokie a proste zasady, zupełna harmonia duchowa, wydają się Pawłowi czémś tak ponętnie nowém, kojącém i uroczém, że nietylko odprawia Kitty, przestaje lekceważyć ród niewieści, ale sam pragnie się zaprządz w słodkie jarzmo małżeńskie. Ale kto zbyt przywykł do szampana, temu chwilowo tylko smakować może czysta woda kryniczna; to téż p. Ehrenberg okazał dużo talentu i rzetelnéj obserwacyi, oddając w samych półtonach zawiły proces psychiczny, jaki rozgrywa się w duszy dziwacznego mizantropa. Miłość, staranie się, obraz przyszłego cichego szczęścia, nuży go, zanim jeszcze osiągnąć je zdoła; to téż odmowną odpowiedź pięknéj Ireny, przyjmuje Paweł niemal z westchnieniem ulgi, poczém, idąc za namową przyjaciela, powraca do piekiełka dziennikarskiego, przetrawiającego dusze i mózgi. Jako powieści, możnaby wytknąć „Światu felietonowemu" wiele usterek, a nadewszystko nieproporcyonalność pomiędzy założeniem a dalszym ciągiem utworu, wysunięcie

na pierwszy plan figur, o których następnie wcale się już nie wspomina i t. p.; my jednak opiéramy raczéj ocenę tego niezwykłego obrazka na wielkiém bogactwie oryginalnych a głębokich refleksyi, nadzwyczaj delikatnym rysunku osób i sytuacyi, a wreszcie na prześlicznych ustępach opisowych, w których pióro autorskie zamienia się w paletę o tysiącu barw i odcieni. Utwór p. Ehrenberga nosi na sobie wybitne cechy wpływów szkoły francuskiéj; nie rzadko również odnaléść się daje oddziaływanie autora „Bez dogmatu” na wrażliwą duszę młodego pisarza. *Nit.*

— **Sprawa sporu granicznego przy Morskiém Oku.** Wywód historyczno-prawny z pięcioma kartami. Napisał d-r *Aleksander Czołowski.* Lwów, 1894, str. 74.—Każdy czytelnik z licznych wzmianek, pomieszczanych w rozmaitych czasopismach, wié choćby ogólnikowo o sporze granicznym między Węgrami a Galicyą w okolicy Morskiego Oka. Z pracy p. Czołowskiego może ją poznać dokładnie, we wszystkich szczegółach. Autor dał się już przedtém poznać z prac innych, jako badacz gruntowny i krytyczny, oczywista więc, że i kwestyę Morskiego Oka zbadał gruntownie, a w tym celu czynił poszukiwania nietylko w archiwach krajowych, ale i w Wiedniu, skąd zaczerpnięty materyał nie może być podejrzéwany co do autentyczności, ani o stronniczość posądzany. Szczególną zwraca tu uwagę metoda postępowania przy oznaczeniu granicy na gruncie, przepisana przez rząd austryacki w r. 1769, a jeszcze bardziéj samo postępowanie pułkownika von Seeger i dodanego mu do pomocy komisarza węgierskiego p. Töröka de Szöndrö, który umiał za pomocą podrobionych dokumentów i naciąganych rezonowań stworzyć urojone pretensye Węgier do obszarów, obejmujących 275 wsi, 4 zameczki i 6 starostw (barcickie, olszańskie, czorsztyńskie, nowotarskie, sądeckie i ostrowskie). Uzasadnienie tych śmiesznych zpozoru pretensyi, uroszczonych tak śmiało przez jednego z piosenkowych naszych „bratanków”, nawet w Wiedniu wydawało się z początku niemożliwém. Ale gdy wkrótce potém okazała się możność zagarnięcia wskazanego obszaru, rzecz przestaje być śmieszną. Zajęto go bez ceremonii, lubo kanclerz Kaunitz i sama Marya Teresa wątpili mocno o słuszności mniemanych praw swoich. Austrya tedy krainę obszerną zabrała, ale ponieważ przyłączono ją nie do Węgier, lecz do Galicyi, przeto ziemia, która przez wieki nie była sporną między dwoma państwami, stała się przedmiotem zatargów między dwoma krajami, należącemi już do jednéj monarchii. Pięknie tak rozpoczęte przez komisarza węgierskiego dzieło, przetrwało w swych następstwach do dziśdnia i gdy koronie św. Stefana nie udało się połknąć Sądeczyzny,

gdy i dolina Nowotarska wymknęła się z rączek „bratankowych”, usiłują dziś Madziarowie podstępem i gwałtem przywłaszczyć przestrzeń blisko 900 morgów, dotykającą Morskiego Oka.—Pan Czołowski w książce, o której mowa zgromadził bardzo ciekawy materyał i należycie go oświecił, a odczytanie téj pracy nietylko poucza dobrze o kwestyi jednego z jezior tatrzańskich, ale i do ogólniejszych rozważań pobudza.

— Księgarnia warszawska Gebethnera i Wolffa zapowiedziane w grudniu r. z. nowe popularne wydanie **dzieł** *Wil. Szekspira*, z rycinami w 12-tu tomach, doprowadziła swym nakładem do skutku. Wydanie to, obejmujące całkowity zbiór tragedyi, dramatów i komedyi genialnego dramaturga, w przekładzie L. Ulrycha, niebawem się ukaże.



Wydawcy: *W. Spasowicz* i *A. Pawiński*. — Redaktor *P. Chmielowski*.

Дозволено Цензурою. Варшава, 14 Iюля, 1894 г. — Druk Jana Cotty.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „ATENEUM".

1. **Ozon** ze stanowiska systemu peryodycznego. Napisał *Aleksander Wołkowicz*. Warszawa, 1894, 8-vo, str. 6.
2. *Armand Schweiger-Lerchenfeld*. **Geografia** powszechna illustrowana. Przełożył i uzupełnił D-r *Karol Jurkiewicz*. Warszawa, nakład M. Orgalbranda. Zeszyt 12-ty (str. 265—288) cena zeszytu pocztą kop. 30.
3. *Kucharzewski Feliks*. **Bibliografia** polska techniczno-przemysłowa. Zeszyt 8-my (ostatni). Warszawa, nakład redakcyi „Przeglądu Technicznego", 1894, 4-to (cena całego dzieła rs. 3).
4. *Abgar Sołtan*. **Zawiedziona nadzieja**. Powieść współczesna. Warszawa. Gebethner i Wolff, 1894, 8-vo, str. 260.
5. *A. M. L.* **Obrazki z życia**. Kraków, nakład księgarni Spółki wydawniczéj, 1893, 8-vo, str. 299.
6. **Encyklopedya rolnicza** wydawana staraniem Muzeum przemysłu i rolnictwa w Warszawie. Zeszyt 34-ty („Handel zbożem"). Warszawa 1894 (str. 65—144).
7. **Znużone dusze**. Studyum. Napisał *Arne Garborg*. Warszawa, 1894, nakład księgarni T. Paprockiego i S-ki, 8-vo, str. 379.
8. *Antoni Godziemba Wysocki*. **Dom zdrowia**. Szkice. Kraków, nakład Korneckiego, 1895, 8-vo, str. 163.
9. *M. Zdziechowski*. **Byron i jego wiek**. Studya porównawczo-literackie. Tom I. Europa zachodnia. Kraków, w księg. Spółki wydawniczéj, 1894, 8-vo, st. X i 447
10. **Studyum** nad bullą Inocentego II z roku 1136, wydaną dla arcybiskupstwa Gnieznieńskiego. Przez *Antoniego Małeckiego*. Poznań, 1893, 8-vo, str. 53.
11. **Królestwo zwierząt**. Obrazki z życia i obyczajów świata zwierzęcego według Brehma, opracował *W. Lakowitz*. Przełożył *Stanisław Rewieński*. Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa (1894), Zeszyt VIII, 8-o (str. 673—768).
12. **O stosunku medycyny** wewnętrznéj do chirurgii. Napisał *W. H. Krajewski*, Ord. szpit. Dziec. Jezus. (1894), 8-vo, str. 56.
13. **Jak siać**, aby i praca ludzka i ziarno nie szły na marne? Napisał *Adam Szymański*. Poznań, nakład autora, 1894, str. 62 z rysunkami (cena kop. 20).
14. *Cezary Jellenta*. **Eusapiada**. Warszawa, Gebethner i Wolff. 1894, str. 44.
15. **Ueber die Satiren** des Christoph Opaliński. Inaugural-Dissertation von *Wladislaus von Rabski*. Berlin, 1892, 8-vo, str. 66.
16. **Kaszuby i Kociewie**. Zebrał i opracował D-r *Nadmorski*. 1892, 8-vo, str. 168.
17. **Sprawozdania** komisyi fizyograficznej z r. 1891. Tom XXVII, 8-vo, str. 26+246+229
18. *Wincenty Kosiakiewicz*. **W miasteczku**. Powieść. Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, 1893, 8-vo, str. 186.
19. **Starożytny Egipt** pod względem historyi, religii, cywilizacyi i obyczajów przez *W. z W. J.* Lwów 1893, 8-vo, str. 370.

Uprasza się PP. Wydawców o nadsyłanie świeżo ogłoszonych książek do redakcyi. O każdéj z nich będzie bezzwłocznie podana krótsza lub dłuższa wzmianka.

